Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042
Nr indeksu 36762

NUMER 22 (1418) ROK XXVIII 1 CZERWCA 1985 ROKU CENA 15 ZŁ

- Zanim nadeszło upalne lato
- Piknik pod wieżowcem
- Formuła I bez Grand Prix
- „Chociaż goło, lecz wesoło"
- Zboże nie rośnie na skale
- Perpetuum mobile

Foto: Grzegorz Gałasiński

Jak kulturę ciągnąć w górę?

MAREK KOPROWSKI

— Czy bywasz w domu kultury?

Takim pytaniem zaskoczyłem kilkadziesiąt bardzo różnych osób. Odpowiedzi były niespotykanie (jak na czas niejednomyślności) zgodne: — *nie!*

— Dlaczego?

Tu już wystąpiły wyraźne różnice — *nie mam czasu, nie wiem gdzie taki dom jest; nie mam takiej potrzeby; sam zaspokajam swoje zainteresowania kulturalne; wystarcza mi telewizja i gazety* — to odpowiedzi najbardziej typowe.

Czepiam się odpowiedzi nietypowej: — *nie znajduję w propozycjach domów kultury niczego, co by mnie zainteresowało* i postanawiam sprawdzić, czy rzeczywiście są one tak nieciekawe, czy też gust odpowiadającego tak wyrafinowany.

Problem został wywołany coraz częściej ostatnio wygłaszaną tezą (również na łamach „Odgłosów"), że dom kultury w swej klasycznej postaci już się przeżył, że trzeba poszukiwać nowego modelu, stosować inne formy działania, pracować nowoczesnymi metodami. Słowem: trzeba robić rewolucję.

Idę więc szukać dziury w całym, może guza, a może jasnej odpowiedzi.

„NIE POPRAWIA SIĘ PIECA, KTÓRY DOBRZE GRZEJE"

Nastawiony bojowo i krytycznie wkraczam (właśnie: wkraczam) do Zakładowego Domu Kultury przy Zakładach im. Szymona Harnama „Rena-Kord". I od wejścia znalazłem się w tyglu, który zrobił na mnie wielkie wrażenie. Takiego zaangażowania i zapału pracowników, instruktorów i uczestników nie widziałem dawno, a może nigdy. Chyba tylko w filmach o odbudowie Warszawy z wojennych zniszczeń. Ludzie pracują tu nie patrząc na zegarek. W czasie mojego pobytu wrócił z Warszawy zastępca dyrektora. Był późny wieczór.

— *Widzi pan, nie poszedł do domu. Najpierw przyszedł tutaj* — mówi półgłosem dyrektor Andrzej Klinowski. — *I tak jest ze wszystkimi.*

Dyrektor urzęduje w niewielkim pokoiku, w którym prócz niego pracuje główna księgowa, a przy małym stoliczku siadają instruktorzy, notują coś, piją herbatę, uzgadniają sprawy ze sobą i z dyrekcją. Przez ten pokój przewija się mnóstwo ludzi (jak w siedzibie rewolucyjnej centrali) mających „coś" do gospodarzy placówki. W pokoiku tym decyduje się o wszystkim. Prawie bez przerwy dzwonią telefony. Lecz tu nie dzieje się żadna rewolucja. Tak wygląda normalna praca. Z innych pomieszczeń dobiegają głosy próbujących chórzystów i akompaniament dla tańczących.

— *Dobrze, że nie ma dziś próby orkiestry dętej. Pan pewnie by zwariował, ale myśmy się przyzwyczaili* — śmieje się dyrektor.

Cały dom kultury mieści się w pięciu pokojach plus sala prób zespołów tanecznych i zajmuje połowę II piętra starego budynku biurowego na terenie zakładu. W tej ciasnocie 23 zespoły, sekcje i koła zainteresowań zrzeszają 2000 uczestników stałych (zakład zatrudnia 3000 pracowników). Przychodzący „tak sobie" nie są liczeni, a ich też nie jest mało. „Obsługuje" tę masę ludzi 4 pracowników etatowych i 11 instruktorów.

W tych samych warunkach 35 lat temu „urodził się" znany Zespół Pieśni i Tańca im. Harnama, który poza Australią był już wszędzie. Znany jest może bardziej w świecie niż w kraju. Cóż, nie on (zespół) jeden. Pracujący od 32 lat w ZDK obecny dyrektor (15.800 zł pensji), był tancerzem w zespole. Dyrektor zakładów także, również wielu pracowników i instruktorów. Nawet...

— *Czy zna pan taki ZDK, który na własnej piersi wyhodował sekretarza POP?*

— Nie znam. Nie słyszałem.

— *Ludzie, którzy tu przychodzą, wsiąkają na stałe. O, ten instruktor* (uśmiecha się skromnie, młody, w okularach) *chciał się zaczepić na trochę, zanim znajdzie coś lepszego. Jest już 5 lat i nie myśli odchodzić. Jest takich więcej.*

Chyba rozumiem: udziela im się zapał i entuzjazm, opłata ich ta niezwykła atmosfera, organizacja pracy, mają wdzięcznych i chętnych odbiorców. Sam czuję, że jeszcze tu przyjdę. Nie z obowiązku, „tak sobie".

— *Panie, kto może pomaga nam jak może, bo z finansami krucho. Gdy trzeba było oddać obuwie tancerzy do reperacji za 194 tys. zł, zgłosił się ojciec członka zespołu, przyniósł wielką puszkę kleju i za „Bóg zapłać", tu na miejscu, naprawił wszystkie. Panie, to cieszy i pracować się chce. Sprzątaczka, choć nie musi, pierze i prasuje kostiumy. Jest tu z nami do późnej nocy. Są to przykłady pierwsze z brzegu.*

— *A propos finansów. Dostaliśmy na 1985 r. od zakładu 3,8 mln zł i z UMŁ 3 mln zł. I to wszystko. A jeden wyjazd zespołu kosztuje 1,5 mln zł. Choć jesteśmy na terenie zakładu, musimy płacić sami np. za światło. Za każdą szufelkę czy zmiotkę płacimy zakładowi. Nie dlatego, że taki pazerny. Dyrekcja nam sprzyja. Przepisy, panie, takie. Prezydent Józef Niewiadomski obiecał nam ekstra 600 tys. zł. Niestety, główny księgowy się nie zgodził. Przepisy. Nie stać nas na kupienie*

4

Zielarz

WŁADYSŁAW MALKA

Widok z góry uwidoczniłby niewielką meandryczną rzeczkę wzdłuż poszarpanej linii lasu. Na jej przeciwległym brzegu można byłoby ujrzeć szerokie połacie łąk, nieco dalej zabudowania, które z niegdysiejszej wioski przeobraziły się w suburbia wojewódzkiego miasta.

W pewnym miejscu rzeka odwraca się od skraju lasu, tak, jakby uprzykrzyła się jej obecność drzew, skręca w głąb płaskiej niziny, która kiedyś stanowiła jej pradolinę. Jest to oczywiście skutek ludzkiej ingerencji, las sięgał brzegów rzeki, póki nie został wytrzebiony, rzecz jasna, parę setek lat temu.

Rzeka po dwóch—trzech kilometrach ponownie łączy się z lasem. Na niewielkiej kilkunastohektarowej przestrzeni między brzegiem rzeki, a linią lasu usadowiło się kilka gospodarstw, kilka ludzkich gniazd. Są one dość znacznie oddalone od wsi, która z wolna przestaje być wsią. Blisko natomiast, poczynając od leśnej stromizny, ulokowały się campingi. Jest to teren warszawskiej, łódzkiej, a nawet śląskiej rekreacji. Jest to także powód do zmiany charakteru wsi, jej ucywilizowania na skalę większą niż się to na ogół zdarza.

Pośrodku tego skrawka ziemi przebiega ciemna linia asfaltu. Zagłębia się ona w las i zataczając szeroki łuk, prowadzi do drewnianych, letniskowych domków. Od asfaltu odbija natomiast w kierunku owych zagród wydeptana ludzkimi nogami, wyjeżdżona kołami setek samochodów polna drożyna. Polne drogi nie posiadają nazw, ale ta mieć ją powinna. Jest w niej ukryta alegoria ludzkiej mizerii, wiary i niewiary, a również zwyczajnej ciekawości.

Po kilkuset metrach, idąc tą drogą, staje się na jej krańcu. Tutaj urywa się, trochę nieoczekiwanie niknąc w porastających ją trawach. Po krótkiej chwili można ją jednak ponownie wy-

12

Gromnica, złoto i sikawka

MAREK MAMOS

20 maja 1876 roku między godziną 6 a 8 rano wybuchł pożar w oddziale drukarni zakładów Hofrichtera. W akcji ratunkowej brały udział wszystkie, to znaczy trzy oddziały straży ogniowej. Pożar zakończył się dopiero wówczas, gdy obiekt dopalił się, ale władze miejskie wyraziły najwyższe uznanie strażakom za odwagę, poświęcenie i dzielność. Był to chrzest bojowy łódzkiej straży pożarnej.

O organizowaniu profesjonalnej miejskiej straży ogniowej w Łodzi pomyśleli, jako pierwsi, członkowie Obywatelskiego Stowarzyszenia Strzelców, gdzieś w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Nie dlatego aby wcześniej nie było w Łodzi groźnych pożarów. Wręcz przeciwnie. Kroniki miejskie podają na przykład, że już w roku 1572 „Bóg raczył nawiedzić pogorzelą miasteczko Łodzia". W wyniku pożaru spaliło się aż pół miasta, czyli 41 domów. W tamtych czasach traktowano jednak ogień jako dopust boży, a więc za jedyną „skuteczną" obronę uważano wystawianie gromnic w oknach domostw w celu odwrócenia kierunku pożaru.

Po dziesięciu latach, dzięki temu, że pan miasta pozwolił ze swego lasu wycinać drzewo, mieszczanie odbudowali domy, jednakże rozumu przy tym nie nabyli za wiele. Jeszcze dwieście lat później, po drugim rozbiorze Polski, jak wykazała ankieta władz pruskich, tylko w niektórych gospodarstwach znajdowały się sikawki drewniane o różnorakim zastosowaniu. Młodzieży służyły do urządzania dyngusa. Przydawały się do wykonywania lewatywy bydłu i koniom. Ewentualnie zaś mogły służyć do gaszenia pożaru. Oczywiście nie trzeba nikogo przekonywać, jak mało skuteczne były owe sikawki.

6

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny i zastępca redaktora naczelnego: 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96.
DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" 90-950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rekopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych, właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc., dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 1572. P-2.

Przegląd prasy

Na analfabetyzm polityczny wcale licznej grupy polskich inteligentów zwracałem uwagę wielokrotnie; ale tego nigdy za wiele — a poza tym komfortowo: jakoś prawie nikt się nie obraża... Nie ma bowiem takiego, kto poczułby się osobiście dotknięty pomówieniem całej grupy o jakąś brzydką przywarę. W takich przypadkach szalenie łatwo się odciąć, pokazując palcem na kolegów, mówiąc — ja jestem inny, to nie o mnie chodzi... Przed sobą samym alibi murowane.

Z drugiej zaś strony ja nie taki głupi, by napisać wprost, że konkretny, w swoim czasie urodzony, tu i ówdzie wykształcony, gdzie bądź zatrudniony i jakoś tam zamieszkały inteligent X jest analfabetą — do tego politycznym. Niedawno za łagodniejsze epitety (i do tego zgodne z prawdą) jeden taki przez trzy lata mnie po sądach włóczył.

W ten sposób oczywiście przez całe lata — ba, nawet pokolenia — można wytykać inteligentom ich grzechy (zresztą nie tylko inteligentom i nie tylko grzechy...) bez żadnego widocznego skutku. Ale zawsze to miło, gdy

PRZYBYWA SOJUSZNIKÓW

w tym zbożnym i żmudnym dziele.

Podczas dyskusji na XIX Plenum KC PZPR niezwykle interesujący, pełen pasji i mądrze uargumentowany pogląd w tej materii przedstawił Jerzy Krassowski — reżyser i dyrektor Teatru Narodowego. Jego wypowiedź, zatytułowaną „Odpowiedzialność za naród i państwo", wydrukowały m.in. „Argumenty" (nr 21 — 85.05.26).

„Oprócz wyrozumowanej „małkontencji" (czyli opozycji — przyp. TS) *np. wewnętrznej emigracji zarobkowej* — powiada Krassowski — *istnieje grupa (...) użytecznych poczciwców tzn. ludzi subiektywnie moralnych, może nawet ofiarnych, którym wmówiono, że „grają", a w rzeczywistości „są grani", (...)".* Ta wcale liczna, jak się okazuje, grupa jest właśnie obarczona politycznym analfabetyzmem; Krassowski swoją eksplikację przeprowadza na jednym z licznych możliwych wątków owego analfabetyzmu, zapewne najgroźniejszym — na kwestii niemieckiej.

„Dla nas Polaków — powiada Krassowski — *wartością szczególną, podlegającą ofiarnej trosce, była i jest*

SPRAWA NARODOWEJ WOLNOŚCI

i niezawisłości państwowej. (...) Nasze tradycje są nam drogie, naszej kultury nie wyrzeklibyśmy się nigdy, lecz dlatego, że tak właśnie odczuwamy jako naród (...) — dlatego musimy z dużą dozą czujności traktować próby grania na naszych uczuciach.

Afektem jednak łatwiej jest manipulować niż myślą, a któż bardziej od inteligencji winien chronić niezależność myśli? To nasza rola, to rola intelektualistów, którzy stoją i muszą stać na straży czystości mózgu, bo jeśli tego nie robią, nie są intelektualistami. Niechże podlegają weryfikacji ci, którzy pragną polskim intelektualistom wmówić, że sprawa suwerenności narodowej istnieje tylko w odniesieniu do Wschodu, wobec Zachodu zaś nawet zaprzaństwo narodowe otrzymuje miano patriotyzmu. (...)

Słyszymy o Targowicy — ma to być rym do współczesności, ponieważ znowu chodzi o Wschód. (...) Dziś o Targowicy słyszymy od ludzi, którzy nawołują do rewizji Jałty i Poczdamu, którzy w zachodnich środkach masowego przekazu wołają o stosowanie wobec Polski i Polaków przemocy. Przy dużej powściągliwości trzeba jednak nazwać rzecz po imieniu: jest to polityczna hipokryzja przyprawiająca o mdłości. Nie w tym rzecz, że wśród 37 milionów znajdują się politycznie aferzyści. Chodzi jednakże o to, że zjawisko takie rachuby swoje opiera o

ISTNIENIE DALTONIZMU POLITYCZNEGO

bo przecież nie o wydolność intelektualną tu idzie".

Nie ulega wątpliwości, że ów daltonizm (to samo, co ja nazywam politycznym analfabetyzmem) jest szczególną przypadłością Polaków — ale nie wyłącznie inteligentów. Skąd właściwie się on bierze? Sądzę, że nie tylko z niedostatków edukacji, choć te są jego źródłem podstawowym. Ale są jeszcze dwa istotne powody — pierwszym z nich jest merytorycznie nikły współudział obywateli w całym systemie demokratycznego sprawowania władzy; nic tak bowiem nie kształci politycznie jak praktyka i rzeczywiście odczuwalne konsekwencje współodpowiedzialności. Drugim powodem jest — jak sądzę — żywiołowy wzrost tzw. drobnomieszczaństwa jako systemu wartości i sposobu życia, wręcz ideologii; a już dawno Tuwim dowiódł, chociaż wierszem, że istotą drobnomieszczaństwa jest przestrzeganie świata osobno i bezrefleksyjnie.

Nie jest to zresztą jedyny problem z inteligencją. Myliłem się, pisząc kilka tygodni temu (nr 18 „Odgłosów" — 85.05.04.), że „okołoplenarna" fala zainteresowań inteligencją szybko opadnie. Jest to chyba zbyt fajny temat, by z niego zrezygnować. Przeto słuszny jest pogląd Krzysztofa Teodora Toeplitza („Polityka" nr 21 — 85.05.25.), że otworzyliśmy właśnie puszkę Pandory...

„...Niekoniecznie muszą wylatywać z niej zarazy i plagi, jak w antycznym micie, ale na pewno muszą z niej wylatywać problemy trudne, nowe, nie dające się zbyć ogólnikiem. (...) Problemy inteligencji w Polsce, zwłaszcza obecnie, mają bowiem to do siebie, że z trudnością dają się zakrzyczeć hurraoptymizmem, pokryć upraszczającymi sloganami, lecz raz poruszone muszą prowadzić w stronę spraw skomplikowanych".

KTT też od razu rusza w tę stronę. Start ma ostry, ale wyniki wątpliwe. Pisze bowiem tak: *„Sprawa, upraszczając nieco, sprowadza się więc*

DO WZOROTWÓRSTWA

(...) to, że warstwa fachowych, wykształconych i rzutkich ludzi potrzebna jest społeczeństwu w jego awansie do XXI wieku — jest oczywistością. Koncentrując się jednak na tej oczywistości nie powinniśmy tracić sprzed oczu także drugiej, wielkiej kwestii — że potrzebna jest w społeczeństwie warstwa, która potrafiłaby stworzyć wzorce zachowania i myślenia, zdolne przeciwstawić się rozkładowi moralnemu, ślepocie światopoglądowej i politycznej, obniżeniu kryteriów wykształcenia i kultury. To znaczy obniżeniu rzeczywistej wartości życia, które przeżywamy".

Amen — tak porywająca jest to wizja, tak wielka jest to misja. Gdyby nie drążąca całą tę konstrukcję intelektualną, taka drobna moja wątpliwość — skąd KTT wie, że wielkie klasy społeczne w społeczeństwie budującym socjalizm nie są we własnym zakresie zdolne do wzorotwórstwa i zechcą takowe akurat powierzyć warstwie specjalnych „guru", przewodników, nauczycieli i strażników świętego ognia. Skąd wie, że jeśli nawet do tego dojdzie, wyprodukowane wzorce trafią do mas gotowych do bezkrytycznego ich zaakceptowania, zwłaszcza w aspekcie moralnym...

Dlatego czysty

MIÓD W MOJE SERCE

leje (w tym samym numerze „Polityki") pisarz Eustachy Rylski, autor najlepszego ubiegłorocznego debiutu, który na pytanie wywiadowcy Zdzisława Pietrasika — *„czym zatem jest literatura?"* — odpowiada tak: *„Literatura to jest opowiadanie interesujących historii".* I jeszcze mówi rzecz najważniejsza: *„Jeżeli będę w ogóle dalej pisał, co wcale nie jest pewne, to na pewno nie dlatego, żeby załatwiać jakieś ważne sprawy. Pisarz nie jest ani inżynierem dusz, ani sumieniem, ani przewodnikiem, wiele szkód zostało poczynionych dlatego, że niektórym tak się wydawało".*

Kocham pana, panie Rylski — właśnie za tę opinię...

Natomiast pozostając ciągle przy tym samym numerze „Polityki" — zupełnie nie rozumiem Zygmunta Szeligi (nie będąc w tym odosobniony), kończącego właśnie swój satyryczno-statystyczny serial „Gdzie się żyje najlepiej", trzecim odcinkiem poświęconym „zagadkowym różnicom" między województwami.

Oto Zygmunt Szeliga natrafił na dane dotyczące śmiertelności niemowląt i dziwi się niepomiernie, dlaczego najwyższa jest w woj. piotrkowskim (24,8 zgonów na 1000 urodzeń) i w łódzkim (23,7 — na 1000). *„Nie widać żadnych wyraźnych związków między śmiertelnością niemowląt a warunkami naturalnymi, uprzemysłowieniem, urbanizacją, wysokością zarobków i dochodów itd. Nie daje też odpowiedzi analiza danych o służbie zdrowia. (...) Nasuwa się podejrzenie, że im mniej lekarzy (...) tym większe szanse dla niemowlęcia. I odwrotnie (np. w łódzkim aż 31,1 lekarzy na 1000 mieszkańców)".*

Biedny Szeliga... Tabele statystyczne przesłoniły mu całkowicie

ZDOLNOŚĆ POSTRZEGANIA ŚWIATA

jaki jest naprawdę. Otóż zaręczam Szelidze, że można dowiedzieć się, dlaczego w łódzkim i piotrkowskim jest najwyższa śmiertelność niemowląt — obejdzie się bez prowokowania służby zdrowia. Tyle, że dotarcie do prawdy może być trudne — mimo „wszechmocy" prawa prasowego. Co więcej — sądzę, że wiem, dlaczego tak jest, aczkolwiek swój pogląd opieram bardziej na intuicji i doświadczeniu, niż na konkretnych dowodach, o które bardzo trudno.

Po takim oświadczeniu, będącym w istocie przyrzeczeniem publicznym, nie pozostaje mi nic innego, jak zobowiązać się, że spróbujemy dotrzeć do prawdy, chociaż, jak wynika z moich przeszłych doświadczeń, może to się nadal okazać niemożliwe...

Dajmy wszakże pokój tematom smutnym, a nawet ponurym. Dobiega końca maj — czas więc najwyższy pomyśleć o lecie, także w dziedzinie zawartości prasy — czyli mówiąc wprost: o tych ogórach pogłówkować, szanowni państwo! I pierwszy temat jak znalazł:

O SECESJI WŚRÓD NATURYSTÓW

donieśliśmy pierwsi, publikując list odszczepieńców — antymarczakowców (nr 18 — 85.05.04.). I proszę — temat podjęty! Groński w „Polityce" (ciągle ten sam numer) nawet zaprojektował hymn dla Odłączonych: *„My jesteśmy naturyści ideologicznie czyści"* itd. W „Tak i Nie" (nr 21 — 85.05.24.). Anna Poppek podjęła trud obrony prezesa Marczaka i jego idei. Nie będziemy zostawać w tyle...

Ale wszystko to furda! Cała Polska rzuca się na „Szpilki", albowiem zaczęły (nr 20 — 85.05.16.) one drukować fragmenty nowej powieści Zbigniewa Nienackiego

„WIELKI LAS"

Sam autor tak przedstawia swe dzieło: *„Książkę tę napisałem po lekturze powieści największego epika naszego stulecia Anthony Burgesa, pt. „Tremor of Intet". Zafascynowała mnie historia człowieka, który uczy kobietę miłości wyrzucając za okrętowy bulaj wszystkie podręczniki seksuologii. Uczyć siebie i uczyć kobietę miłości — czy to nie piękne? Napisałem książkę, która jest zaprzeczeniem przyjętego przez naszych krytyków — dobrego smaku i dobrego gustu. Zabawa z krytykami od lat bowiem stanowi rozrywkę w moim monotonnym życiu. (...) Bohater ma nazwisko Maryn. Postanowiłem dać zarobić naszym tandetnym „kalamburzystom".".*

Momentów nie cytuję, ale z drukowanego w „Szpilkach" fragmentu wynika, że będzie co poczytać. Powiem więcej — nie w „Szpilkach", tylko u nas „Wielki las" będzie drukowany w całości, zgodnie z obietnicą autora przyznającego „Odgłosom" pierwszeństwo i wyłączność. Nie wierzcie reklamiarstwu Fillera. „Wielki las" tylko u nas!

TOMASZ SAS

Minął tydzień

Z OKAZJI DNIA DRUKARZA

naszym przyjaciołom — towarzyszom sztuki drukarskiej z Prasowych Zakładów Graficznych w Łodzi, złączonym z nami wspólnym celem: wydawaniem możliwie najlepszego pisma, życzymy najserdeczniej:

— cierpliwości wobec naszych fanaberii, spóźnialstwa i bałaganiarstwa (umiarkowanego...);

— stałego i obfitego dopływu twardej gotówki na inwestycje i modernizacje;

— wstrzemięźliwości w podnoszeniu cen ich bezcennych usług;

— a prywatnie — wszystkiego najlepszego!

BIURO POLITYCZNE KC PZPR DOKONAŁO OCENY

sytuacji społeczno-politycznej w województwie łódzkim. Z uznaniem mówiono o działalności ideologicznej w łódzkiej instancji partyjnej. Oceniono inicjatywy zmierzające do poprawy warunków życia społeczeństwa — m.in. zahamowanie spadku ilości mieszkań oddawanych do użytku, dobre wyniki produkcyjne przemysłu lekkiego, który jednak domaga się pilnie modernizacji licznych zakładów. Zalecono m.in. poszukiwanie dalszych możliwości rozbudowy bazy socjalnej i doskonalenia pracy handlu w związku z najwyższą w kraju aktywnością zawodową kobiet. Z uznaniem podkreślono planowy przebieg budowy Szpitala — Pomnika Centrum Zdrowia Matki-Polki.

PLENUM KŁ PZPR POŚWIĘCONE KULTURZE

obradowało w poniedziałek, 27 maja. O kwestiach dotyczących przemian i kierunków rozwoju kultury w naszym województwie podniesionych w dyskusji i dokumentach uchwalonych podczas posiedzenia poinformujemy w następnym numerze

W CENTRUM PRASOWO-TELEWIZYJNYM

przy ul. Sienkiewicza gościł kierownik Wydziału Prasy, Radia i Telewizji KC PZPR Bogdan Jachacz, zapoznając się z warunkami naszej pracy i koncepcjami rozwoju centrum jako ośrodka kulturotwórczego w mieście.

JUBILEUSZE CZTERDZIESTOLECIA

obchodziły dwie największe łódzkie uczelnie wyższe — Uniwersytet i Politechnika. Ich dorobek to nie tylko tysiące absolwentów pracujących w gospodarce narodowej, nie tylko setki rozwiązanych problemów naukowych i prac badawczych oraz praktycznych wdrożeń, lecz przede wszystkim stworzenie z naszego miasta ośrodka nauki, liczącego się w kraju i poza jego granicami.

PROCES TRZECH ORGANIZATORÓW

nielegalnego związku — Bogdana Lisa, Adama Michnika i Władysława Frasyniuka — rozpoczął się w Gdańsku. Prokuratura oskarża ich o kierowanie „podziemnymi" strukturami byłej „Solidarności" i dążenie do wywołania niepokojów publicznych. Oskarżeni nie przyznali się do winy, a Michnik stwierdził, że nie rozumie zarzutów (?!).

„IZAURYZACJA"

naszego życia publicznego osiągnęła szczyt. Bohaterowie najpopularniejszego w dziejach polskiej TV serialu — brazylijscy aktorzy Lucelia Santos i Rubens de Falco odwiedzili nasz kraj. Trudno opisać, co się z tego powodu działo, niemniej nasi reporterzy podjęli ten trud — w najbliższym numerze relacja z „łódzkiego epizodu".

VICESEKATOR

Pod skrzydłami „Ruchu"

Kiedy w 1969 r Przedsiębiorstwo Upowszechniania Prasy i Książki „Ruch" zainicjowało na obszarze ówczesnego województwa łódzkiego przegląd amatorskich teatrów lalkowych, działających przy klubach prasy i książki, organizatorzy imprezy spoglądali w przyszłość z niezmąconą ufnością. W kolejnych przeglądach, odbywających się co dwa lata, wzrastała systematycznie liczba uczestniczących zespołów, impreza nie utraciła rozmachu również po nowym podziale administracyjnym.

Pierwsze powody do niepokoju o przyszłość nie tylko tego przeglądu, ale ruchu amatorskiego w ogóle, wystąpiły z początkiem lat osiemdziesiątych. Przed dwoma laty przegląd, odbywający się tradycyjnie w uniejowskim zamku (tradycyjnie też pod przewodnictwem Marty Janicowej) zgromadził już kilkanaście zespołów, w tegorocznym natomiast, jubileuszowym, bo już dziesiątym uczestniczyły 22 zespoły z woj. piotrkowskiego, sieradzkiego, skierniewickiego i łódzkiego, a kilku czy kilkunastu zespołów, istniejących przy klubach, nie zakwalifikowano do przeglądu.

Pomińmy zagadnienie artystycznej jakości zaprezentowanych przedstawień, co wymagało odrębnego, analitycznego omówienia, choć nawet na podstawie obejrzenia kilku zespołów łatwo można stwierdzić znaczną rozpiętość poziomu, często, ale nie zawsze, jak się okazuje, zależną od tego, kto opiekuje się zespołem: fachowy instruktor, gospodarz klubu czy, powiedzmy, miejscowy nauczyciel. Najważniejsze jest samo uczestnictwo, ważny bezinteresowny trud włożony w przygotowanie się do przeglądu, wprawdzie niewymierne, ale bezsporne są korzyści samokształceniowe, m.in. w dziedzinie kultury słowa, a wreszcie wartość nie do pogardzenia stanowi sam przyjazd z odległej nieraz miejscowości i atrakcyjny pobyt w pięknym parkowym otoczeniu uniejowskiego zamku.

Pomoc przedsiębiorstwa „Ruch" dla ruchu amatorskiego, rozwijanego przy klubach, jest znaczna i wszechstronna. Zapewnia ono pieczę zawodowego instruktora, a w przypadku sprawowania jej przez gospodarza klubu umożliwia przeszkolenie na Uniwersytecie Ludowym w woj. kieleckim, finansowanym przez ZG RSW „Prasa-Książka-Ruch", ponadto „Ruch" dba o materiały repertuarowe i metodyczne.

Różnorodna postać tak cennego dla amatorskiej kultury mecenatu „Ruchu" zasługuje z pewnością na gruntowniejsze omówienie.

J. K.

Maj, czerwiec 1905 roku w Łodzi (3)

Na początku maja 1985 roku opublikowałem w „Odgłosach" dwa artykuły pod wspólnym nadtytułem: „Maj, czerwiec 1905 roku w Łodzi". Pierwszy z nich nosił tytuł: „...nie garstka to tylko zuchwalców", a drugi: „Na bakier czapki, do góry wąsy". Pierwszy przedstawiał przygotowania i obchody 1 Maja w Łodzi w 1905 roku. Drugi opowiadał o znaczeniu pieśni robotniczej w walce klasowej. Po wydarzeniach majowych z 1905 roku sytuacja w Łodzi uspokoiła się tylko pozornie. Nadal rosło niezadowolenie robotników, o swoje prawa walczyli rzemieślnicy, nasilał się niepokój warstw panujących. Teraz więc przedstawiam to, co działo się w Łodzi po 1 maja 1905 roku. Ponieważ jest to ciąg dalszy prezentowanych poprzednio wydarzeń i problemów, stąd i kolejność numeracji rozdziałów.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Zanim nadeszło upalne lato

13. STRACH PADŁ NA POLICJĘ

jeszcze na długo przed wydarzeniami pierwszomajowymi w Łodzi, gdy policmajster łódzki Iłarion Chrzanowski pisał raport do zwierzchnich władz w Piotrkowie Trybunalskim i zawarł w nim następujące stwierdzenie:

„...otrzymuję stale raporty od podległej mi policji o nadzwyczaj niespokojnym, bliskim paniki nastroju w mieście, o ostrzeganiu prywatnych osób, by nie znajdowały się na ulicy w pobliżu funkcjonariuszy policji, oficerów i wojsk, gdyż mogą zginąć razem z nimi...".

Nie były to płonne obawy. W czasie ostatniej demonstracji 1 maja 1905 roku, kiedy pochód późnym wieczorem przechodził ulicą Nawrot, koło domu nr 102, demonstranci zadali nożem siedem ran Ksaweremu Bieniakowi, biorąc go za agenta policji.

„Z pola walki" — pismo SDKPiL — doniosło, że 3 maja o godzinie 20,30 na rogu ulicy Wschodniej i Średniej (Marcelego Nowotki) poraniony został rewirowy Poniatowski. Tegoż dnia strzelano do rewirowego Marmuzowa, ale bez skutku. Marmuzow jednak tak przestraszył się zamachu, że uciekł za granicę.

„Wczoraj znów zdarzyły się wypadki napadu na agentów policji śledczej" — doniósł endecki „Rozwój" 5 maja 1905 roku. Na ulicy Przejazd (Juliana Tuwima) poraniono 18-letniego Władysława Szczepaniaka, a na ulicy Mikołajewskiej (Henryka Sienkiewicza) pobito kijami Władysława Romanowicza.

„Z pola walki" sugerowało, że od 1 maja 1905 roku ucierpiało w Łodzi więcej policjantów i tajnych agentów niż to podawały oficjalne źródła. Nienawiść do policji i jej agentów była wówczas ogromna. Rozmiary tej nienawiści ilustruje takie oto wydarzenie. W czasie rewizji w jednym z łódzkich domów oficer żandarmerii zwrócił się do towarzyszącego mu cywila per *„panie Nowakowski"*. Wiadomość o tym, że *„pan Nowakowski"* jest agentem policji rozeszła się szybko i trafiła do bojowców. Ci postanowili... zapolować na Nowakowskich. Jednego dnia zabito sześć osób o tym nazwisku, sądząc, że wśród tych sześciu może być i ten właściwy.

Wieczorem 8 maja 1905 roku w czasie nabożeństwa majowego odprawianego w kościele św. Krzyża na rogu ulicy Przejazd (Juliana Tuwima) i Mikołajewskiej rozpoznano agenta policji Andrzeja Maciaszka. Czując się zagrożonym, Andrzej Maciaszek uciekł z kościoła i schronił się w jednym z domów przy ulicy Przejazd. Następnie wdrapał się na dach tego domu. Ściągnięto go z dachu na ulicę i potwornie pobito. Jego twarz przedstawiała krwawą miazgę, a w pęknięciu czaszki widać było mózg. Zgromadzony wokół pobitego tłum nie pozwolił zbliżyć się lekarzowi dla udzielenia pomocy. Dopiero oddział kozaków i piechoty odpędził tłum i umożliwił lekarzowi zajęcie się ofiarą. Andrzeja Maciaszka przewieziono do szpitala, gdzie zmarł.

Samosąd dokonany na Andrzeju Maciaszku znalazł swój epilog przed sądem. „Rozwój" doniósł 19 maja 1905 roku, że ukarano za ten czyn braci Feliksa i Władysława Dospiełłów, Józefa Zimeckiego i Władysława Janiszewskiego.

14. JAK ROZPRAWIONO SIĘ Z POLICMAJSTREM

10 lutego 1905 roku przed fabryką Ludwika Geyera na ulicy Piotrkowskiej strzelono do łódzkiego policmajstra Iłariona Chrzanowskiego. Został lekko draśnięty. Nic więc dziwnego, że w kwietniu 1905 roku, gdy pisał swój raport o przygotowaniach robotniczych do obchodów 1 Maja, nie omieszkał zamieścić tam następującej prośby:

„Kończąc mam zaszczyt prosić najuprzejmiej Waszą Ekscelencję, czy nie uzna Pan za możliwe dać do codziennej mojej dyspozycji eskorty z 6 kozaków, którzy towarzyszyliby mi podczas moich przejazdów służbowych po mieście, z tego powodu, że i ja otrzymuję listy z pogróżkami, mając zaś na względzie obowiązek służbowy nie uważam za możliwe pozostawić miasta bez mego osobistego nadzoru.

Rozumiem dobrze, że taka eskorta nie może mnie w zupełności osłonić, jednakże daje pewną gwarancję bezpieczeństwa, a co najważniejsze — możność zatrzymania przestępcy w każdym miejscu".

Gubernator piotrkowski M. Arcimowicz uznał prośbę za zasadną i przydzielił eskortę. Obawy Iłariona Chrzanowskiego nie były bezpodstawne. Planowano na niego zamach. Domyślał się tego i nawet z eskortą rzadko pokazywał się na ulicy. Było to właśnie w kwietniu 1905 roku. Zamachu podjęła się bojówka PPS.

Bojowcy zrozumieli, że nie uda się im zapolować bezpośrednio na policmajstra. Postanowili więc użyć podstępu. Zaplanowali zamach na kapitana Wiśniewskiego, pogromcę robotników fabryki L. Geyera. Zaczajono się na niego na Górnym Rynku (Plac Władysława Reymonta). Rozumowanie było proste: jeśli padnie kapitan Wiśniewski, to Iłarion Chrzanowski będzie musiał przyjechać na miejsce zamachu, a wtedy zabity zostanie i on. Zamachowcy jednak próżno czekali na kapitana Wiśniewskiego. Zainteresował się natomiast nimi policjant. Chciał zrewidować jednego z bojowców, akurat tego, który miał ukrytą bombę. Policjanta zastrzelono. Z 10 osób, z jakich składała się bojówka, 7 zostało ujętych. W śledztwie zeznali oni, że planowali zamach na policmajstra Iłariona Chrzanowskiego.

Nic więc dziwnego, że gdy zbliżał się 1 Maja, Iłarion Chrzanowski mając nawet eskortę 6 kozaków, poczuł się zagrożony i wyjechał z Łodzi. Skomentowało to „Z pola walki", pisząc, że *„policmajster tutejszy Chrzanowski, łotr, jakich niewielu wziął urlop i pojechał do swego majątku na wieś. Tam czuje się, widać, bezpieczny".*

W 1905 roku nie udało się dokonać zamachu na łódzkiego policmajstra. A skoro już jestem przy zamachach na niego, to pozwolę sobie doprowadzić rzecz do końca, choć to narusza przyjętą chronologię. Następny bowiem zamach przygotowywała w 1906 roku Organizacja Techniczno-Bojowa ŁKR PPS. Nie doszedł on jednak do skutku. Iłarion Chrzanowski zdawał sobie sprawę jaka w Łodzi panuje nienawiść do niego i nie dawał zamachowcom okazji spełnienia ich zamierzeń. Postanowiono znów skorzystać z podstępu.

W grudniu przypada Mikołaja. Były to przecież imieniny cara Mikołaja II. W tym dniu policmajster łódzki Iłarion Chrzanowski musi udać się na nabożeństwo do cerkwi. Trzeba więc urządzić zasadzkę na trasie. Zasadzkę taką urządzono na zbiegu ulic Mikołajewskiej i Krótkiej (Romualda Traugutta). Iłarion Chrzanowski jechał powozem w otoczeniu sześciu dragonów. Eskortę ostrzelano. Spłoszone nagłymi strzałami konie poniosły. Do powozu zamachowcy rzucili bombę, ale ta — własnej roboty — nie wybuchła. Rzucono drugą. Padła na tył powozu i wybuchła. Iłarion Chrzanowski został ranny w nogę i popękały mu bębenki w uszach. Ranni byli też woźnica i policjant, który siedział obok niego na koźle, oraz jeden z eskortujących powóz dragonów. Stało się to wszystko w grudniu 1906 roku.

15. W ŁODZI NADAL BYŁO NIESPOKOJNIE

Minął 1 maja 1905 roku. W Łodzi nadal było niespokojnie. Wieczorem 4 maja do teatrów „Wielki" i „Apollo", które mieściły się przy ulicy Konstantynowskiej (Obrońców Stalingradu), przybyło około 200 młodych ludzi i zażądało przerwania przedstawień, gdyż tego dnia w Warszawie i Łodzi odbyły się pogrzeby zastrzelonych przez wojsko w dniu 1 maja. Policjanci dyżurujący w teatrach usiłowali zatrzymać młodzież, ale wieść o żądaniach demonstrantów dotarła na widownię i publiczność sama wyszła z teatrów. Dyrekcje obu teatrów oświadczyły, że przerywają spektakle z przyczyn od nich niezależnych. Gdy do teatrów przybyło wojsko nikogo już nie zastało.

Trwały nadal strajki rzemieślników, urzędników, czeladników. 9 maja 1905 roku „Rozwój" doniósł o trwającym strajku czeladników piekarń chrześcijańskich. Poinformował też, że w szpitalu imienia Małżonków Poznańskich podniesiono płace o 15 proc. wyższemu personelowi i o 10 proc. niższemu. Zobowiązano się poprawić wyżywienie.

Czeladnicy murarscy domagali się w tym czasie 10-godzinnego dnia pracy z półgodzinną przerwą na śniadanie i półtoragodzinną na obiad. Domagali się wcześniejszego kończenia o godzinę pracy w sobotę, ale godzina ta musi być też płacona. Domagali się pokrywania kosztów leczenia skutków wypadków przy pracy.

Zastrajkowali stróże domowi. Domagali się podwyżki płac i nie chcieli więcej być na służbie policji.

Subiekci księgarscy żądali wolnych niedziel dla chrześcijan i sobót dla Żydów. Domagali się, aby księgarnie były otwarte od godziny 8 do 21, chcieli mieć prawo do dwutygodniowego urlopu między majem a wrześniem i domagali się podniesienia płacy o 10 procent. Żądania te zostały spełnione przez właścicieli księgarń. Podpisano stosowną umowę, która zawierała 20 punktów.

Doszło do porozumienia piekarzy z czeladnikami. Podobnie zresztą w Pabianicach, gdzie cechowi piekarzy przewodził Edmund Drabikowski. Doszło do porozumienia między pracownikami a właścicielami firmy murarskiej Nestler i Ferenbach. Za ich przykładem poszły inne firmy murarskie w Łodzi. Podobnie stało się w firmach krawieckich. Najpierw żądania czeladników spełniły firmy krawieckie: Adolfa Kestlera z ulicy Mikołajewskiej i Wilhelma Wackera z rogu ulicy Piotrkowskiej i Głównej (aleja Adama Mickiewicza).

Strajkowali czeladnicy rzeźniccy, kelnerzy oraz kolejarze. „Rozwój" doniósł, że 10 maja 1905 roku przyjechał do Łodzi inż. Kopytowski — członek Rady Zarządu Kolei Fabryczno-Łódzkiej, aby rozpatrzyć kolejarskie żądania. Domagali się oni skrócenia czasu pracy, założenia telefonów w budkach zwrotniczych, przydzielenia pomocników dla zawiadowcy i kasjerów na stacji Łódź Fabryczna oraz zwiększenia liczby dróżników. Inżynier Kopytowski — jak informował „Rozwój" — jeszcze kilkakrotnie przyjeżdżał do Łodzi w sprawie kolejarskich żądań, nim je w końcu spełniono.

Nie we wszystkich cechach dochodzono jednak do porozumienia. Nie doszło do takiego porozumienia w cechu stolarzy i ślusarzy.

Niespokojny był maj 1905 roku w Łodzi. Ten niepokój spowodował, iż na ogrodzeniu cmentarza przy kościele św. Krzyża wywieszono ogłoszenie następującej treści:

„Kilkakrotnie upominaliśmy naszych parafian do spokojnego zachowania się po skończonym nabożeństwie majowym.

Ponieważ upomnienia nasze pożądanego skutku nie odnoszą, w obawie przeto, aby z powodu wyzywającego zachowania się nie nastąpił rozlew krwi niewinnych ofiar, raz jeszcze zawiadamiamy, iż zmuszeni będziemy do nieodprawiania nadal nabożeństwa majowego".

Ogłoszenie to podpisał ksiądz proboszcz Karol Szmidel, a opublikował je również „Rozwój". Było to 18 maja 1905 roku. W kilka dni później tenże „Rozwój" — powołując się na informacje uzyskane od księdza Karola Szmidela — doniósł, iż arcybiskup warszawski zawiesił we wszystkich kościołach Łodzi odprawianie nabożeństw majowych.

16. NIEUDANY STRAJK I ROZPRAWA Z MAJSTRAMI

Strajki w tym czasie zdarzały się niemal codziennie. Ale o dziwo zapowiedziany na 15 maja 1905 roku strajk powszechny protestacyjny przeciw strzelaniu do pierwszomajowych demonstracji nie udał się. Wywiad żandarmerii carskiej był dobrze poinformowany o przygotowaniach do tego strajku. Udało się tajnym agentom carskiej żandarmerii dowiedzieć, że w związku z przygotowaniami do strajku na 15 maja do Łodzi przyjadą inteligenccy działacze „Bundu". W nocy z 11 na 12 maja 1905 roku przeprowadzono rewizję u Izydora Lewkowicza i znaleziono wiele ulotek oraz sztandar z napisem: *„Niech żyje Ogólno-Żydowski Związek Robotniczy na Litwie, w Polsce i Rosji", „Precz z samowładztwem", „Niech żyje socjalizm".* Aresztowano też kilku obecnych tam działaczy „Bundu" oraz gospodarza.

Takich rewizji tej nocy było więcej. Tajniacy obserwowali agitujących za strajkiem i śledzili ich. W taki sposób trafiono do mieszkania tkacza Dawida Gutmana, u którego znaleziono 48 ulotek wzywających do strajku w języku polskim i 64 w języku jidysz.

Kontrakcja policji zapobiegła strajkowi. Również — jak to trafnie ujął generał major W. A. Czerkasow — *„dzięki obecności znacznej liczby wojsk strajk nie miał powodzenia".* Ale sytuacja nie wyglądała wcale dobrze. Policmajster łódzki Iłarion Chrzanowski śle teraz do Warszawy raporty, w których informuje o sytuacji strajkowej w Łodzi. I ma o czym donosić. Każdego następnego dnia rośnie liczba strajkujących fabryk. Również „Rozwój" informuje o strajkach. Na przykład 23 maja doniósł, że strajkowało 1.083 robotników, 25 maja — 2.661 robotników, a już 26 maja — 10.040 i wreszcie 31 maja — jak poinformował „Rozwój" — w Łodzi strajkowało 20.579 robotników w 50 fabrykach.

Nie były to tylko zwykłe strajki, podczas których wysuwano różne żądania. Była to też rozprawa ze znienawidzonymi majstrami, którzy szczególnie „zasłużyli się" w gnębieniu robotników. 16 maja 1905 roku „Rozwój" doniósł:

„W fabryce Karola Bennicha i Arona Wojdysławskiego, robotnicy niezadowoleni z postępowania zarządzających fabrykami, wynieśli ich na ulicę".

19 maja 1905 roku:

„Dziś o godzinie 7 rano robotnicy w liczbie 130 przyszli do fabryki wstążek jedwabnych Tow. Akc. Czamańskich przy ul. Piotrkowskiej 96 — i najpierw wynieśli na ulicę obermajstra Albitza, wrzuciwszy go do rynsztoka, a następnie wróciwszy do Zarządu Fabrycznego postawili za warunek, że jeżeli do jutra nadmajster nie będzie wydalony, wszyscy robotnicy zastrajkują".

Żądanie to poparli robotnicy z filii Towarzystwa Akcyjnego S. Czamańskiego która mieściła się przy ulicy Długiej 91 (Gdańska).

Siłą usunięto z fabryki Karola Szultza zarządzającego Pfeifera, z fabryki Markusa Fuchsa — majstra Zimmermana, z fabryki Ludwika Geyera — podmajstra Hillego.

Chwytano się różnych sposobów.

W fabryce Karola Scheiblera (Wodny Rynek 2 — dziś Plac Zwycięstwa) robotnicy weszli do kantoru i wzięli dyrektora Karola Kozłowskiego na ręce, wynieśli go na ulicę i z okrzykiem: hura! tam go rzucili. Karol Kozłowski nie wrócił już do fabryki, udał się szybko do domu, a następnie wyjechał z Łodzi.

Robotnicy fabryki D. Freidenberga przyszli do mieszkania Hermana Freidenberga i zaprosili go do fabryki na rozmowy, zapewniając mu bezpieczeństwo. Herman Freidenberg poszedł do fabryki, podjął rozmowy z robotnikami. Wysłuchał ich żądań i obiecał dać na nie odpowiedź następnego dnia. Ale robotnicy na to się nie zgodzili i zażądali odpowiedzi natychmiast. Aby Herman Freidenberg nie mógł wezwać pomocy, przerwali połączenie telefoniczne.

Natomiast robotnicy fabryki Towarzystwa Akcyjnego Sz. Rosenblatta, która mieściła się przy ulicy św. Karola (Franciszka Żwirki), wzięli przedstawiciela firmy Maksa Rosenblatta na ręce i tak długo go trzymali, aż obiecał spełnić ich żądania.

Kończył się maj, zbliżało się lato, a więc i urlopy. Na urlop wyjeżdżali właściciele fabryk, bogaci mieszczanie, wyżsi urzędnicy, kupcy, ludzie wolnych zawodów. Na urlop pojechał też Emil Geyer. Za nim na urlop postanowiła udać się jego żona Anna. Przed domem przy ulicy Piotrkowskiej 103 zatrzymał się powóz, do którego wsiadła Anna Geyer. Ale tu spotkała ją niespodzianka. Robotnicy firmy Ludwik Geyer, w której Emil Geyer był zarządzającym, wyprzęgli konie z powozu, a Annę Geyer wnieśli na rękach do domu, z prośbą, aby nie wyjeżdżała, bo może być im potrzebna. Anna Geyer nie usłuchała tej prośby. Potajemnie, pieszo, opuściła dom, a następnie wyjechała z Łodzi.

17. ZNÓW ROZLEGŁY SIĘ STRZAŁY

Zaostrzająca się sytuacja w Łodzi musiała doprowadzić do starcia. Tak się też stało. 26 maja 1905 roku o godzinie 23,55 gubernator piotrkowski M. Arcimowicz depeszował do generał gubernatora warszawskiego K. Maksymowicza:

„W uzupełnieniu dzisiejszej depeszy donoszę, że konny patrol kozacki wezwany w Łodzi do fabryki Scheiblera powitany został kamieniami przez tłum strajkujących robotników sąsiedniej fabryki. Jeden kozak został ranny. Kozacy oddali sześć strzałów, od których jeden robotnik został zabity, dwóch rannych. Dziś całkowicie i częściowo zastrajkowało w dziesięciu fabrykach 15.000 robotników. Sytuacja zatrważająca, można oczekiwać strajku powszechnego".

Zastrzelono wtedy na rogu ulicy Mikołajewskiej i Emilii (8 Marca) Jerzego Grabczyńskiego, który akurat spokojnie udawał się do domu, a raniono Franciszka Siudę. Robotnicy zabrali ciało zabitego, SDKPiL wezwała wszystkich do udziału w pogrzebie na 28 maja 1905 roku.

Była to niedziela. Zebrało się blisko 30 tysięcy ludzi. Odśpiewano *„Czerwony sztandar"*. Wygłoszono przemówienia: po polsku i niemiecku. Wznoszono okrzyki: *„Precz z caratem!", „Niech żyje rewolucja!", „Niech żyje sprawa robotnicza!", „Nieder mit dem Absolutismus!", „Es lebe die Socjaldemokratie!".*

W pogrzebie wzięły udział delegacje PPS i „Bundu". Na sztandarze PPS widniał napis: *„Precz z rządem morderczym! Niech żyje wolność! PPS"*. Delegacja „Bundu" przyniosła wieniec. Na sztandarze SDKPiL widniały napisy: *„Precz z wojną! Precz z caratem! Niech żyje rewolucja! Cześć poległym bohaterom!"*. Kondukt pogrzebowy przemaszerował ulicami: Fabryczną, Pustą (Stanisława Wigury), Piotrkowską do Czerwonej, Wólczańską do Kątnej (Walerego Wróblewskiego) i przez pole na cmentarz. Grały orkiestry. Sklepikarze pośpiesznie zamykali sklepy. Nagle rozległy się strzały. Na tłum maszerujący za trumną padł strach. Okazało się jednak, że to bojowcy strzelają na postrach. Nakazano im ciszę.

Na cmentarzu przemówienia po polsku i niemiecku. Przedstawiciel PPS wzywał do walki z Moskalami. Przedstawiciel SDKPiL odpowiedział mu, że nie o walkę z Moskalami chodzi, a o walkę z rządem carskim. Do miasta powrócono gromadą z rozwiniętymi sztandarami.

Pod sam koniec maja doszło do starcia robotników z wojskiem na ulicy św. Andrzeja (Andrzeja Struga), gdzie było pięciu rannych i na Widzewie, gdzie było osiemnastu rannych.

W sali koncertowej Fryderyka Sellina zebrali się majstrowie, aby zastanowić się, dlaczego robotnicy wyrzucają ich na ulicę i co dalej robić. Obecni byli delegaci z Pabianic i Tomaszowa Mazowieckiego. Wybrano dwanaście osób jako sąd polubowny, który ma rozpatrywać spory między majstrami i robotnikami.

W sali Giełdy natomiast zebrali się fabrykanci. Radzili długo, ale w końcu doszli do wniosku, że trzeba *„wysłać zbiorową petycję* — jak poinformował „Rozwój" — *drogą telegraficzną do generał gubernatora warszawskiego o przedsięwzięcie środków ochronnych, zabezpieczających osoby, jak i majątki właścicieli fabryk".*

Nadchodziło piękne, upalne lato 1905 roku.

PS. Uważny Czytelnik zwrócił mi uwagę, że opisując wystawę z bukietem czerwonych róż i nożem kuchennym, symbolizującymi rewolucję popełniłem błąd. Opis ten zaczerpnąłem z „Łódzkich pór roku" Ireny Tuwim Zamieniłem „kwiaciarnię Salwy" na „kawiarnię Salwy". Za ten błąd przepraszam.

L. W.

Jak kulturę ciągnąć w górę?

ze str. 1

nowych kufrów na stroje dla zespołu. Większość z nich ma wartość muzealną: oryginalne hafty, wyszywanki... A przed nami wyjazd do Francji i Holandii.

— *Panie, jak ponad setka naszych tancerzy kończy próbę (nie mówię o młodych, młodszych i najmłodszych) to mają do dyspozycji dwie umywalki w pokoiku gospodarczym. Nawet byle jakiego prysznica nie ma. Pięć lat temu miały być wymieniane stropy, bo grożą zawaleniem. Do dziś jest to nie zrobione. Ale my nie narzekamy.*

— *A na ostatnią imprezę dałem 154 osoby i mogłem dać dwa razy tyle. A „Obrońcy Pokoju", ten największy zakład w Łodzi dał 34, z tego dwoje pożyczonych od nas. A oni mają 11 mln ze swojego zakładu i 4 mln z UMŁ. Widzi pan.*

Zupełnie bez sensu, w tym kontekście i bez przekonania mówię o nowoczesności, o kryzysie klasycznego modelu, o nowych formach.

— *Chodź pan* — dyrektor otwiera wielką szafę w ścianie. Są tam trzy gitary elektryczne. — *To jest nasza nowoczesność. Przyszli młodzi, chcieli mieć zespół. Dobrze, mówię, a nuty znacie? Nie? No to się najpierw nauczycie. Dałem im instruktora i nauczyli się. I mają zespół.*

— *Model tego domu kultury wypracowywaliśmy 35 lat. I nam się sprawdza. Nie poprawia się pieca, który dobrze grzeje.*

Po chwili dodał: — *A może te formy tradycyjne są właśnie nowoczesne?*

Nie wiedziałem, co mam odpowiedzieć.

Posiedziałem jeszcze trochę (jakoś nie chciało mi się wychodzić) w tym gaszczu spraw i ludzi (zupełnie przestało mi to przeszkadzać), posłuchałem opowieści o tym, że stan wojenny nie przerwał działalności, że mimo wymaganych przepustek przyjeżdżali bywalcy spoza Łodzi, praca szła pełną parą.

W ZDK „Obrońców Pokoju" powiedziano mi, że w stanie wojennym chronili placówkę. Tam chronili, tu pracowali.

Wyszedłem wreszcie z zametem w głowie i mocno osłabionym przekonaniem o słuszności opinii głoszących kryzys klasycznego wzorca.

Później przyszły refleksje: czy nie jest to przypadkiem dom kultury przy zespole pieśni i tańca, bo prawie wszyscy (choć nie wszyscy), pracują właśnie dla tego zespołu? Ale czy to ważne? Przecież dom ten skupił wokół siebie ogromną rzeszę aktywnych ludzi. On żyje, kipi, zaraża wręcz entuzjazmem, pracuje, jak precyzyjna maszyna, choć trochę po wariacku. Szerzy kulturę w środowisku, ściąga ludzi dosłownie z ulicy. Jest otwarty dla wszystkich. A czy nie o to chodzi?

CISZA, SPOKÓJ I SPRAWOZDANIA

Ponieważ w „Harnamie" nie znajduję potwierdzenia kryzysu, pcham się gdzie indziej, mianowicie do ZDK przy „Obrońcach Pokoju". Tam zastaję (przynajmniej w czasie mego pobytu) zgoła inną atmosferę. Panuje kościelna wręcz cisza. Piętrowego budynku z kawiarenką, salą widowiskową i dużą ilością innych pomieszczeń nie rozsadza gwar ludzki, ani żaden inny. Gdzieś z daleka dolatuje śpiew przy akompaniamencie pianina. To dyrektor domu własnoręcznie akompaniuje śpiewakowi — pracownikowi zakładów. Gdy skończyli, cisza pogłębiła się. Sekretarka umalowała usta i podała herbatę. To była cała jej praca.

Siedzimy w wielkim gabinecie dyrektora Józefa Gałeckiego. Oglądam program obchodów 65-lecia istnienia Placówki Upowszechniania Kultury ŁZPB im. Obrońców Pokoju — owszem, imponujący, oglądam zdjęcia z imprez: kapela z Przędzalnianej, Dziecięcy Zespół Pieśni i Tańca „Sezamki", Regulamin VI Turnieju Zakładów o Puchar Rady Pracowniczej i program współpracy ZDK z instytucjami kultury a to: BWA, Akademią Muzyczną, Oddziałem Łódzkim Koła Młodych Związku Kompozytorów Polskich, PWSFTviT, OPRF, PWSSP. Wydaje mi się, że ten ostatni program jest sprawą istotną, mogącą nadać profil tej placówce — profil nowoczesności.

Przynudzam więc znów o kryzysie, nowych formach itd.

— *Nie rozumiem takich pytań. O co mnie pan pyta? My robimy to, czego oczekują od nas ludzie. Jeśli zaspokajamy ich oczekiwania, uważam, że robota nasza jest celowa. A nowoczesność? Mamy na Księżym Młynie Galerię Sztuki, na przykład. Teraz wystawia tam Jonathan West. Mamy DKF, Klub filmowy pod opieką PWSFTviT, prelekcje wykładowców PWSSP na temat ubioru, wyposażenia wnętrz mieszkalnych. Czy to pan chciał usłyszeć, czy może o inną nowoczesność chodzi?*

Gdybym chciał przedstawić całą paletę dokonań, zamierzeń, działające sekcje, zespoły i grupy zainteresowań wymienione w sprawozdaniach i programach, zajęłoby to pół numeru „Odgłosów". Są one interesujące, świadczą o przemyślanym działaniu i pomysłowości ludzi odpowiedzialnych za kulturę w tej placówce.

Poza tym, dyrektor pokazuje mi wykaz komisji, których jest członkiem (a wszystkie zajmują się sprawami kultury robotniczej): przy KC PZPR, przy UMŁ, rada dyrektorów domów kultury i inne. Znaczy jest ceniony i doceniany. Jest pedagogiem i zna swój fach.

Gdy wychodzę z pustego (oprócz pracowników nie ma nikogo, a jest późne popołudnie) domu kultury, samo, nie proszone pcha się porównanie z „Harnamem". Tam nikt nie pokazywał mi (a z pewnością istnieją) sprawozdań, programów, wykazów. Wszystko miałem jak na widelcu: mogłem zobaczyć, posłuchać, dotknąć.

Nic na słowo honoru. Nawet poparte biuletynami i barwną osobowością dyrektora Józefa Gałeckiego.

DOM KULTURY PLACÓWKĄ USŁUGOWĄ?

Dwa domy kultury (choć tak różnie się prezentujące) to za mało, żeby zaprzeczyć, bądź potwierdzić, że hasło „kryzys" jest prawdziwe w stosunku do tych placówek.

Zmieniam więc branżę instytucji, matkującej (oj, czy w tym przypadku nie będzie to macocha? — lepiej jednak nie uprzedzać) i odwiedzam Społeczny Dom Kultury RSM „Lokator" przy ul. Nowopolskiej 12/14. Wchodzę do pokoju dyrektor Aleksandry Jóźwiak na I piętrze nowego, przestronnego budynku i już od drzwi zaczynam o nowoczesności i o kryzysie, z uporem maniaka powtarzam formułę, do której nie mam jeszcze pełnego przekonania.

— *Spodziewałam się takiego pytania. Sami widzimy, że ten dotychczasowy model przeżył się. Przynajmniej w naszym domu. Szukamy nowych rozwiązań.*

A więc jednak. Po raz pierwszy znajduję potwierdzenie. Ciekaw jestem tych nowych pomysłów. Prowokuję:

— Czy może takich jak w DDK-Polesie?

— *Proszę pana, jak przeczytałam w „Odgłosach", że oni byli pierwsi, to aż mną zatrzęsło. Przecież my jako pierwsi w Łodzi wprowadziliśmy treningi psychotroniczne „reeberthing" i „alfa" oraz kurs radiestezji na użytek domowy.*

Ilustracja dźwiękowa tej kwestii jest dolatujące zza ściany nieludzkie, przeciągłe wycie przechodzące w ni to szloch, ni śmiech. Aż podskoczyłem na krzesełku.

— *O, właśnie, to nasi „psychotronicy". Treningi cieszą się wielkim powodzeniem. Ludzie bardzo je sobie chwalą. Najlepszy dowód, że choć opłata jest wysoka, sporo uczestników po zakończeniu cyklu zapisuje się na następny. A celem jego jest usunięcie urazów i napięć psychicznych, a także uzyskać można umiejętność błyskawicznego wypoczynku i relaksacji, pobudzić umiejętność zapamiętywania, leczyć nałogi, wyrobić zdolności bioenergetyczne, umiejętność oddziaływania na własną podświadomość. Poza tym, również jako pierwsi w Łodzi, wprowadziliśmy cykl spotkań „Z komputerem na ty", w czasie których m.in. uczymy języka komputerowego.*

— To już jakby działalność usługowa.

— *O, właśnie. Powoli przestawiamy się, bo musimy, na działalność użytkową, usługową. Dam panu przykład. Zorganizowaliśmy kurs dziewiarstwa ręcznego. Pań zgłosiło się nawet sporo. Ale gdy dowiedziały się, że nie dostaną żadnych uprawnień pozwalających na prowadzenie usług czy rzemiosła, wszystkie zrezygnowały. Zmusiły nas tym do spełnienia ich oczekiwań. I kurs taki będzie. Z uprawnieniami. Będzie kurs na prawo jazdy. Oczywiście wszystkie te kursy organizujemy odpłatnie. Musimy iść w stronę samowystarczalności finansowej. Po podwyżkach czynszów, członkowie spółdzielni nie chcą łożyć na kulturę, choć jest to niewielka kwota wkalkulowana w komorne. Dlatego coraz bardziej musimy liczyć na to, co wypracujemy sami. Inny przykład: nasz Klub Hodowców Kotów Rasowych zorganizował wystawę tych zwierząt. Co się tutaj działo! Dom pełen ludzi, a na zewnątrz, w kolejce około 100 osób. Czekali długo i cierpliwie. Zarobiliśmy na tym, ale czy to jest kultura? W myśl powiedzenia dyrektor Kozłowskiej z DDK Polesie, że w pojęciu kultura mieści się twórczość Picassa i sposób wyjmowania wtyczki z kontaktu, to na pewno... A wracając do psychotroniki, radiestezji, różdżkarstwa i innych paranauk, ja to popieram. Do momentu, kiedy nie przerodzą się w szamaństwo, które więcej może złego uczynić niż dobrego.*

Zgadzam się z tym i pytam o inne formy działalności.

— *Mamy Klub Anty: -nikotynowy, -alkoholowy, -narkomański. Organizujemy spotkania dla młodzieży szkolnej, ściągamy fachowców w tych dziedzinach. Prowadzimy cykl audycji dla przedszkolaków „W czarodziejskiej krainie muzyki", z udziałem artystów z Filharmonii Łódzkiej. Teatr Stu Krzeseł Krystyny Hencz, znany w Łodzi i nie tylko. Poza tym sekcje, jakie można spotkać w każdym chyba domu kultury: muzyczną, plastyczną, taneczną, modelarską, fotograficzną, szachową, brydżową. Aha, jeszcze Kaktus-Klub i zespół muzyczny młodzieżowy „Avenue", o którym pisała już nasza prasa.*

— Co lub kto najbardziej wam przeszkadza?

— *Chyba ci zabiurkowi mądrale ze spółdzielni. Ich interesują tylko liczby. Niedawno kazali nam wyliczyć, ile złotych kosztuje każdy, kto wejdzie do naszego domu. Wyliczyłyśmy z koleżanką, że 93 zł. Ale co z tego? Komu to potrzebne? Z tego nic nie wynika. Ani teoretycznie, ani w praktyce. Poza tym nie widzą naszej pracy. A w ogóle najlepiej by się chyba czuli, gdyby nie mieli takiego garbu, jak dom kultury.*

Na szczęście inny pogląd mają okoliczni mieszkańcy, którym dom ten rzeczywiście jest potrzebny. Mówią o tym i to widać.

Kierujący tą placówką mają świadomość konieczności zmian. Wiedzą, że muszą stworzyć model, nazwijmy go trywialnie, usługowy dom kultury. A będzie to, wydaje mi się, mała rewolucja w dotychczasowym systemie upowszechniania kultury przez domy do tego powołane. Sądzę, że prędzej czy później, wiele (bo wiadomo, że nie wszystkie) placówek pójdzie tą drogą.

Lecz przecież nie taka, jakiej zażądał publicznie (było w nieodległym burzliwym okresie różnych żądań) jakiś niedoważony reformator, mianowicie, by domy kultury przerobić na warsztaty (stolarskie, ślusarskie i inne) dla społeczeństwa, bo to jest ich właściwa rola. Biedakowi zupełnie w głowie się pomieszało z euforii. Chciał robić rewolucję po chińsku.

SPECJALIZACJA NA WYSOKIM POZIOMIE

Istnieją tendencje do tworzenia domów kultury o wąskiej specjalizacji. Przykłady w Łodzi są: Dom Teatru i Dom Filmu i Plastyki.

O tym pierwszym wiem tyle, że jest w nim wiecznie ciemno i głucho, portierka drzemie w szatni, nic się nie dzieje. Usłyszałem nawet opinię, że... Nie, nie przytoczę jej, bo nie mam ochoty z nikim się procesować. Te katastrofalną opinię powtórzyło niezależnie od siebie kilka osób z „branży". No, ale mniejsza. Sam nic nie widziałem, niczego od nikogo nie mogłem się dowiedzieć. Nie miałem szczęścia zastać osób odpowiedzialnych (?).

Zatem Dom Filmu i Plastyki. Do czasu zakończenia remontu Łódzkiego Domu Kultury (jako jego filia) mieści się w budynku (pawilonie) przy ul. Franciszkańskiej 118c. Daleko od centrum, ale w pobliżu sporych osiedli mieszkaniowych.

Na marginesie: architekt tak zaprojektował budynek, że wielkie okna (!) sali projekcyjnej wychodzą na południe. To znaczy, że w bezchmurne dni, słońce przez większą ich część, świeci prosto w te okna (latem prawie do wieczora). Nawet szczelnie zasłonięte nie zapewniają idealnych warunków oglądania filmów. Projektantowi zaproponowałbym w nagrodę obejrzenie dziesięciu najatrakcyjniejszych filmów świata „pod słońce" non stop, w „jego" sali, licząc na to, że projektując następne swe dzieła, najpierw po prostu pomyśli.

Placówka ta jest w istocie wysoce specjalistyczna o takimż poziomie (co nie znaczy, że nie wyświetla filmów dla dzieci i młodzieży). Organizuje sesje filmoznawcze (np. „Kino młodych", „Kino Josepha Losey'a", „Film a kultura masowa", „Tony Richardson — klasyk gniewnego kina", „Wielcy twórcy Hollywoodu — John Huston", „Zoltan Huszarik" itp.), Wszechnice Wiedzy o Filmie, przeglądy autorskie, zaprasza wybitnych znawców tematu, krytyków, reżyserów, filmologów, publicystów. Gromadzi specjalistyczny księgozbiór, który wkrótce będzie ponoć zasobniejszy niż ten w Szkole Filmowej. Wydaje własne publikacje, korzystając z bazy poligraficznej ŁDK. Są to m.in.: seria „Dzieła, Twórcy, Tendencje", materiały pomocnicze dla uczestników sesji filmoznawczych, okolicznościowe z okazji przeglądów. Są materiały tłumaczone i wydane po raz pierwszy w języku polskim (np. o Hustonie). Na biurku Zbigniewa Batki, który jest moim przewodnikiem leżą „szczotki" pierwszej części „Szkiców o filmie polskim", mających ukazać się w tym jeszcze roku. Myśli się również o założeniu taśmoteki video, choć na przeszkodzie stają trudności techniczne. Filmy prezentowane na pokazach video, zdobywane są przeważnie kanałami prywatnymi. Notabene jest to jedyna placówka, w której byłem, gdzie wykorzystuje się aparaturę video. Gdzie indziej jakby się przed tym wzbraniano, nie bardzo widząc cel takiego drogiego zakupu.

Działa oczywiście Amatorski Klub Filmowy, o którego poziomie niech zaświadczy fakt, że przysparza co jakiś czas studentów Wydziałowi Operatorskiemu Szkoły Filmowej w Łodzi i nie tylko.

Poprzeczkę położono więc wysoko. Animatorom kultury z Domu Filmu nie chodzi o masowość za wszelką cenę. Chcą mieć do czynienia z prawdziwymi pasjonatami, a tych, rzecz jasna, jest dużo mniej. Wysoki poziom eliminuje ludzi przypadkowych, jest za trudny dla tzw. przeciętnego odbiorcy. Tworzy się zatem elita. Ergo: specjalistyczne, nowoczesne domy kultury to placówki elitarne (lecz tworzyć tę elitę może każdy, kto interesuje się wybraną dziedziną sztuki). Czy to jest słuszne? Uważam, że tak. Nie można przecież wiecznie myśleć kategoriami człowieka przeciętnego i dla niego obniżać poziomu. A ludziom upowszechniającym kulturę powinno zależeć właśnie na windowaniu poziomu, na rozwoju kulturalnym i intelektualnym społeczeństwa. Nie pisze że całego społeczeństwa, bo to przecież utopia nad utopiami.

A dla tych, którzy nie chcą chcieć, bądź tego nie potrzebują, bądź im nie zależy, telewizja przyrządza odpowiednie dania lekkostrawne (prawdziwego smakosza mogące przyprawić o, pardon, rozwolnienie) w postaci audycji „Jutro poniedziałek", „Telewizyjny Koncert Życzeń" (szczególnie w wydaniu lokalnym) czy ostatni „szlagier" filmowy pt. „Niewolnica Isaura". Nie czarujmy się, to zaspokaja potrzeby kulturalne większości społeczeństwa. Niestety.

I tu rysuje mi się model nowoczesnego domu kultury. Nie ten, który dysponuje nowoczesnym sprzętem (jest on ważny, lecz to tylko baza), nie ten z aluminium i szkła (może kiedyś), nie ten wreszcie, który opiera swoją działalność na paranaukach, nowinkach i modzie (nie mam nic przeciwko psychotronice i wiedzom pokrewnym, ale sądzę, że nie można budować na takim fundamencie jakiegokolwiek modelu — moda przeminie, bo musi i co wtedy?). Nowoczesny dom kultury w oparciu o wysoko kwalifikowanych fachowców, ludzi potrafiących myśleć inaczej — właśnie nowocześnie, musi stawiać sobie za cel najwyższy, wręcz profesjonalny poziom (nawet w ruchu amatorskim — to pozorny paradoks) proponowanych działań. Wysoki poziom artystyczny (Harnam) czy intelektualny (Dom Filmu) przy odpowiednim poziomie organizacyjnym nie może się nie sprawdzić. I tu należy chyba szukać sukcesu. A czy model jest tradycyjny czy nie — to ma znaczenie drugorzędne. Profesjonalizm to nowoczesność.

Tu dotykamy problemu kształcenia przyszłych pracowników placówek kulturalnych. To jest dopiero skamielina! Ci, którzy mają do czynienia z przychodzącymi na praktyki studentami zgodnie to potwierdzają, widząc wyjście w zreformowaniu tego systemu od korzeni.

Bo jeśli studentki pedagogiki kultury, na przykład, po zapoznaniu się z działalnością (bardzo specyficzną — jak pisałem) Domu Filmu, nastawione bojowo do sprawy, pytają, czy zima pracownicy domu lepią z okolicznymi dziećmi bałwanki — to coś jest nie tak. To znaczy, że ich wiedza o specyfice takiej placówki jest żadna, a to co usłyszały i zobaczyły na miejscu, nie złamało kodu przekazanego im przez wykładowców. I jak tu mówić o nowoczesności? Z kim? Lepienie bałwanków z dziećmi też jest ważne, tylko że zestawione z taką akurat placówką nie rymuje się. Zachodzi klasyczne pomieszanie pojęć.

CO NIECO O DZIELNICOWYCH DOMACH KULTURY

Dlatego co nieco, bo to temat na osobne opowiadanie.

Sieć tych placówek obejmuje swoim zasięgiem teren całego miasta. Jest to informacja tyle prawdziwa, co teoretyczna. Każda dzielnica posiada swój dom kultury (plus kilka lub kilkanaście małych filii), a wiadomo, jak bardzo rozbudowują się łódzkie dzielnice. Np. z dalekiego Teofilowa do DDK — Bałuty, to jak dawniej przez pół miasta. Podobnie na Widzewie. Dlatego w osiedlu Widzew-Wschód oddane zostaną do użytku w przyszłym roku dwa duże domy kultury. Wychodzi się twarzą do potencjalnego klienta. To też czysta teoria, bo czasami mieszkający obok nigdy nie zajrzy do takiej placówki, podczas gdy inny, autentycznie zainteresowany trafi tam z drugiego końca miasta.

Domy te w swej działalności stanowią kompilację placówek opisanych wyżej. Również szukają swojej formuły, własnego modelu, indywidualnego profilu.

Widzew — energicznie działający Klub Miłośników Dalekiego Wschodu, treningi yogi oddechowej, reeberthingu, prowadzone przez Angielkę i Amerykanina (3 wieczory — 5 tys. zł — dużo chętnych). Przeżywa trudności organizacyjne: z powodu remontu rozrzucony jest w 17 miejscach w dzielnicy.

Śródmieście — odradza się z totalnego bezwładu, stawiając na komputeryzację, robotyzację (ma być nawet robot zakładający firanki — to oczywiście żartobliwa przesada), czyli nowoczesność pojęta dosłownie.

Bałuty — preferuje tradycyjność w działaniu, a jest chyba najbardziej „widoczny" w Łodzi.

Polesie — opisany i „opolemizowany" w „Odgłosach". Dyrektor jednego z DDK powiedział:

— *W najśmielszych przypuszczeniach nie przewidywałem, że za przykład nowoczesnego domu kultury da pan ten z Polesia.*

— Nie — powiedziałem — mówiłem, że ten dom wywołał problem nowoczesności w działaniach placówek kulturalnych.

— *To ja panu powiem, jakie są tendencje. Istnieje coś, co nazywa się projektowaniem modelu idealnego. Opracowuje się, nie biorąc pod uwagę realnych możliwości, właśnie taki model idealny. A potem podciąga się istniejące warunki możliwie najbliżej ideału. Tak, żeby jak najmniej z tego utopijnego ubyło. Zrobiono ten eksperyment w Olsztynie, Jeleniej Górze i na Ursynowie w Warszawie. Na Ursynowie ostała się ordynarna tancbuda. Jakie są efekty w pozostałych miastach, nie wiem.*

Tak więc i ten naukowy sposób nie przyniósł spodziewanego rezultatu.

Pozostają ludzie. Ci odpowiednio przygotowani, nowocześnie myślący i chcący coś dobrego zrobić. Bez nich nie ma co marzyć o jakiejkolwiek rewolucji w systemie upowszechniania kultury i najwięcej nawet chcąc, możemy po raz którvś tam obudzić się z ręką w nocniku. I nie zmieni niczego fakt, że w nocnik ten wmontowany będzie gratący komputer i że wyprodukowano go w jedynej, jak do tej pory, Japonii.

MAREK KOPROWSKI

Student w fabrycznym mieście (3)

Spory, ludzie, trudności

Jeszcze trwała wojna, kiedy już zaczęto zastanawiać się jak w odrodzonej Polsce ma być rozmieszczona sieć wyższego szkolnictwa. Takie rozważania prowadzono w kraju, jak i na emigracji. Przygotowane projekty przewidywały utworzenie w Łodzi uczelni typu politechnicznego lub Instytutu Włókienniczego oraz połaczonej luźnymi więzami z Warszawą drugiej uczelni typu Wolna Wszechnica Polska. Niektórzy zastanawiali się, czy w Łodzi nie należy ulokować uczelni medycznej. Sceptycy uważali, że i tym razem Łódź będzie pominięta w planach odbudowującego się wyższego szkolnictwa polskiego.

Po powstaniu warszawskim coraz cześciej wysuwano projekty, aby część wyższego szkolnictwa Warszawy na pewien czas umieścić w Łodzi.

Krążą wersje, że przed wyzwoleniem Warszawy i Łodzi w Lublinie zapadła decyzja o utworzeniu Uniwersytetu Łódzkiego. Jakoby (sprawa do końca nie jest wyjaśniona) władze lubelskie powierzyły misję zorganizowania na terenie Łodzi wyższego szkolnictwa prof. dr Bolesławowi Wilanowskiemu.

DWIE INICJATYWY

Postać to była dziwna. Duchowny katolicki, który wykazywał duże zainteresowanie pracą naukową i już w 1919 r., w wieku 34 lat, otrzymał nominacje na kierownika katedry prawa kanonicznego Uniwersytetu Wileńskiego. Posiadał duży i bardzo wysoko ceniony dorobek naukowy. W latach okupacji zrzucił sukienkę duchowną i jako świecki uczony zjawił się w Lublinie, gdzie otrzymał polecenie zorganizowania wyższego szkolnictwa w Łodzi. W kilka dni po wyzwoleniu Łodzi rozpoczął pertraktacje z władzami miasta w sprawie utworzenia tu wyższego szkolnictwa. Plan przedstawiony przez Bolesława Wilanowskiego zakładał utworzenie wielokierunkowej uczelni, która posiadałaby zarówno wydziały uniwersyteckie, medyczne, politechniczne, ekonomiczne, rolnicze, artystyczne, wychowania fizycznego i in. W uzasadnieniu projektu Bolesław Wilanowski zwracał uwagę, że wobec olbrzymiego deficytu kadry naukowej poszczególni wykładowcy będą mogli obsługiwać słuchaczy z różnych kierunków.

Do Łodzi przybył też prof. dr Teodor Vieweger, dotychczasowy rektor Wolnej Wszechnicy Polskiej. Zdawał on sobie sprawę z tego, że utworzenie Wszechnicy w Warszawie byłoby nierealne i miał zamiar odbudować tę uczelnię w Łodzi, w takich tylko ramach, jakie posiadała ona przed wojną (wydziały humanistyczny, pedagogiczny, matematyczno-przyrodniczy, prawa i nauk społeczno-politycznych).

Nie mogło dojść do porozumienia między obydwoma uczonymi. Dlatego też każdy z nich na własną rękę rozpoczął prace przygotowawcze. Powstały dwa odrębne sekretarjaty, rezydujące na różnych piętrach „Grand Hotelu", które rejestrowały uczonych pragnących pracować na łódzkiej uczelni. Kandydaci do pracy na Uniwersytecie Łódzkim na wszelki wypadek najczęściej rejestrowali się zarówno w jednym, jak i w drugim sekretariacie.

Kandydaci na rektorów zdawali sobie sprawę, że otwarta wojna nie może dać żadnych rezultatów. Dlatego też zaczęli pertraktacje. 7 lutego 1945 roku zorganizowali konferencję, w której obok Bolesława Wilanowskiego i Teodora Viewegera wzięli udział inni przebywający w Łodzi uczeni. Doszło wówczas do bardzo poważnego starcia między obydwoma kandydatami do rektorskich godności. Posiedzenie zakończyło się kompromisem, który faktycznie nie ustalał jeszcze żadnego profilu przyszłego uniwersytetu.

17 lutego 1945 roku znowu zwołano konferencję. Wziął w niej udział delegat ministra oświaty, profesor Uniwersytetu M. Curie-Skłodowskiej w Lublinie, Narcyz Łubnicki. Na skutek jego sugestii przewodniczącym komitetu organizacyjnego wyższych uczelni w Łodzi został rektor Teodor Vieweger, a członkami Bolesław Wilanowski oraz dawny wykładowca biologii szkoły rolniczej w Cieszynie dr Julian Żukowski. Zdecydowano się wówczas na upaństwowienie dawnej Wolnej Wszechnicy Polskiej oraz na rozszerzenie jej o wydziały medyczne, politechniczne, ekonomiczne i in. Teodor Vieweger miał mieć pod opieką dawne wydziały Wszechnicy, Bolesław Wilanowski inne.

Na przełomie lutego i marca 1945 r. Teodor Vieweger przebywał w Warszawie. Udało mu się wówczas rozszerzyć skład komitetu o dwóch dawnych profesorów Wszechnicy: Mariana Grotowskiego i Jana Muszkowskiego. Rozszerzony komitet zebrał się 5 marca 1945 r. i znów doszło do ostrej rcysji między Bolesławem Wilanowskim a Teodorem Viewegerem. Nie ustalono, jaki ma być profil organizacyjny uniwersytetu.

SPÓR O KONCEPCJE

Stan niepewności co do charakteru wyższych uczelni począł wyraźnie niepokoić władze miejskie. 7 marca Rada Miejska wystąpiła z apelem skierowanym do władz o formalne utworzenie wyższego szkolnictwa w Łodzi. Być może na skutek tych starań 11 marca 1945 r. do Łodzi przyjechał minister oświaty Stanisław Skrzeszewski. Zapowiedział między innymi przeniesienie do Łodzi kilku wydziałów Politechniki Warszawskiej. Natomiast pozostawił otwartą sprawę przyszłego uniwersytetu. W rozważaniach wyraźnie dominowały tendencje dawnych profesorów Wszechnicy do odbudowy tej uczelni pod dość dziwną nazwą: „Wolna Wszechnica Polska — Uniwersytet Państwowy w Łodzi". W pracach przygotowawczych brał udział głównie Teodor Vieweger, natomiast Bolesław Wilanowski musiał się usunąć na dalszy plan.

W projektowanej przez Teodora Viewegera uczelni nie było miejsca na wydziały lekarskie, które zgodnie z obowiązującym wówczas schematem wyższego szkolnictwa wchodziły w skład uniwersytetów. Dlatego też rozpoczęte zostały prace przygotowawcze do utworzenia odrębnej uczelni medycznej. Między przedstawicielami wydziałów lekarskich, prof. Jerzym Jakubowskim i Wincentym Tomaszewiczem a rektorem Teodorem Viewegerem doszło do porozumienia i wspólnie udali się oni do Warszawy z propozycją utworzenia dwóch odrębnych uczelni. Niespodziewanie jednak trafili na opór, odgrywającego wówczas dużą rolę w Ministerstwie Oświaty, profesora Uniwersytetu Warszawskiego, historyka Stanisława Arnolda, który zdecydowanie przeciwstawił się tym projektom.

Przez kilka tygodni w Warszawie i Łodzi trwały pertraktacje co do charakteru przyszłego uniwersytetu. Zrezygnowano co prawda z projektów Bolesława Wilanowskiego utworzenia wielowydziałowego poliuniwersytetu. Nadal jednak nie potrafiono się zdecydować, czy wydziały medyczne mają wejść w skład uniwersytetu, czy też utworzyć odrębną uczelnię. Sporo wątpliwości nasuwała sprawa charakteru samego uniwersytetu, a mianowicie, czy ma on być kontynuacją Wolnej Wszechnicy Polskiej, czy też zupełnie nowym uniwersytetem państwowym. Szczególnego znaczenia nabrała pozornie drobna sprawa, czy zgodnie z wszechnicową tradycją pedagogika i psychologia mają być wyodrębnione w osobny wydział pedagogiczny, czy też wejść w skład wydziału humanistycznego.

W drugiej połowie maja 1945 roku Teodor Vieweger udał się do Warszawy, aby omówić wszystkie sporne sprawy w Ministerstwie Oświaty. Podróże koleją były wówczas nadzwyczaj utrudnione, uczelnie wyższe nie dysponowały jeszcze własnymi samochodami, należało więc korzystać z przypadkowego transportu. Wracając ze stolicy Teodor Vieweger zginął 22 maja w wypadku samochodowym. Dowiedziano się o tym zarówno w Łodzi, jak i w Warszawie dopiero w kilka dni później.

DEKRET ZMIENIA SYTUACJĘ

24 maja 1945 r. najwyższe władze wydały dekret o utworzeniu Uniwersytetu Łódzkiego. W nazwie pominięte zostały słowa: Wolna Wszechnica Polska. Miał on się początkowo składać z trzech wydziałów: humanistycznego, matematyczno-przyrodniczego i prawno-ekonomicznego. Władze nie zgodziły się na wyodrębnienie wydziału pedagogicznego, o co tak energicznie walczył Teodor Vieweger. Natomiast sprawa wydziałów lekarskich nadal pozostała nie rozstrzygnięta. W środowisku łódzkim zastanawiano się, czy ów dekret o utworzeniu nowej uczelni był zwycięstwem czy też klęską Teodora Viewegera. Z pewnością zarówno jednym, jak i drugim. Przekreślono tradycje dawnej Wszechnicy, ale nieżyjący już Teodor Vieweger, o czym nie wiedziano jeszcze w Warszawie, przewidywany był na rektora Uniwersytetu Łódzkiego.

Wieść o śmierci profesora Viewegera poważnie zaniepokoiła środowisko łódzkie. Kandydaci na rektora wysuwani przez najsilniejszy wówczas obóz wszechnicowy nie posiadali odpowiedniego autorytetu oraz umiejętności organizacyjnych. I oto dość niespodziewanie w Warszawie zapadła decyzja o powierzenie tej godności wieloletniemu profesorowi Uniwersytetu Warszawskiego, Tadeuszowi Kotarbińskiemu.

W dziejach Uniwersytetu Łódzkiego postać ta odegrała olbrzymią rolę. Przez kilka lat (1945—1949) Tadeusz Kotarbiński kierował uczelnią. Był to człowiek posiadający olbrzymi autorytet. I chociaż do tej pory stał z daleka od spraw organizacyjnych, to jednak doskonale potrafił pokierować nowo powstającą uczelnią. Na skutek jego zdecydowanego stanowiska od końca sierpnia 1945 r., trzy wydziały medyczne (lekarski, stomatologiczny i farmaceutyczny) zostały włączone do Uniwersytetu. Dopiero od 1 stycznia 1950 r., gdy w całej Polsce przeprowadzona została zmiana w strukturze wyższych uczelni, zarówno w Łodzi, jak i w innych miastach wydziały te zostały wyłączone z uniwersytetów i utworzyły nowe uczelnie — akademie medyczne.

Za rektoratu Tadeusza Kotarbińskiego, w dużym stopniu dzięki jego osobistej inicjatywie, zostało ściągniętych na Uniwersytet Łódzki wielu profesorów niekiedy o światowej sławie. Uczelnia, która początkowo miała być niewielkim ośrodkiem naukowo-dydaktycznym, poważnie rozrosła się. Pod względem liczby studentów stała się drugą co do wielkości (po Uniwersytecie Jagiellońskim) w Polsce. Pod względem naukowym szacowano ją przeważnie jako czwarty uniwersytet (po warszawskim, poznańskim i krakowskim). Nigdy też później uczelnia ta nie cieszyła się tak olbrzymim autorytetem naukowym.

Do zasług Tadeusza Kotarbińskiego należało między innymi zażegnanie wewnętrznych sporów między „wszechniczanami", pracownikami dawnej Wolnej Wszechnicy Polskiej a „uniwersytetczykami", pracownikami zatrudnionymi poprzednio na uniwersytetach państwowych; przeważnie zresztą warszawskim i wileńskim, w mniejszym stopniu lwowskim, czy nawet krakowskim i poznańskim. Wewnętrzne spory, które przez niemal cały 1945 r. zżerały Uniwersytet Łódzki przestały istnieć, a dawne animozje powoli dogasały.

Rektor Tadeusz Kotarbiński zdziałał bardzo dużo dla poprawy warunków pracy na Uniwersytecie Łódzkim. Dzięki niemu uczelnia, nie posiadająca poprzednio odpowiedniej biblioteki, pozyskała ją. Również poważnie wzrósł stan zaopatrzenia katedr eksperymentalnych w sprzęt laboratoryjny i aparaturę.

TRUDNOŚCI NIE POJAWIŁY SIĘ NAGLE

Stosunkowo niewielkimi sukcesami mógł się pochwalić rektor T. Kotarbiński w zdobywaniu dla nowej uczelni odpowiednich pomieszczeń. Władze miejskie, na których czele stał wówczas Kazimierz Mijal, jakoby z bliżej nie wyjaśnionych przyczyn obrażone na Uniwersytet, nie tylko nie przydzielały mu potrzebnych dla działalności dydaktycznej budynków, ale również i mieszkań dla osiedlających się w Łodzi profesorów. Wielu wybitnych uczonych po kilkutygodniowym pobycie w Łodzi, nie mogąc otrzymać mieszkania w mieście, przeniosło się na inną uczelnię. Powszechnie panował pogląd, najzupełniej chyba słuszny, że w żadnym z miast uniwersyteckich poza Warszawą, nie było tak trudnych warunków lokalowych zarówno dla samych zakładów naukowych, jak i dla ich pracowników. Na skutek tej najzupełniej niewłaściwej polityki prezydenta Kazimierza Mijala, Łódź straciła wielu wybitnych naukowców.

Jeszcze za rektoratu Tadeusza Kotarbińskiego, mniej więcej od końca 1948 r., rozpoczął się groźny proces odpływu najwybitniejszych uczonych z Uniwersytetu Łódzkiego. Z olbrzymią siłą wystąpiło to zjawisko w latach 1949/50 oraz 1950/51, a więc już po opuszczeniu rektoratu przez prof. T. Kotarbińskiego. Wiązało się ono z odbudową Warszawy i przenoszeniem się tam z Łodzi licznych instytucji kulturalnych, a także literatów, artystów, uczonych. Ponieważ przeważającą część profesorów Uniwersytetu Łódzkiego stanowiły osoby przybyłe z Warszawy, proces ten objął wielu i to przeważnie najwybitniejszych pracowników tejże uczelni. A wreszcie nie można zapominać, że tragedią Uniwersytetu Łódzkiego było jego położenie zbyt blisko Warszawy. Żaden polski ośrodek wyższego szkolnictwa nie poniósł w tamtych latach tak poważnych strat jak łódzki.

Następcą Tadeusza Kotarbińskiego na stanowisku rektora Uniwersytetu Łódzkiego był znany i cieszący się również olbrzymim autorytetem naukowym socjolog profesor Józef Chałasiński. Był to człowiek olbrzymiej energii, posiadający bardzo ciekawe koncepcje przebudowy uczelni. Trafił jednak na wyjątkowo trudny okres (1949—1952). Następowała w Polsce przebudowa wyższego szkolnictwa. W planach Ministerstwa leżało utworzenie jednego wielkiego Uniwersytetu Warszawskiego, trzech dużych i silnych, a mianowicie krakowskiego, poznańskiego i wrocławskiego, oraz trzech małych, a mianowicie łódzkiego, lubelskiego i toruńskiego. Na Uniwersytecie Łódzkim skasowano liczne kierunki badawcze i dydaktyczne, wielu profesorów zostało przeniesionych na inne uczelnie. Ograniczono limity studentów przyjmowanych na te kierunki, które jeszcze pozostały na Uniwersytecie Łódzkim.

Józef Chałasiński walczył jak mógł, aby zachować poszczególne kierunki studiów oraz zatrzymać przenoszących się do innych miast profesorów. W końcu jednak i on opuścił Łódź i przeniósł się do Warszawy.

Dopiero w drugiej połowie lat pięćdziesiątych, za rektoratu prof. Adama Szpunara Uniwersytet Łódzki odzyskał cały szereg straconych poprzednio kierunków i począł znów odgrywać poważniejszą rolę w życiu naukowym Polski.

KRZYSZTOF BARANOWSKI

„Chociaż goło, lecz wesoło"

ADAM BIEŃKOWSKI

7.

Przed kilku dniami jechałem „czwórką". Tramwaj był zatłoczony, większość stanowiły kobiety spieszące na drugą zmianę do „Obrońców". Przy ul. Przybyszewskiego wsiadło dwóch młodych ludzi. Czarne skórzane kurtki z nabijanymi świecidełkami, włosy nastroszone i ufarbowane na kolor pomarańczowy i siwo-biały. Punki albo popersi, nie znam się na tym, w każdym razie jacyś odmieńcy. W tramwaju zawrzało. Kobiety wcale niecicho wymieniały uwagi co myślą o takich „pajacach". Ja też z dezaprobatą patrzyłem na tych młodzieńców. Wtem ktoś zaczął mi szeptać do ucha. Patrzę, a na lewym ramieniu siedzi mój etatowy diabełek i mówi:

— *Stary, nie patrz na nich z takim obrzydzeniem, w ich wieku byłeś taki sam, jeśli nie gorszy.*

— Nie kłam, w życiu łba sobie nie farbowałem na pomarańczowo ani nie miałem kolczyka w uchu!

— *Bo nikt wtedy ci tego nie podpowiedział! A pamiętasz jak przed czterdziestu laty konduktor też z „czwórki" wygonił ciebie i twoich kolesiów za wasz strój, wykrzykując, że łódzki tramwaj to nie cyrk Staniewskiego!*

A było to tak:

W pierwszych latach Uniwersytetu Łódzkiego, gdy byliśmy studentami zaczęły nadchodzić paczki z UNRRA, żywnościowe, zresztą bardzo bogate i z konfekcją. Przeważnie była to odzież wojskowa z demobilu armii USA. Być może dlatego, że nasze miasto nosiło nazwę Łódź, to byliśmy ciągle zaopatrywani w odzież z demobilu USNavy. Chodziliśmy w bardzo twarzowych marynarskich kurtkach, szerokich spodniach i ciepłych szetlandzkich swetrach. (dziś kosztują one majątek!). Ale paczki były nie tylko z UNRRA. Otrzymywaliśmy również dary od amerykańskich kwakrów. W paczkach tych były różne najdziwniejsze rzeczy. I tak np. w jednej z nich ze stanu Południowej Karoliny znajdowało się kilkanaście cylindrów typu „szapoklak". Sporo meloników, kowbojskie kamizele i spodnie, a dla dziewczyn krynolinowe suknie, halki, atłasowe kamizelki, majtki z falbankami.

Gdy nasza wiara się w to odziała, wyglądaliśmy jak z filmu „Przeminęło z wiatrem". Paczkę przydzielono członkom studenckiego teatru „Gęsie Pióro". Stroje tak nam się podobały, że zaczęliśmy chodzić w nich na co dzień, budząc w mieście niezdrową sensację i uszczypliwe uwagi przechodniów. Nie przejmowaliśmy się tym, chcieliśmy być inni od tego szarego tłumu.

Pewnego dnia jechaliśmy „czwórką" ul. Piotrkowską i gdy przy pl. Wolności miała skręcić w ul. Pomorską, konduktor na życzenie kobiet, które jechały do pracy w PZPB nr 2 im. Marchlewski-go, wyprosił nas z tramwaju. Nie podobały się stroje, a zwłaszcza cylindry, meloniki, u dziewczyn majtki z falbankami. Czym byliśmy lepsi w wyglądzie od dzisiejszych punków?

8.

Wśród ponad siedmiotysięcznej rzeszy nowo otwartego Uniwersytetu Łódzkiego przeważała młodzież po dwudziestce. Okupacja zabrała nam najpiękniejsze lata, spragnieni byliśmy nie tylko wiedzy, nauki, ale i pełni życia, miłości. Upajała nas wolność, młodość, ale hamowała nauka, terminy egzaminów, no przede wszystkim notoryczny brak pieniędzy.

Łódź w pierwszych powojennych latach stała się nie tylko centrum administracyjnym, lecz również stolicą życia kulturalnego, rozrywki i podkasanej muzy. Była to „Ziemia obiecana", dla wszelkiego rodzaju kombinatorów, spekulantów mających forsy jak lodu. W mieście działało kilkanaście kabaretów i lokali tanecznych, czynnych do białego rana. Zawsze w nich było tłoczno.

Najbardziej ekskluzywny był jednak „Tabarin", nocny kabaret mieszczący się w podwórzu przy ul. Narutowicza 20, gdzie dziś jest Filharmonia. Grały tam najbardziej renomowane w kraju orkiestry, jak Braci Łopatowskich, Braci Pindras czy Braci Krochmalskich. Śpiewała Marta Mirska i występowali znani aktorzy. Zwyczaj wówczas panował taki, że szanująca się orkiestra musiała być złożona z braci, chociaż ich tam nie było, a duety czy tercety damskie obowiązkowo reklamowano: „Śpiewają sister... takie, a takie". Podobno taka moda przyszła z Ameryki. Tańczyło się na okrągłym obrotowym parkiecie. Miał on wielką zaletę, eliminował z tańca pijanych facetów. Po prostu nie mogli utrzymać się na nogach i wylatywali z parkietu. W „Tabarinie" można było zjeść i wypić wszystko to, co było do nabycia nie tylko w kraju, ale i za granicą, łącznie z ostrygami. O cenach nie wspomnę, a sam wstęp kosztował 500 zł, czyli prawie odpowiednik naszego miesięcznego stypendium.

Chodziliśmy po różnych lokalach, ale w początkowym okresie „Tabarinu" nie dało nam się sforsować. Któregoś jednak dnia po udanej premierze teatru „Gęsie Pióro" postanowiliśmy ten sukces oblać w „Tabarinie". Nie muszę dodawać, że nasze finanse nie starczyły nawet na wykupienie kart wstępu. Jednak poszliśmy i to kupą. Nie chciano nas wpuścić. Wówczas Julek, nasz przywódca wydał rozkaz: *„Baczność!"* i zaintonował pieśń *„Gdy naród do boju"*. Nie śpiewaliśmy *„O cześć wam panowie magnaci"*, lecz *„O śmierć wam panowie magnaci"*, wskazując przy tym rękami na tłustych burżujów siedzących w lożach. Natychmiast przybiegł kierownik lokalu z krzykiem:

— *Panowie cicho sza! Tu nie Wodny Rynek, tu się nie robi wiecu, tu jest wytworna restauracja, tu się pije wódkę!*

Wytłumaczyliśmy, że jesteśmy studentami, mamy uroczystość, ale nie stać nas na zapłacenie wstępu. Do tego Julek, znakomity aktor teatru „Gęsie Pióro", odegrał przy tym miniscenkę. Zalewając się łzami zwrócił się do kierownika:

— *Panie dyrektorze! Ja syn małorolnego chłopa spod Rzeszowa zawsze marzyłem o tym, żeby raz w życiu zobaczyć jak bawią się jaśnie panowie. A dziś nie chcą mnie tu wpuścić, bo nie mam tysiączków. O! Nieszczęsne było i jest życie chłopskich dzieci!*

I zaczął rękawem ocierać łzy. Miał niezwykły dar płaczu na zawołanie. Łzy z oczu lały mu się strumieniem.

Kierownik „Tabarinu" też się wyraźnie wzruszył.

— *No już dobrze panowie studenci. Zawieram z wami taką umowę. Będziecie wpuszczani bezpłatnie, ale nie więcej jak pięciu jednorazowo. Warunek tylko, żebyście nie śpiewali tych piosenek o magnatach, bo to wystrasza gości. No, wchodźcie szybko, a pan, panie małorolny, choć pan ze mną na kolację.*

C.D.N.

Z przyczyn technicznych kolejny odcinek „Chociaż goło lecz wesoło" ukaże się za dwa tygodnie.

ze str. 1

Jako pierwszy w Łodzi, zorganizowaną służbę przeciwpożarową stworzył w roku 1873 Ludwik Grohman. Był to przeszkolony zespół pracowników wyznaczonych do prowadzenia akcji ratunkowej w razie pożaru fabryki. W rok później w ślady Grohmana poszedł Scheibler i inni przemysłowcy. Miasto swojej straży nadal jednak nie miało.

Inicjatywa założenia Strzeleckiej Straży Ogniowej upadła w krótkim czasie wskutek niechęci zaborców. Udało się jednak powołać komitet organizacyjny straży pożarnej ochotniczej. Początkowo władze carskie nie chciały nawet myśleć o utworzeniu jakiejkolwiek polskiej organizacji, do tego umundurowanej. Pierwsza partia czterdziestu mundurów uszytych na zamówienie komitetu organizacyjnego leżała bezczynnie w szafach przeszło dwa lata.

Nie trafiały do władz ani argumenty o ogromnych stratach ponoszonych przez fabrykantów i miasto, ani liczba ofiar, ani statystyka wskazująca, że w Łodzi pali się stosunkowo często, znacznie częściej niż w innych miastach o podobnej wielkości. Do rozumu i sumienia władz dotarto dopiero okrężną drogą, poprzez sklepikarzy, którzy coraz częściej w tym czasie zaczęli sprzedawać zapałki. Historia masowego stosowania zapałek w Łodzi zaczyna się w roku 1875. W następnym roku powołano Łódzką Straż Ogniową Ochotniczą.

Miasto zostało podzielone na trzy dzielnice pożarowe. Na miejsca zbiórek wyznaczono: Ratusz, dom majstrów tkackich przy zbiegu ulic Przejazd i Piotrkowskiej; „Paradyż" przy Piotrkowskiej między ulicami św. Anny i Korda. Pożar sygnalizowano przy pomocy trąbek. Na odgłos alarmu strażacy biegli do ustalonego miejsca zbiórki, względnie do pożaru w zależności od tego gdzie było bliżej. Konie do zaprzęgów zajmowano po drodze. Czasem ręcznie przetaczano sprzęt do miejsca pożaru.

Ówcześni strażacy dysponowali krótkimi drabinami, drewnianymi beczkami o niewielkiej pojemności, ręcznymi sikawkami, bosakami i zaprzęgami konnymi. Pierwszą mechaniczną sikawkę zakupiono w 1905 roku na wystawie sprzętu w Wiedniu. Była to „sikawka parowa, najnowszego systemu, której wydajność wynosiła 400 l wody na minutę". 4 lata później zakupiono pierwszą mechaniczną drabinę o wysokości 27 metrów.

Okupacja niemiecka w czasach pierwszej wojny światowej dała się strażakom bardzo dotkliwie we znaki. „Rekwizycje koni unieruchomiły wozy, zabrano wszystkie dzwonki alarmowe, polowano na mosiądz, zastępując go częściami żelaznymi zupełnie do tego celu nieprzydatnymi".

Pierwsze samochody zakupiono w 1923 roku z demobilu. We własnych warsztatach wykonane zostały remonty i zainstalowano autobeczki. Oddziałów konnych jednakże nie zlikwidowano, gdyż nie wiedziano czy ciężkie wozy strażackie wykażą się wystarczającą sprawnością podczas akcji. Trzeba dodać, że ulic o twardej nawierzchni było wtedy niewiele.

Przez całe dwudziestolecie międzywojenne wyposażenie łódzkich strażaków było katastrofalne. W 1936 roku rozporządzali oni zaledwie 1500 m węża, podczas gdy Warszawa miała go 15 tys. metrów, „a Drezno, miasto pod względem przestrzeni równe Łodzi i mające aż 10 pożarów na rok posiadało 75 tys. metrów węża". W tym czasie w Łodzi wybuchało około 400 pożarów rocznie. W lutym 1936 r. „Republika" alarmowała, że „łódzka straż jest gorzej wyekwipowana, aniżeli w jakimkolwiek innem mieście europejskiem. Łódź, której możliwości pożarowe są ogromne, nie może się zdobyć na większą liczbę strażaków zawodowych aniżeli 126.

Stan taboru jest coraz gorszy, czego dowodem jest fakt, że przed kilku dniami, podczas gdy straż jechała do pożaru, zepsuł się jeden z samochodów i strażacy musieli tramwajem udać się do płonącej fabryki".

Niedostatki techniczne rycerze św. Floriana, bo tak czasami nazywano strażaków, nadrabiali brawurą. Jeden z prezesów straży Jan Jarzębowski w okolicznościowym biuletynie opisał takie oto zdarzenie: „8 kwietnia 1877 roku przy lutowaniu dachu nowej fabryki I. K. Poznańskiego, wskutek nieostrożności blacharzy wybuchł pożar szerzący się z gwałtowną szybkością. Jeden z blacharzy za późno spostrzegł niebezpieczeństwo, nie zdążył zejść. Mając odwrót odcięty, stał w morzu płomieni krzycząc „ratunku!"

Przybyła straż niezwłocznie zajęła się ocaleniem ginącego i gaszeniem pożaru. Widząc, że drabina ratunkowa nie sięga do połowy ogromnego gmachu, starszy topornik Jan Land z narażeniem własnego życia, z małą drabinką toporniczą, po wielu trudach, z okien jednego piętra do drugiego, dostał się na gzyms dachu, z którego zwieszał się prawie omdlały ze strachu nieszczęsny blacharz.

Umocowawszy linę ratunkową na plecach, tąż niebezpieczną drogą topornik Jan Land zniósł na dół blacharza, witany radosnymi okrzykami rozentuzjazmowanej publiki".

Na zewnątrz strażacy prezentowali się jako zwarta, solidarna grupa ludzi. Jednak w jej wnętrzu czasami dochodziło do konfliktów. Ślad jednego z nich znajdujemy w „Głosie Porannym" z listopada 1935 roku.

„Bardzo ciekawą rozprawę rozpatrywał wczoraj sąd. Na ławie oskarżonych zasiadł strażak II Oddziału Bruno Arndt. Tło sprawy jest następujące. Po objęciu zarządu straży przez Komisję Zarządzającą powstała grupa opozycyjna, do której należeli m. in. oficerowie straży Karol Matys i Kazimierz Koszada. Grupa ta niezadowolona z faktu, że nie zostało zwołane zebranie ogólne, na którym miała prawdopodobnie wystąpić przeciwko Komisji Zarządzającej, zwróciła się do głównego komendanta straży pożarnej wojewody Twardo o spowodowanie zebrania. W tym celu przystąpiła do zbierania podpisów pod odpowiednim wnioskiem. Po krótkim czasie zdołano zebrać 112 podpisów.

Listę przechowywał Matys w swym mieszkaniu przy ulicy Piotrkowskiej 112. Któregoś dnia do Matysa zgłosił się Arndt i oświadczył, że ma służbę w teatrze i tam niewątpliwie uda mu się zebrać jeszcze kilka podpisów. Matys wydał listę tym bardziej, że Arndt oświadczył, że nazywa się Ehrenhaub i należy do grupy opozycjonistów. Listę Arndt spalił.

W sprawie Arndt przyznał się do winy i tłumaczył, że „zniszczył listę ponieważ wymuszono od niego podpis, a zwołanie zebrania zawierało w motywach ustępy obrażające komendanta straży inż. Kowalczyka".

Sąd skazał winnego na 4 miesiące aresztu z zawieszeniem na dwa lata. Interesujące wydaje się jednak dlaczego nowy komendant miał opozycjonistów wśród strażaków. Zajął on miejsce zmarłego Alfreda Grohmana. Swoje panowanie rozpoczął od reform zmierzających do ograniczenia deficytu. Wprowadził obowiązek przekazywania codziennych raportów, w których musiały być szczegółowo uwzględnione wyjazdy, wydatki na benzynę, oliwę itp.

Warsztaty straży pożarnej przyjmowały do naprawy prywatne samochody bądź inne urządzenia mechaniczne, rzekomo w celu zasilenia kasy instytucji. Tymczasem, jak się okazywało nie tylko nie zarabiały na siebie, ale wręcz przynosiły straty. Pracownicy warsztatów pracujący na akord, żeby nie dopuścić do spadku zarobków, wtedy gdy nie było roboty, dwa razy rozbierali i składali tę samą maszynę.

Inżynier Kowalczyk zredukował personel, zatrudniając tylko i wyłącznie osoby niezbędne. Ponadto pracownicy warsztatów, kierowcy i inny personel pomocniczy, musieli mieć przeszkolenie przeciwpożarowe, tak aby w razie pożaru wziąć udział w akcji gaśniczej.

Nowy zarząd postanowił zorganizować obowiązkową naukę pisania i czytania. W ogóle przykładano duże znaczenie do szkolenia zarówno teoretycznego jak i praktycznego. Codziennie strażacy uczestniczyli w jakimś wykładzie bądź ćwiczeniach.

Oprócz tego postanowiono wreszcie założyć w dużym przecież, przemysłowym mieście, sygnalizację alarmową z prawdziwego zdarzenia, której do tej pory Łódź jeszcze nie miała.

Konflikt między Komisją Zarządzającą a grupą niezadowolonych strażaków popieraną przez spadkobierców Alfreda Grohmana odbił się szerokim echem w ówczesnej prasie. Poszczególne pisma, reprezentujące rozmaite orientacje polityczne starały się wygrywać go dla swoich spraw, a tymczasem inżynier Kowalczyk pracował nieustannie nad poprawą sprawności strażaków. O wynikach donosił ten sam „Głos Poranny" półtora roku później.

„Na placu Wolności odbyła się demonstracja nowego wynalazku inżyniera Kowalczyka komendanta łódzkiej straży, wynalazku, który przy gaszeniu pożarów w Łodzi odda kolosalne usługi. Wynalazkiem jest wielki brezentowy zbiornik mogący pomieścić do 4 tys. metrów sześciennych wody. Zaletami tego zbiornika jest przede wszystkim jego lekkość, jeden człowiek może go łatwo przenieść w stanie suchym jak i mokrym, i łatwość w składaniu i zastosowaniu".

Gromnica, złoto i sikawka

Foto: Grzegorz Gałasiński

Sprawa nie jest taka śmieszna jakby się z początku wydawało. Międzywojenna Łódź cierpiała na brak wodociągów i kanalizacji, dlatego też bardzo często strażacy w czasie akcji odczuwali niedostatek wody. Podłączanie motopompy bezpośrednio do mało pojemnych beczkowozów powodowało przerywanie akcji, więc budowa lekkiego przenośnego zbiornika była potrzebą chwili.

Postanowiono też zmienić plan dostarczania wody do pożaru. Dotychczas, gdy sygnalista alarmował kilka oddziałów do większego pożaru, wszystkie wozy podjeżdżały z jednej strony. Ciasnota ulic bardzo utrudniała skuteczne gaszenie ognia.

Mimo wielu trudności, łódzcy strażacy zapisali w swej historii i złote chwile, dosłownie.

W sierpniu 1928 roku oddział strażaków pod kierownictwem Tadeusza Brzozowskiego zdobył na mistrzostwach świata w Turynie pierwsze miejsce i złoty medal. Główna konkurencja zawodów polegała na przeprowadzeniu akcji składającej się z czterech etapów: wyjazdu do pożaru, ugaszenia ognia, uratowania człowieka i powrotu do koszar. Organizatorzy przewidzieli na wykonanie wszystkich czynności 45 minut. Łodzianie zrobili to w minut 10. Ponadto swym zachowaniem, rycerskością wobec konkurentów i postawą na licznych bankietach podbili serca kibiców, jurorów i sympatyków straży. Medal wręczał sam następca tronu włoskiego Humberto.

Przebywający w tym czasie całą dobę w koszarach, jeden z dziennikarzy łódzkich zanotował, że w nocy strażacy wyrwani ze snu gotowi są w 50 sekund do wyjazdu. W dzień potrzebują nie więcej jak 15—20 sekund.

Swoją gotowością do udzielania pomocy, fizyczną sprawnością, odwagą, a także ciągłym narażaniem się na niebezpieczeństwo dla dobra innych strażacy budzili i budzą nadal uczucia sympatii. Każdy chłopiec w pewnym okresie swego życia pragnie zostać strażakiem. Nic też dziwnego, że 28 października 1935 roku utworzony został w Łodzi, jako pierwszy w kraju młodzieżowy oddział straży ogniowej. Patronat nad nim objął Oddział Straży Ogniowej Zjednoczonych Zakładów Scheiblera i Grohmana przy ulicy Emilii. Trzeba sobie wyobrazić dumę, jaka przepełniała duszyczki kilkunastoletnich chłopców, którzy składali przysięgę komendantowi Scheiblerowi w nowych, szytych na miarę mundurach strażackich.

Dwa lata później powstał kobiecy oddział służby samarytańsko-pożarniczej. Oddział miał za zadanie niesienie pomocy w każdej potrzebie przy zwalczaniu klęski pożarów, przez pełnienie lżejszych czynności bojowych oraz prace świetlicowe, wychowawczo-obywatelskie i kulturalne. Niestety nie wiemy jak z tymi zadaniami radziły sobie kobiety.

Sympatie społeczeństwa przejawiały się również w chwilach tragicznych. Ze składek łodzian wybudowano, istniejący do dziś na Starym Cmentarzu w głównej alei pomnik z rdzawego marmuru w kształcie trzech strzaskanych kolumn. Symbolizują one postacie trzech strażaków: Wawrzyńca Kamińskiego, Ludwiga Bogusia i Klemensa Wasserlinga, którzy żywcem spłonęli w czasie pożaru fabryki Angersteina przy ulicy Benedykta 17. Znajdowali się wewnątrz płonącego budynku. Kiedy szalejący ogień odciął im drogę próbowali wyważyć toporkami kraty w oknach. Po pewnym czasie przepalony strop runął na walczących o życie strażaków.

Były i ofiary wśród cywilów. Walący się mur pogrzebał ośmiu robotników w czasie pożaru fabryki Rosenblatta. „Pomimo przestrogi, ze strony starszyzny straży, rzucili się oni do płonącego budynku celem uratowania ksiąg handlowych".

Mrożący krew w żyłach opis pożaru przyniósł „Głos Poranny" 15 grudnia 1934 roku. „Wczoraj około godziny 3 po południu, centrala straży ogniowej zaalarmowana została o pożarze, jaki wybuchł na terenie posesji przy ulicy Głównej 26, stanowiącej własność Zjednoczonych Rzeźników.

W momencie, gdy pokazały się języki ognia w stołówce na pierwszym piętrze nie było nikogo, natomiast na drugim piętrze w kuchni znajdowała się kucharka, dwie pomocnice, młode dziewczyny oraz ekspedientka. Ogień ukazał się nagle i od razu buchnął płomieniem. Kobiety znajdujące się na drugim piętrze zostały zaskoczone. Rzuciły się najpierw do drzwi prowadzących na klatkę schodową, ale gdy stamtąd buchnął gęsty dym ogarnęła je panika. Kobiety zostały odcięte od wyjścia.

Kucharka podbiegła do okna i gołą pięścią zaczęła uderzać w szyby oddzielone od siebie żelazną kratą. Nie patrząc na krew, która buchała obficie z poranionych rąk, opanowana paniką kobieta wywaliła wreszcie szyby z narożnego okna i bez chwili zastanowienia, nie czekając na pomoc, nie zważając na ostrzegawcze okrzyki zebranych tłumów, rzuciła się z wysokości II piętra w dół.

Nie spadła jednak na podwórko tylko na daszek osłaniający wejście na klatkę schodową. Pod wpływem ciężaru dość korpulentnej, starszej niewiasty, pękło szkło i nieszczęsna zawisła na daszku w ten sposób, że głowa i wszystkie kończyny uwięzione zostały przez żelazne kraty.

Następnie zaczęły wyskakiwać pozostałe kobiety. Ich upadek amortyzowało ciało kucharki. Kucharka, zdjęta z daszka przedstawiała jedną wielką plamę krwi".

Ówczesne gazety, walcząc bezwzględnie o czytelnika chętnie zamieszczały podobne opisy na pierwszych stronach. A miały o czym pisać. Jeśli w 1907 roku zanotowano w Łodzi 152 pożary, to już w 1913 — 330. W latach wojny, o dziwo, liczba pożarów spadła — w 1917 do 143, by potem gwałtownie wzrosnąć do 239 w 1920 roku i do 346 w 1925. Wybuchało sporo pożarów groźnych. Płonęły całe fabryki, nie zawsze przypadkowo. Towarzystwa asekuracyjne wypłacały przecież wysokie odszkodowania. Często pożar ratował właściciela od bankructwa.

Tylko w latach 1935—36 gazety donosiły: „Groźny pożar w fabryce L. Geyera. Spłonął skład chemikalii i materiałów pędnych. Dach budynku wyleciał w powietrze. Straty 200 tys. złotych". „Pożar w przędzalni Harcenberga". „Spłonęła przędzalnia Speidla. Straty 250 tys. złotych. Ogień strawił 2-piętrowy budynek przy ulicy Kopernika 55. W akcji brały udział wszystkie oddziały straży". „Pożar polsko-amerykańskiej fabryki wyrobów jedwabnych P. A. W. przy ulicy Piotrkowskiej 167". „Pożar w Zakładach Przemysłowych Gampe i Albrecht przy ulicy Piotrkowskiej 210. Straty 250 tys. złotych", „Wielki pożar w zakładach firmy Warrant", „Spłonęła fabryka braci Dobranieckich przy ulicy Cegielnianej 57. Zawalił się czteropiętrowy gmach, w którym mieściła się przędzalnia Petera oraz tkalnia Zylberberga. Straty 1.200 tys. złotych".

„Pożar w Zjednoczonych Zakładach Scheiblera i Grohmana. Ogień zniszczył 2 tys. wrzecion produkujących tygodniowo 20 tys. kilogramów przędzy. 195 robotników pozostało bez pracy". Można powiedzieć, że przędzalnia Scheiblera i Grohmana była wyjątkowo pechowa. Pracowała jedynie dwa miesiące od czasu odbudowania jej po poprzednim pożarze. Skrupulatny kronikarz donosił, że budynek był ubezpieczony w kilku towarzystwach.

Podejrzenia o celowe podpalenie dotknęły również Oskara Kona kiedy w lutym 1921 roku spłonęła jego „Widzewska Manufaktura". Ogień błyskawicznie objął dwupiętrowy budynek. W akcji gaśniczej wzięły udział wszystkie oddziały straży. Beczkowozy jeździły po wodę aż do centrum miasta, bowiem fabryczne stawy zamarzły. Przędzalnia spłonęła doszczętnie. Pracę straciło 700 robotników.

Wody brakowało również rok wcześniej w czasie pożaru w Teatrze Miejskim. Część winy za to spada na samych strażaków, którzy obrazili się na teatr, ponieważ nie mieli zapłacone za dyżury i dlatego zakręcili dopływ wody do hydrantów. Budynek, jak zwykle w takich przypadkach, spłonął doszczętnie, mimo że akcją kierował sam Wilhelm Karol Scheibler.

Dziwimy się, przeglądając stare dokumenty, wycinki prasowe, kroniki, że niemal codziennie wybuchał w Łodzi groźny pożar. Były to jednak inne czasy, inni ludzie, inne możliwości techniczne i finansowe. Dopiero w ustawie z 1934 roku powiedziano, że „można bezpłatnie wzywać straż w drodze telefonicznej, telegraficznej, a nawet radiowej. Straż pożarna spiesząca na ratunek może korzystać ze wszystkich gruntów, dróg prywatnych, a na jej sygnał muszą być bezzwłocznie otwierane wszelkie zapory, rogatki. Piesi i pojazdy muszą usuwać się z drogi przed samochodem straży".

Dziś każda fabryka strzeżona jest przez wykwalifikowanych pracowników mających do pomocy kosztowną sygnalizację alarmową. Z każdego punktu miasta w razie potrzeby można wezwać straż. Do osiągnięcia tego stanu trzeba było przejść te 109 lat od pamiętnego 20 maja 1876 roku, kiedy to łódzcy strażacy przeszli chrzest bojowy.

★

Materiały do tego artykułu udostępnił mi pułkownik Marian Kaśniewski, który posiada przebogate archiwum historii straży w Łodzi.

MAREK MAMOS

Igor Sikirycki

Jaskółki

Jaskółki mają zwyczaj
Dla syna i dla córki
Przesyłać w dniu imienin
Życzenia i laurki.

Skrzydełka mają śmigłe
I ostre jak nożyce,
Więc tną powietrze niby
Dwie czarne błyskawice.

Gdy wzbiją się wysoko
I wzlecą ponad chmurki,
To z chmurek wycinają
Dla dzieci swych laurki.

A wiatr porywa chmurkę
I z tą laurką leci
Tam, gdzie w tym dniu fruwają
Jaskółek naszych dzieci.

Lecz zdarza się, że niebo
Bezchmurne jest i czyste,
Że nawet na osice
Nie zadrży żaden listek.

Lecz nawet i w dniu takim
Jaskółki się nie peszą —
Po drutach wysyłają
Depeszę za depeszą.

Czapla

Rzekła czapla, że dopóty
Będzie szyła sobie buty,
Póki nie uszyje takich,
Co zadziwią wszystkie ptaki.

Sama wzięła sobie miarę
I uszyła butów parę.

Od tej pory zamiast brodem,
Przez głęboką brnęła wodę.

„Patrzcie pliszki i czyżyki,
Zgrabne, mocne mam buciki!"

Gdy głosiła te pochwały,
Buty z nóg jej pospadały.

Jeden but bez śladu zginął,
Drugi rozmiękł i popłynął.

Czapla wzdycha wznosząc nogę:
„Pojąć tego wprost nie mogę!"

I do dziś, zdziwiona srodze,
Stoi wciąż na jednej nodze.

Biedronka i muchomór

— Masz kropki śnieżnobiałe,
Z daleka już widoczne,
A moje są wciąż czarne,
Cóż z nimi biedna pocznę?
— Żaliła się biedronka
Przed dumnym muchomorem
I smutek drżał w jej głosie.
— To proste — rzekł muchomór —
Ja swoje kropki piorę
Codziennie, jak wiadomo,
W porannej, chłodnej rosie!

Szczypawka

Usiadła szczypawka na skrzypie
I skrzyp szczypcami szczypie.
W poniedziałek —
Szczypie w Szczytnie
Szyszki omszałe.
We wtorek —
Szczypie w Szczypiornie
Szczypiorek.
W środę —
Szczypie w Szczyrku
Szparagi młode.
W czwartek —
Szczypie w Szczercowie
Szczyptę bułki tartej.
W piątek —
Szczypie w Szczecinie
Szczątki morskich żyjątek.
W sobotę —
Szczypie w Szczawnicy
Szczaw pod płotem.
— Szczypawko, a co robisz w niedzielę?
— Niewiele
Spróbuję szczypnąć szczeżuję!

ZEGARMISTRZ

Z powrotem czyli fatalne skutki niewłaściwych lektur

ZBIGNIEW BATKO

Byłym dzieciom

Królik pchnął drzwi i znaleźli się we wnętrzu sklepu.

Niewielka mroczna izdebka pełna była najrozmaitszych czasomierzy: zegarów, zegarków i zegareczków, chronometrów, stoperów i pozytywek. Większość wisiała na ścianach, część stała na półkach, reszta leżała na kontuarze bądź wprost na podłodze. Całe to gadatliwe towarzystwo tykało, terkotało, brzęczało, jazgotało i dzwoniło, pozytywki grały, śpiewały kuranty, biły ścienne zegary, a jeden mruczał nawet jak kot. Powietrze zdawało się wibrować; nieustanny hałas napływający ze wszystkich możliwych stron wprawił w drżenie najpierw wrażliwe uszy Królika, a potem ogon Konia, który rozkołysał się niczym wahadło. Serca obu poczęły bić w przyspieszonym rytmie, zaszczękały im zęby, wreszcie rozdygotali się na dobre, oszołomieni, niezdolni wykrztusić słowa.

Królik miał wrażenie, że jeszcze chwila, a zamieni się w zegarek. Już miał rzucić się do ucieczki, gdy z najciemniejszego kąta sklepu wyłonił się właściciel i jednym skinieniem ręki uciszył swych podopiecznych. Jego twarz przypominała do złudzenia tarczę zegara: optymistycznie nastroszone wąsy wskazywały za dziesięć drugą.

W ciszy jaka nagle zapadła, tenor Konia zabrzmiał nieoczekiwanie donośnie:

— Chcielibyśmy kupić zegar, no nie?

— Tak przypuszczałem — rzekł grzecznie Tempus. — Czy mają panowie coś upatrzonego?

— Myśleliśmy o zegarze z kukułką — rzekł nieśmiało Królik. — Która by kukała.

— Albo o kukułce z zegarem, który by chodził. — wtrącił Koń.

— Hm... Z kukułką... — zafrasował się zegarmistrz. — No cóż, mam taki zegar i sprzedam go nawet tanio.

Wspiął się na drabinkę i pchnął dużą wskazówkę zdobionego liśćmi klonu zegara w kierunku dwunastej. Rozległ się zgrzyt, drzwiczki odskoczyły i z czarnego otworu wyjechał chudy kocur. Miauknął przeraźliwie trzy razy i badawczo spojrzał na klientów. Byli najwidoczniej skonsternowani.

— Znowu klops — mruknął zawiedziony kot i zły wycofał się do swej kryjówki, trzaskając bezczelnie drzwiami.

— Jak panowie znajdują tę sztukę? — zapytał zegarmistrz z lekkim niepokojem w głosie.

— To przecież kot!

— Kot — zgodził się uczciwy rzemieślnik...

— A kukułka?

— Kukułka? W środku, w kocie. A że w dzisiejszych czasach o kukułki trudno — musi za karę odpracować szkody. To wychowawcze. Wnoszę jednakowoż, że nie są panowie zachwyceni. Poszukamy czegoś innego.

— Ale my... — zaczął Królik.

— Nie ma mowy. Nie wypuszczam z zasady klientów nie spełniwszy ich życzeń. Co by tu panom... — podrapał się w głowę i w zamyśleniu wodził wzrokiem po ścianach. — Może budzik? — ożywił się nagle.

Przyjrzeli się uważnie.

— Ależ to bomba zegarowa! — wykrzyknął Królik ze zgrozą.

— Jak się zwie, tak się zwie. Może i bomba. Ale budzi skutecznie, zaręczam — począł manipulować przy mechanizmie. — Zademonstrować?

— Nie!!! — wrzasnęli obaj naraz.

— Widzę, że z panów prawdziwi znawcy — rzekł Tempus z uznaniem i odłożywszy budzik sięgnął po inny zegar. — Ten ma sześć wskazówek. Rzecz amatorska. Nie? Trudno.

Nagle uderzył się w czoło.

— O, byłbym zapomniał: coś w sam raz dla panów — zegarek na rękę z kukułką... Za mała? Więc może zegar, który wylicza sekundy, minuty, podaje godziny, dni tygodnia, do stołu, miesiące, lata, stulecia, fazy księżyca, co będzie dziś na obiad i ile lat ma babcia dozorcy, czego nikt dotychczas nie wie... Także nie? — Zegarmistrz zasępił się. Po chwili twarz znów mu się rozjaśniła.

— Ten oddam bezpłatnie — puknął palcem w duży, stojący zegar. — Wymagania ma niewielkie: trzy skromne posiłki dziennie... — Mówiąc to przygotowywał kanapkę z salcesonem. Koń przełknął głośno ślinę, a kot wychylił głowę ze swego zegara i pociągnął nosem. Tempus wsunął chleb w szparę pod tarczą. Dało się słyszeć donośne mlaśnięcie, po czym mechanizm zaterkotał gwałtownie, wahadło rozkołysało się tak jakby się miało lada chwila urwać i wskazówki popędziły naprzód jak szalone. Gdy obie doszły do dwunastki, zegar nagle stanął. Otworzyła się boczna ścianka i ze środka wylazł wątły osobnik w podniszczonym paletku, z teczką w ręku.

— Dwunasta — oświadczył wycierając usta wierzchem dłoni. — Fajerant. — Uchylił kapelusza i godnym krokiem wyszedł ze sklepu.

— Szwagier — wyjaśnił zegarmistrz. — Starał się bezskutecznie o jakieś zajęcie, a czasy dziś, powiadam, ciężkie Mnie samemu się nie przelewa, płacić mu nie mogę, ale zgodził się za łyżkę ciepłej strawy popędzać największy zegar. Przepada za salcesonem. Jest o wiele szybszy, jak panowie zauważyli — pracuje na akord i bardzom z niego kontent. Niewielu dziś prawdziwych fachowców, upadek rzemiosła, panie. A szwagier jak zechce, to zakukać potrafi. No i nazwisko ma znakomite: Schaffhausen się nazywa. Jeśli panowie reflektują...

— Raczej nie, dziękujemy — rzekł Królik z zakłopotaniem. — Prowadzimy gospodarstwo kawalerskie, rzadko gotujemy, a i nasza kuchnia nie odpowiadałaby panu Schaffhausenowi.

Kolejne zegary pojawiały się na ladzie i znikały, ale transakcja w dalszym ciągu nie dochodziła do skutku — w żadnym nie było nawet śladu kukułki. Fugit zwijał się wśród swojej kolejki jak fryga. Zdejmował zegary z najwyższych półek, to znów dawał nura pod ladę, by wyciągnąć co ciekawsze okazy z dolnych szuflad i niezliczonych zakamarków. Niektóre były tak piękne lub tak pomysłowo skonstruowane, że Królik omal nie zrezygnował z wymarzonego modelu z kukułką. Nie był jednak pewien, czy kupując inny zegar nie nadużyłby wielkoduszności Konia. Salceson, od którego tamten nie mógł oderwać pożądliwego wzroku, działał na Królika jak wyrzut sumienia, toteż postanowił skończyć wreszcie z kłopotliwą dla wszystkich sytuacją.

— Zajęliśmy panu niepotrzebnie masę czasu. Chyba już sobie pójdziemy.

Zegarmistrz wyraźnie posmutniał: wąsy wskazywały za dwadzieścia czwartą.

Pożegnawszy uprzejmego gospodarza z ociąganiem skierowali się ku wyjściu.

— Chwileczkę! — zawołał nagle Tempus. — Mam jeszcze coś ekstra. Panowie poznają się na tym. Nie jest to wprawdzie rzecz na sprzedaż, ale nie darowałbym sobie, gdyby panowie tego cuda nie obejrzeli. Chodźmy!

Poprowadził ich przez zaplecze do tylnego wyjścia i znaleźli się w ogrodzie. Tymczasem kot opuścił posterunek i bezzwłocznie zajął się salcesonem szwagra Schaffhausena.

Okolona bujną roślinnością, oddzielona od niej ogromną szybą, której krańców nie mogli dostrzec, rozciągała się przed ich oczyma bezkresna pustynia. W samym jej środku wznosił się gigantyczny kopiec. Po zboczu kopca pięła się mozolnie w górę karawana złożona z siedmiu beduinów na wielbłądach. Już na pierwszy rzut oka było widoczne, że wysiłki jeźdźców są daremne — piasek bezustannie usuwał się spod nóg wielbłądów, pociągając je za sobą w dół.

Kiedy podnieśli wzrok, odkryli natychmiast przyczynę tego stanu rzeczy. Oto spod nieba spadał na szczyt góry nieustający strumień piachu.

— Przecież oni nigdy nie osiągną szczytu! — zawołał Królik.

— Sami wiedzą o tym doskonale — uśmiechnął się zegarmistrz pobłażliwie.

— Więc po co pchają się z takim uporem?

— To jedyna ich szansa. Jeśli się zatrzymają, porwie ich i zasypie piasek. Ta wędrówka ciągnie się od dziesięciu z górą lat, to znaczy od chwili, kiedy mój dziadzio stworzył tę klepsydrę.

— Klepsydrę? — zdziwił się Koń, któremu słowo to skojarzyło się z jajkiem na miękko — słyszałem, że wystarczą trzy minuty...

— Mamy przed sobą — wyjaśnił Tempus tonem przewodnika — gigantyczną klepsydrę zbudowaną przez najsłynniejszego zegarmistrza wszystkich czasów, którego mam zaszczyt być wnukiem. Odmierza ona nie marne sekundy, nie lata, nawet nie stulecia, ale całą wieczność. W i e c z n o ś ć, rozumiecie? Jajka! — parsknął pogardliwie. — Czym jest jajko na miękko wobec wieczności?

— Jak to wieczność? — zapytał Królik. — Przecież sam pan mówił przed chwilą, że to działa dopiero od dziesięciu lat.

— W tej postaci — zgodził się zegarmistrz, — ale jako idea istniała od niepamiętnych czasów. I dopiero mój dziadzio tę ideę urzeczywistnił. Zginął zresztą bohaterską śmiercią, na posterunku, jak się to mówi, wciągnięty w tryby ratuszowego zegara.

— Dlaczego właściwie pański szanowny przodek-nieboszczyk zakroił czas działania tego urządzenia na tak ogromną skalę? — zainteresował się Królik, kiedy uczcili pamięć zmarłego minutą ciszy, odmierzoną precyzyjnie stoperem Tempusa.

Zegarmistrz uśmiechnął się z wyrozumieniem.

— Była to niejako konieczność — rzekł. — Bo czyż można sobie wyobrazić, by znalazł się ktoś, kto po przesypaniu wszystkiego piasku odwróci tego kolosa do góry nogami? Piasku musi być tyle, aby nigdy nie przestał się sypać, żeby nigdy nie zachodziła potrzeba odwracania klepsydry. I mój dziadzio taką właśnie koncepcję przyjął. I zrealizował — zakończył z dumą.

Jednemu z beduinów udało się w tym momencie dotrzeć prawie na szczyt góry, ale nie wzbudziło to większych emocji wśród jego towarzyszy. Tempus także nie zdradzał zainteresowania. Zgodnie z jego przewidywaniami walącą z góry struga piachu omal nie przewróciła śmiałka — cudem udało mu się zjechać po zboczu, kilka metrów niżej i od tej chwili utrzymywał umiarkowane tempo wspinaczki.

Chwilę jeszcze obserwowali zmagania karawany, po czym zatopieni w rozmowie wrócili do sklepu. Docierały tu z daleka stłumione odgłosy wznowionych walk ulicznych.

Królik i Ko' zmęczeni wrażeniami, postanowili się pożegnać i ruszyć w drogę powrotną.

— Przykro mi, że nie mogłem panów zadowolić — rzekł Fugit, kiedy znaleźli się przed sklepem. Uścisnął im dłonie. — Proszę zaglądać w przyszłości, może....

— Padnij!!! — ryknął nagle kocur wypadając ze sklepu z salcesonem pod pachą.

Zaledwie cała czwórka rozpłaszczyła się na ziemi, potężna detonacja wstrząsnęła powietrzem. Na leżących posypał się grad wskazówek, szpindli, osiek balansowych, sprężyn zapadkowych, wałków naciągowych, włosów, bębnów, ciężarków, półbeczułek, beczułek, kotwic, wrzecion, motylków, palet, trybików, zębników, kamieni, szkła i drobnych monet.

W śmiertelnej ciszy, jaka zaległa po wybuchu, Królik usłyszał bicie serca Tempusa. Przypominało do złudzenia tykanie zegara.

Po krótkiej chwili gdy kurz opadł, odważyli się podnieść wzrok. Sklep przestał istnieć.

— To budzik — wyjaśnił zegarmistrz. — Mówiłem panom wszakże, że działa niezawodnie. — Nawet w tej dramatycznej chwili zawodowa duma biła mu z oblicza. Wąsy sterczały zawadiacko, zmierzwione podmuchem.

— Ot, przykrość — Koń spojrzał ze współczuciem na Tempusa. — Był interes, nie ma interesu.

Zegarmistrz machnął ręką.

— Dawno miałem zamiar z tym skończyć.

— Szkoda zegarów — westchnął Królik grzebiąc nogą w kupie złomu.

— Zegary rzecz nabyta. I nietrwała. Mam większe plany — będę sprzedawał czas. Jest popyt: ludzie nie mają go ostatnio zbyt wiele.

— Czas? — zdumiał się Królik. — Na wagę? Na metry? Na sztuki?

— W detalu na sekundy, w hurcie na lata. Ale żeby handlować czasem, trzeba go mieć. A mieć go będę, jak przejdę na emeryturę.

— A kiedy to nastąpi? — zaciekawił się Królik, jako potencjalny nabywca.

— No, nie tak prędko. Mam jeszcze czas.

— To skoro pan ma... — zaczął Królik, ale nie dokończył, gdyż w tym momencie rozległ się dziki tętent i siedmiu beduinów wzniecając tumany kurzu, ze straszliwym wrzaskiem przemknęło obok nich i zniknęło za zakrętem uliczki.

Spojrzeli z niepokojem w stronę klepsydry. Nim jednak zdołali ocenić sytuację, z innej uliczki wypadł oddział halabardników na rowerach, zwabionych odgłosem eksplozji.

Nie zwlekając wzięli nogi za pas.

— Łapać anarchistów!!! — wrzeszczał dowódca straży.

* * *

Pod lasem zaroiło się od jeźdźców.

— Rany boskie! — krzyknął Koń. — Babcia Alicji! Koniec z nami!

Halabardnicy deptali im po piętach — zbójcy byli tuż, tuż....

Koń skamieniał. Królik zdrętwiał.

I wtedy:

Konni ze szczękiem straszliwym starli się z cyklistami. Ludzie, konie, rowery, wszystko to zbiło się w jeden kłąb potworny; zaszczękały halabardy, zaryczały gardziele, rozdzwoniły się dzwonki i zęby. Zgiełk piekielny niósł się ku niebu wraz ze słupem kurzu, co spowił walczących złocistym tumanem.

Nagle pieśń z oka bitewnego cyklonu buchnęła ku górze, piękna, porywająca, na trzy albo i więcej głosów rozpisana. Ktoś fałszywie co prawda w refrenie pociągnął, lecz wraz urwał, przez Babcię, który ucho wrażliwe miał nad podziw, po karku zdzielony.

Uskrzydliła pieśń walczących. Ducha im dodała. Łomot rytmu nabrał i wyrazu. Zgrzyt oręża stopniowo, w przedziwną jakowąś antyfonę się przekształcił, w której odgłosem razów krzyki rażonych odpowiadały.

Dowódca straży, halabardę zgubiwszy, pompkę zza cholewy wyszarpnął i w sam czas to uczynił, gdyż Babcia, z wodzowskiego raczej obowiązku ,niż z zamiłowania, z furią na niego natarł. Zastygli też natychmiast w bezruchu zbrojni mężowie, by walce dwóch naczelnych lepiej się przypatrzeć, tym bardziej, że porażka któregolwiek z nich vacat korzystny i perspektywy dla zastępców stworzyć mogła.

Babcia parował zrazu ciosy pompki drutem, lecz ramię do rzemiosła wojennego nie nawykłe wkrótce słabnąć mu poczęło i byłby niechybnie legł na polu chwały, gdyby mu wicehalabardnik w porę z niespodziewaną odsieczą nie pośpieszył. Ten znów pończochę zdobyczną piaskiem napełniwszy, siał wokół trwogę i spustoszenie, a gdy mu się pod rękę sam ober nawinął, z dziką jakąś radością w łysy czerep grzmotnął i z siodełka jednym ciosem własnego szefa pod nogi Babci zwalił.

Skoczył ku niemu Babcia i włóczką związawszy zamyślił się głęboko, co z tym fantem zrobić.

Powalony ręką wolną fotkę żony i dzieci pod nos zbójcy posunął: — Daruj życie — bierz co chcesz! — wychrypiał, tamten zaś wziął rower i pojechał. Miał dość.

Walka wznowiona czas jakiś jeszcze się toczyła, mimo rejterady wodza. Włóczka po wcześniejszych wydarzeniach rozplątana i pracowicie w motek zwinięta, ponownie się rozwinęła, aż w końcu wszystko zamieniło się w jeden gigantyczny kłębek wełny, najeżony szprychami, rękami i nogami walczących, który toczył się z wrzaskiem tam i sam strasząc zwierzynę leśną bez odrobiny kultury, co nawet w lesie, także i wojskowych, obowiązuje.

— Chyba pójdziemy do domu — rzekł wreszcie Królik, przekrzykując gwar i podniósł się z walizki. — To się robi nudne. Wolę już wyścigi konne.

I poszli.

Fragment powieści, która w ciągu najbliższych tygodni ukaże się nakładem „ISKIER".

Sen jest ważniejszy?

Teatr Nowy w Łodzi może na liście swych licznych zasług zapisać, że właśnie w jego gościnnych murach odbyła się pierwsza premiera Teatru Narodowego w Warszawie po marcowym pożarze, który strawił jego scenę i część widowni. Te szczególne okoliczności miały z pewnością wpływ na kształt przedstawienia, niemniej jednak zaprezentowanie go w niewiele tygodni po katastrofie wystawia zespołowi Teatru Narodowego i jego dyrekcji świadectwo wielkiej dynamiczności i ofiarności.

Widowisko oceniać jednak należy niezależnie od warunków, jakie towarzyszyły powstawaniu. Tego wymaga szacunek dla jego twórców. Przejdźmy przeto po oddaniu należnego uznania aktorom warszawskim do obiektywnej oceny ich prezentacji!

Dramat Calderona *Życie jest snem*, napisany ok. 1636 roku, a więc w *złotym wieku* kultury hiszpańskiej, wchodził do kanonu teatru światowego z uwagi na określone treści, których nie był w stanie dotknąć niszczycielski upływ czasu. Przed kilkunastu laty poeta i badacz literatury *Jarosław Marek Rymkiewicz* podjął pracę nad nowym przekładem sztuki, który ułatwiłby współczesnej publiczności percepcję sędziwego tekstu, odrzucając zeń zbędne anachronizmy. Efekt tej pracy odbiegł jednak od początkowego zamierzenia, przekroczył granice przyjęte zwyczajowo w praktyce przekładowej, tworząc — jak to uznał sam Rymkiewicz — współczesne zwierciadło dla XVII-wiecznego tekstu Calderona.

Swoją pracę nad dramatem określił jako *imitację*, a więc naśladowanie oryginału w miejsce przekładu. Powstały tą drogą tekst okazał się nośny, tak więc teatry polskie sięgają dziś chętniej po *imitację* niż po wierny przekład *Edwarda Boyé* dokonany w latach trzydziestych.

Szesnaście lat temu wystawił *Życie jest snem* w *imitacji* Teatr Nowy. Przypomnę, bo warto pielęgnować dobrą łódzką tradycję teatralną, że spektakl ten, wyreżyserowany przez *Witolda Zatorskiego*, w oprawie scenograficznej *Henri Poulaina* (obaj nieodżałowani twórcy nie należą już do żyjących) i z *Andrzejem Mayem* w roli Księcia Sigismundo, zwieńczony był w roku 1970 nagrodą *Srebrnej Łódki*.

Po tej niezbędnej dygresji wracamy do materii literackiej, której współtwórcą obok XVII-wiecznego dramaturga jest współczesny nam poeta. W uczonym wywodzie, jakim poprzedził publikację dramatu Calderona (PIW 1971), uzasadnia Rymkiewicz potrzebę stworzenia nowego pojęcia w zakresie przyswajania klasycznego tekstu obcojęzycznego, czyli właśnie *imitacji*. Nie słowo określające jest tu chyba najważniejsze, autor przyjął je na własny użytek. Słabością tego konceptu wydaje się fakt, że *imitacja* ma u nas w mowie potocznej nieco inny sens. Trzeba by więc widza każdorazowo odsyłać do rozprawki Rymkiewicza, by uzmysłowić mu (widzowi, nie Rymkiewiczowi!), na czym polega stosunek tekstu polskiego do oryginału.

Najkrócej mówiąc, teksty te nie są identyczne w literze. Polska wersja jest raczej jedynie podobna, opowiadając fabułę sztuki Calderona wraz z jej ładunkiem intelektualnym swoimi słowami. A zatem: Calderon głosem Rymkiewicza. Język poetycki tego ostatniego ma dla współczesnego odbiorcy wszelkie cechy dostępności, dzięki czemu może spełniać rolę skutecznego nośnika dla świata myśli hiszpańskiego mistrza.

Dramat Calderona jest z typu baśniowych, przy czym baśń to pełna okrucieństwa. Bohaterowie kierują się chłodnymi kalkulacjami lub kaprysami, realizując swoje interesy bez liczenia się z tym, że działanie ich może być krzywdzące dla innych, może im zadawać cierpienie. W taki właśnie sposób król Basilio przesądził los swego syna Sigismunda.

Umiejscowienie fabuły w Polsce nie ma większego znaczenia, jest całkowicie grą fantazji. Autor niewiele zapewne wiedział o kraju nad daleką Wisłą, a jeśli nawet i coś wiedział, to podczas pisania dramatu mało go to obchodziło. Polska mogła znaczyć dla Calderona *wszędzie* lub *nigdzie*.

Znaczenie omawianego przez nas tekstu nie polega dzisiaj z pewnością na jakiejkolwiek rodzajowości czy na obrazie obyczaju barokowej Hiszpanii pod berłem króla Karola I. Takie muzealne potraktowanie dramatu uczyniłoby go dziś niestrawnym. Słusznie więc Rymkiewicz wyłuskuje to, co w anachronicznym tekście może być dla nas istotne.

Jest w sztuce Calderona moment, gdy książę Sigismundo, skuty z woli ojca od dzieciństwa w kajdany, otrzymuje również na rozkaz Basilia silny środek nasenny, by zbudzić się w zupełnie innej kondycji. Oto nie ma już śladu po krępujących go łańcuchach, ciało Sigismunda zdobią aksamity i złotogłowia, a na jego polecenia czeka czereda posłusznych dworaków i służących. Ta zmiana tak jest diametralna, że nieszczęsny principe podejrzewa, że nowe okoliczności to tylko sen.

I oto dzięki tej sytuacji i jej implikacjom myślowym wkraczamy nagle w obszar bliski owym poligonom intelektualnym, po których porusza się filozofia, psychologia i sztuka XX wieku. Chodzi o subtelną granicę między snem i jawą, granicę którą człowiek przestępuje wielokrotnie w obie strony, nie zawsze pewien do końca, czy przeżywa coś w rzeczywistości, czy też śni.

Życie miesza się ze snem — pisał Jerzy Zawieyski w *Kartkach z dziennika*. — *Sen jest ważniejszy. Zawsze dziwny, wróżebny, przejmujący grozą, zachwycający symbolem lub nauką moralną.*

Tu niejeden z czytelników zaprotestuje. Sen to sen, a jawa to jawa! — wykrzyknie. — Nietrudno je od siebie odróżnić. A ktoś inny przeżegna się i powie: *Sen mara, Bóg wiara.*

Jest w takim stanowisku, coś z małego realizmu, z potocznego, niepogłębionego doświadczenia życiowego. Można próbować je podważyć. Jak bowiem wytłumaczyć, że we śnie odnajdujemy sprawy, względnie echo spraw, które absorbowały nas przed zaśnięciem? Że pojawiają się w jego mglistej strukturze obrazy ludzi, z którymi stykamy się lub stykaliśmy się w realnym życiu? Że nierzadko odczytujemy sen jak przepowiednię?

Może więc nie ma wyraźnej linii demarkacyjnej czy chińskiego muru oddzielającego sen od jawy? Może to awers i rewers tej samej monety?

Jest faktem, że nasze codzienne problemy i przeżycia ulegają we śnie deformacjom lub wielkiemu skondensowaniu. Ale to przecież mimo wszystko dalszy ciąg jawy. Istnieje niewidzialny pomost między dwoma stanami psychicznymi, gdy czuwamy lub gdy śnimy, co powoduje, że przenikają się one wzajemnie, pozostają w stanie zależności od siebie, karmią się sobą.

Nie zamierzam tu zagłębiać się w pokłady psychoanalizy. Na to jestem zbyt mało uczony w piśmie. Pragnę tylko wykazać, jak bliski był Calderon — nieświadomie wprawdzie ale bliski — wiedzy, jaką rozwijali później Freud, Jung i dzisiejsi kontynuatorzy ich badań nad naturą człowieka i jej zagadkami.

I tak powracamy do punktu wyjścia naszych rozważań, to jest do złudzeń, jakim podlega książę Sigismundo, nie wiedzący, czy jego nowy szczęsny los to sen, a rzeczywista jest wieża, w której więziony był od dzieciństwa. A może obecny stan, w którym książę jest wolny i wszechwładny, to właśnie rzeczywistość, a złym snem były kajdany? Czy może wreszcie i jeden, i drugi stan jest tylko snem? Może całe życie ludzkie to tylko sen?

Trapiony tymi wątpliwościami Sigismundo wypowiada znamienne słowa:

śnię przebudzony
że uśpiony nie śpię
wszystko
to jedno i wszystko
we śnie.

Przewrotny to tekst, jakby żywcem zaczerpnięty z Mrożka. A to właśnie próbka rymkiewiczowskiej *imitacji*. Barokowe dywagacje Calderona przebierają się tu w strój współczesnych pojęć i współczesnego słownictwa.

Ta dzisiejsza wykładnia starej sztuki legła u podstaw spektaklu Teatru Narodowego. Pierwszym tego sygnałem jest scenografia autorstwa *Katarzyny Kępińskiej*, ażurowa, przypominająca przestrzenną konstrukcję geometryczną, ale także klatkę, egzystencjalistyczny symbol uwikłania człowieka w życie. Ta rama plastyczna odrywa fabułę od hiszpańskiej XVII-wiecznej dosłowności, co więcej, odrywa ją od jakiegokolwiek zakotwiczenia, w rzeczywistości, odsyłając widza w sferę abstrakcji, gry intelektualnej.

Znak plastyczny Kępińskiej to widomy wyraz klucza, jaki *Krystyna Skuszanka* przyjęła dla całego przedstawienia. Dla inscenizatorki nie jest istotna zewnętrzna tkanka fabularna sztuki ani jej lokacja w czasie czy przestrzeni. To uprzedmiotowiona i spersonifikowana myśl autora, gra jego wyobraźni przekraczająca doświadczenie epoki, kształtuje widowisko.

Dla takiej intencji obojętny staje się rysunek wewnętrzny postaci. Wyjaśnijmy to na przykładzie głównego bohatera, księcia Sigismunda. Wyrocznia każe uważać go za człowieka z natury okrutnego. Tymczasem, jak się później okazuje, Sigismundo nie ma określonego charakteru, jest — według Rymkiewicza — *czystą możliwością jakiegokolwiek istnienia*, a więc żetonem, któremu okoliczności nadają dowolną wartość. Jego decyzje działania poprzedzone są kalkulacją i oceną szans. Czy nie jest ewidentnym tego dowodem choćby końcowy jego wybór infantki Estrelli na towarzyszkę życia? Ani słowa tam o miłości z jednej czy z drugiej strony.

Nie trzeba nikogo przekonywać, przed jak trudnym zadaniem postawiła wykonawców reżyserka, zgodnie zresztą z intencjami *imitatora*. W tekście Rymkiewicza nie znajdowali aktorzy materiału na kreowanie psychologicznego obrazu postaci. A grać abstrakcyjne zawiłości myślowe to taniec na linie!

Niemożliwością staje się w tym warunkach osiągnięcie jakichś wybitnych indywidualnych osiągnięć aktorskich. Zbiorowym wysiłkiem zespół grający stał się wykładnią toku myślowego sztuki. Wykładnią, dodajmy, bardzo klarowną.

Mimo tych generalnych ograniczeń warto podkreślić szczególnie duży wkład w tę ekwilibrystykę *Tomasza Budyty* (Sigismundo), *Józefa Skwarka* (Basilio), *Krystyny Królówny* (Rosaura) i *Stefana Knothe* (Clotaldo).

Wieczór spędzony na prezentacji Teatru Narodowego uznać należy za bardzo udany.

Pedro Calderon de la Barca *Życie jest snem* (La vida es suenja); Imitacja — *Jarosław Marek Rymkiewicz;* reżyseria — *Krystyna Skuszanka;* scenografia — *Katarzyna Kępińska;* muzyka — *Adam Walaciński;* układ tańców — *Barbara Fijewska* i *Werner Wróbel;* plastyka ruchu (układ pojedynków) — *Ryszard Olesiński;* Teatr Narodowy w Warszawie w sali Teatru Nowego w Łodzi; premiera — 25 kwietnia 1985 r.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

VIII Łódzkie Spotkania Baletowe

Oto mamy kolejne spotkania ze sztuką baletową, oczekiwane w Łodzi z niecierpliwością przez liczniejsze z każdym rokiem zastępy miłośników baletu, imprezę pilnie obserwowaną przez fachowców i krytyków jako jedyne w kraju w tej dziedzinie stałe przedsięwzięcie o charakterze międzynarodowym. Pierwsze emocje już za nami, a nawet w chwili, kiedy te słowa ukazują się w druku (z nieuniknionym opóźnieniem w stosunku do wydarzeń) widzowie przekraczają półmetek spotkań. Tak więc ze względów technicznych numery „Odgłosów" (ukazujące się w środę) zawierają omówienie przedstawień do poprzedniej środy włącznie.

Wieczór pierwszy

Imprezę zainaugurowały występy zespołu gospodarzy trzema premierami, składającymi się na program wieczoru. Nikogo chyba nie zaskoczyło, że były to nowe dzieła Ewy Wycichowskiej, niezwykle płodnej twórczo, która od momentu choreograficznego startu przed kilku laty opracowała co najmniej kilkanaście choreografii, nie zawsze — co oczywiste — jednakowo udanych, a nawet o znacznej rozpiętości poziomu.

„CIEŃ"

Jak najlepsze wrażenie sprawił na mnie monodram baletowy „Cień" do ciekawej muzycznie kompozycji Bronisława Kazimierza Przybylskiego pt. „Alea". Widzimy na scenie samotną postać męską, która jakby w odzewie na przywołujący z dala przeciągły gwizd, zaczyna próbować swoich sił, sprawdzać swoje możliwości, a potem poprowadzi przekorną grę ze swoim cieniem. Przez wyolbrzymienia postaci, cień czyni niezwykle wyrazistymi jej ruchy, nawet takie, które bez tej projekcji świetlnej (ale jeszcze nie filmowej) mogłyby pozostać nie zauważone. Nagle na umieszczonym w głębi ekranie filmowym pojawia się druga postać, która zaczyna stawać się alter ego bohatera. W rzeczywistości jest to ten sam tancerz, tylko że wcześniej pojedynczo sfilmowany, a obecnie na zasadzie montażowego tricku funkcjonujący niejako w rozdwojeniu.

Opisuję to bez większych nadziei, że ktoś, kto tego nie widział, potrafi sobie łatwo odtworzyć obraz tych scenicznych działań, należy się jednak słowna dokumentacja czemuś, co, być może, nie zostało utrwalone w filmowym zapisie na zasadzie „kina w kinie". W każdym razie monodram ukazuje duże możliwości artystyczne kombinacji baletowo-filmowych.

Muzyka znacznie pomagała widzom w odbiorze, a dla choreografa stanowiła zapewne ważne źródło inspiracji. Od najlepszej strony zaprezentował się sprawny tanecznie i wyrazisty **BOGDAN CHOLEWA**. Reżyserem wyświetlanego filmu jest **JANUSZ SIJKA**. Sądzę, że „Cień" powiększa trwały dorobek Ewy Wycichowskiej.

„MIRIAM"

Następną pozycję, również do muzyki B. K. Przybylskiego, zatytułowano pięknym biblijnym imieniem, stanowiącym inną formę imienia Marii, toteż nim zerknąłem do programu oczekiwałem tego rodzaju inspiracji. Okazało się, że tym, co natchnęło autorkę jest opowiadanie Trumana Capote pod tym właśnie tytułem, a niewiele mówiący fragment tej prozy zamieszczono w programie jako motto.

Znaleźliśmy się na widowni w kłopotliwej sytuacji, wystawieni na pokusę „dośpiewywania sobie" na podstawie akcji baletu domniemanych sensów nieznanej opowieści: czy śledzić z uwagą hasła wywoławcze libretta, czy też uznać — co chyba słuszniejsze — całe to literackie odniesienie za całkowicie prywatne zwierzenia autorki ze swoich lektur.

Poprzestałem więc na „normalnym" oglądaniu tego chwilami bardzo zaciekawiającego, groteskowo-tajemniczego „teatru tańca", zapowiadającego stale coś nowego. Świetnym pomysłem wydało mi się owo odwracanie się ku widowni wędrujących parawanów-zastawek, ukazujące całą galerię niesamowitych postaci o wyraźnie ekspresjonistycznej proweniencji, łącznie z wypełniającą ramy obrazu „żywą" parą ślubną. Ale pomysły, choć często zmieniane, ciągle nie ujawniały znaczeń, którym służą, np. ożywione domowe sprzęty, w które jakby pozaklinane duchy jakichś winowajców o wyciągających się ku nam ludzkim rękom.

W tej scenerii odkrywała przed nami przeżycia swojej tragicznej przeszłości bohaterka, odziana w zwykły wyjściowy kostium (jakby szła po zakupy lub wróciła z kawiarni), z czym jednak taniec, w sensie baletu, stanowił dla mnie dysonans, wszystko bowiem dopraszało się w moim odczuciu czystej i konsekwentnej pantomimy, jaką demonstrował z powodzeniem **CZESŁAW BILSKI**, jako Mąż ze ślubnego portretu. Wydaje mi się, że obciążenie **LILIANY KOWALSKIEJ** (Żony) przewagą zadań tanecznych, postawiło ją w sytuacji sztucznej dramatycznie.

Tyle pomysłów i sposobów, które ostatecznie, jak to odebrałem, doprowadziły widza donikąd, nie pobudziły chyba do żadnej refleksji. Ciesząca oko, bardzo „malarska" scenografia **EWY KWIATKOWSKIEJ** też nie wspomagała widza w rozeznaniu sytuacji. Tak byłem pochłonięty sprzecznymi odczuciami i wrażeniami, że nie zwróciłem uwagi na muzykę.

„PAX ET BONUM"

Ostatnia pozycja nosi podniosły tytuł, przypominający o potrzebie czynienia pokoju i dobra, zawiera też dedykację autorki dla wszystkich, którzy są dziś „źródłem nadziei" oraz teksty poetyckie, nie zawsze przekonujące artystycznie. Pisanie o tym utworze jest nieco kłopotliwe, zastosowanie bowiem w scenografii symboli religijnych i wprowadzenie do akcji baletu w intencji hagiograficznej postaci znanych osobistości, będących dla wielu przedmiotem adoracji, wywiera swojego rodzaju presję na recenzenta, który może być — w przypadku krytycznych uwag — ochoczo pomówiony o „szarganie świętości", co ma w naszym kraju określone tradycje.

Nie bacząc na to, należy jednak wytknąć utworowi przeładowanie rozmaitością motywów i wątków, którymi można by obdzielić kilka baletów, przyjmując, że wszystkie propozycje autorki stanowią podatną materię dla sztuki baletowej. Nie potrafiłbym zresztą odpowiedzieć, czy wszystko da się zatańczyć (z pomyślnym rezultatem artystycznym). Być może — wszystko, wszakże pod warunkiem, iż autorem powoduje głęboka ideowa (np. religijna) żarliwość i nie kieruje się on względami koniunkturalnymi. Dziś zresztą w Polsce koniunkturalizm polega często na zupełnie czymś innym, niż w czasach wszechpotęgi mecenatu państwowego.

Przyjmuję oczywiście, intencje Wycichowskiej w „Pax et bonum" jako szczere, wierzę bowiem w ideowe motywacje różnych, nieraz przeciwstawnych stanowisk, ale skoro tak, to temat nie został dość głęboko przetrawiony artystycznie, przedstawiony został bardziej ilustracyjnie niż metaforycznie, rozdrobnił się i rozmył w mnogości scenek, w pogoni za aluzjami do wydarzeń, których nie zdoła rozszyfrować, kto nie zna podtekstów tego „baletu z kluczem". Bez libretta się nie obejdzie, gdyż sama symbolika wielu scen jest mało czytelna, a niektóre z nich (golaski-bobaski) mają posmak „samograjów".

Muzyka cenionego kompozytora, **JULIUSZA ŁUCIUKA**, któremu ostatnio przypadły nagrody im. Brata Alberta za twórczość sakralną i Nagroda Episkopatu Polski (a którego świetna muzykę do „Medei" słyszeliśmy kiedyś na naszej scenie), zawiera w moim odczuciu dużo dramatyzmu i siły oddziaływania na wyobraźnię. Natomiast, co do scenografii E. Kwiatkowskiej, to zapewne wbrew jej intencjom, stwarza nastrój mroczny i przygnębiający.

Tak więc mimo dobrego tańca **HENRYKA MINKIEWICZA**, **KRZYSZTOFA STRACZEWSKIEGO** i **TOMASZA ŁUKASZYŃSKIEGO** okazało się, że czynić dobro jest trudno nawet na scenie, choć nie tak trudno zyskać poklask widowni.

Wieczór drugi

„MAKBET" GOŚCI ZNAD NEWY

Ze sztuką baletową leningradczyków zetknęliśmy się przed kilku laty z okazji bytności zespołu Teatru im. Kirowa z „Jeziorem łabędzim". Nie wszystkim u nas wiadomo, że w tym mieście istnieje od pół wieku także drugi, wysoko ceniony zespół, a mianowicie Małego (Akademickiego) Teatru Opery i Baletu. Goście zapoznali nas z „Makbetem" na motywach Szekspira, z librettem i w inscenizacji kierownika artystycznego, wybitnego choreografa średniego pokolenia, **MIKOŁAJA BOJARCZIKOWA** i **MIKOŁAJA TAGUNOWA**, z muzyką współczesnego węgierskiego kompozytora **S. KAŁŁOSZA**.

Autor nie zadowolił się dosłownym odczytywaniem kolejnych scen dramatu Szekspira, skupił uwagę na motywie głównym, jakim są narodziny i rozwój myśli o zbrodni. Ta problematyka etyczno-psychologiczna, mająca wymiar ponadczasowy, wymaga od realizacji baletowej ukazania następujących po sobie faz procesu wewnętrznego właściwymi baletowi środkami ruchu i gestu oraz trudno dostrzegalnej, a więc z gruba rysowanej mimiki. Myślę, że z powodu tych trudności, które wiązałyby się z pokazaniem nadmiernych ambicji Lady Makbet wyniesienia męża do najwyższych godności autor posłużył się pomysłem wprowadzenia inspiracji zewnętrznej, upostaciowionej w osobie **Kawdora**, o którego zdradzie dowiadujemy się u Szekspira tylko pośrednio. Jest on u Bojarczikowa zarazem najemnym zabójcą i lekarzem, ale co najważniejsze „wyręcza" on głównych bohaterów od usiłowań wytańczenia całego mechanizmu psychologicznego ambicji i zdrady.

Ogólny wyraz dzieła Bojarczikowa bliski jest klimatowi emocjonalnemu dzieła Szekspira. Zasługa w tym m. in. znacznej sugestywności dekoracji **R. Iwanowa**, chociaż w swojej umowności ociera się ona o abstrakcję.

Rolę Makbeta powierzono **J. PIETUCHOWOWI** o wyraźniejszych, jak się zdaje, predyspozycjach lirycznych niż dramatycznych, co tu jednak kojarzyło się szczęśliwie z chwiejnością postanowień bohatera. Doskonale spisywał się jako **Banko** dynamiczny **O. UŻYŃSKI**. Przewrotność charakteru **Kawdora** przedstawił sprężysty w ruchach i sugestywny w geście **J. WASILKOW**. Z dużą precyzją wykonał partie **Macduffa** **A. JEWDOKIMOW**. Wreszcie w roli króla **Dunkana** podziwialiśmy niezwykle wysokiego i smukłego, zarazem bardzo sprawnego **I. SOŁOWIOWA** (o aparycji przypominającej jako żywo M. Bojarczikową).

W kobiecych rolach wiodła rej odznaczająca się płynnością ruchów **A. LINNIK** jako **Hekate**. Bez wątpienia **M. KURSZNIKOWA** jest świetną tancerką, ale jako **Lady Makbet** nie odegrała dość przekonująco swojej złowieszczej roli, choć, z woli choreografa, zbyt dosłownymi ruchami popychała męża do czynu. Niezapomniane wrażenie sprawiło w II akcie wielkie pas de deux obojga małżonków, skazanych już wyłącznie na swoją wzajemność i wsparcie. Jako **Lady Macduff** ujmującą postać stworzyła w tańcu z mężem i synem **Z. ULITINA**.

Muzyka Sz. Kałłosza o silnym ładunku dramatycznym i dużej zmienności nastroju nie zawsze chyba pulsowała rytmem zapewniającym dostateczne wsparcie tancerzom.

„Makbet" Bojarczikowa jest ogromnie interesującą prezentacją nowych prądów radzieckiej choreografii.

JERZY KWIECIŃSKI

Formuła I bez Grand Prix

MAREK TRUSZKOWSKI

Już od ćwierćwiecza — zawsze w maju w najstarszym mieście Polski. Zawsze ze znaczącymi zjawiskami, dokonaniami twórców: inscenizatorów, reżyserów, z artystyczną klasą aktorów. I zawsze z porażkami, nieporozumieniami, często — z niedociągnięciami organizacyjnymi. Listę tak jednych, jak i drugich można mnożyć, ale przecież to one właśnie w sumie składają się na imprezę niepowtarzalną: KALISKIE SPOTKANIA TEATRALNE.

Ciągłości KST nie przerwał nawet stan wojenny 1982 r., a wspominam o tym nie po to, by podkreślić, iż naonczas po raz pierwszy i jedyny Wielką Nagrodę zdobył teatr gospodarzy, im. W. Bogusławskiego, ale po to, by wskazać, że nawet podziały, obrazy, manifestacyjne odejścia nie spowodowały znaczącego spadku zainteresowania festiwalem wśród „branży".

Dwadzieścia pięć lat w powojennym czterdziestoleciu to okres zbyt ważki, by skwitować go tylko tą dygresją dotyczącą w dodatku jedynie kilkulecia. Dokonania, wielkie indywidualności minionych festiwali, odkrycia artystyczne i sławnie brzmiące nazwiska aktorów wymienia jubileuszowa, opasła monografia, liczne okolicznościowe publikacje.

FORMUŁA. REGULAMINY. JURY

Pierwsze i drugie stało się tegorocznego maja w Kaliszu — publiczne. Formułę jak dotąd zmieniano z roku na rok, często obywano się bez niej lub koncypowano „przegląd najlepszych inscenizacji sezonu". Opowiadano o teatrze „młodych — poszukujących", klasyki, teatrze humanistycznym (?), reżyserów, szukano profilu na siłę albo wyłaniał się on post factum. Nie pozostawały bez wpływu na meandrowanie festiwalu meandry i zakręty najnowszej historii ani upodobania szybko zmieniających się decydentów. Wreszcie — wrócono do źródeł.

Po pierwsze: sponsorzy (czytaj: finansiści) uznali za swą rolę administracyjną i kwestie tak organizacyjne, jak i artystyczne zostawili w najbardziej kompetentnych rękach gospodarzy — Teatru im. W. Bogusławskiego. Efekty pierwsze, zwłaszcza w porównaniu z bałaganem kilku ostatnich imprez, in plus przeszły oczekiwania. A gospodarz sprokurował tezy programowe, mające — nareszcie!!! — obowiązywać i w przyszłości, w których czytamy te oto słowa: *„aktor jest sensem teatru, jest osierdziem* (? — przyp. M.T.), *w którym kryje się istota sztuki teatralnej... kaliska scena (...) poczuwa się do obowiązku pielęgnowania i rozwijania sztuki aktorskiej... KST poświęcone zostają sztuce aktorskiej, jej pielęgnowaniu, doskonaleniu wewnętrznemu, wzrastaniu moralnemu..., nadrzędnej idei podlegają kryteria związane z doborem, prezentacją i oceną przedstawień biorących udział w konkursie... biorą udział przedstawienia wybitne; ich dobór nie będzie uzależniony od wymogów repertuarowych, gatunkowych i stylistycznych...".*

Sytuowanie XXV KST jako Festiwalu Sztuki Aktorskiej kryło jednak pewne niebezpieczeństwa: czy wymogowi temu sprostają sceny mniejsze, by nie powiedzieć: prowincjonalne. Takowych podobno już nie ma, ale prowincjonalizm w tym przypadku rozumieć należy jako różnicę w sensie artystycznym dzielące teatry „o których głośno" od tych „o których cicho". Mówiąc dosadnie: czy scena gospodarzy sprosta w bezpośredniej konfrontacji tuzom z Teatru Starego, a Teatr Śląski z Katowic — Teatrowi Narodowemu? Decyduje wszak nie repertuar, nie reżyseria, a warsztat aktorski, wielorakość i umiejętność stosowania najróżniejszych środków wyrazu. Tymczasem jakim potencjałem aktorskim dysponują poszczególne sceny, każdy wie...

I pod tym względem tegoroczne KST stanowiły zaskoczenie. O ile bowiem potwierdziły obawy odnośnie zespołu kaliskiego czy katowickiego, to także „pod kreską" usytuowały takie zespoły jak: Teatru Dramatycznego i Narodowego z Warszawy, Teatru Nowego z Poznania (czyżby wypadek przy pracy?) i poniekąd także łódzki Teatr im. S. Jaracza. Poniekąd, bowiem aktorskie rodzynki nie stanowiły bynajmniej o pełnym smaku ciasta podawanego widzom z festiwalowej sceny. Ale o tym — niżej.

Po raz pierwszy opublikowano także regulamin nagród, co w końcowym obrachunku narobiło zresztą złej krwi. Był on mniej więcej taki: nieobligatoryjne Grand Prix, trzy główne nagrody za kreacje aktorskie, „specjalistyczne" nagrody aktorskie, nagrody specjalne (krytyki, publiczności etc.) i tzw. nagrody fakultatywne (np. za reżyserię, scenografię itp.). Praktyka wywróciła ten regulamin. Ktoś uznał, że Grand Prix jest niepodzielne i najwybitniejsi aktorzy XXV KST: Jerzy Stuhr i Jerzy Radziwiłłowicz otrzymali... nagrody główne. Aktorskie z kolei przyznano „na zasadzie szufli", tzn. każdemu, kto wybijał się z ogólnie szarego tła. Było ich aż siedem, a przynajmniej wobec trzech można żywić poważne obiekcje. Nagrody specjalne natomiast „za kultywowanie tradycji aktorskich" przyznano Ryszardzie Hanin z Teatru Dramatycznego z Warszawy i Kazimierze Starzyckiej-Kubalskiej ze sceny gospodarzy. Nic nie ujmując wyróżnionym stwierdzić wypada, że tym sposobem nagrodzono sceny, które na inne honory liczyć nie mogły, a nie dać im niczego wręcz nie wypadało: gospodarzy i gości „aż z Warszawy". „Fakultatywnych" nie przyznano także, i mało brakowało, aby twórca najwybitniejszego spektaklu, adaptator (twórczy!), inscenizator i reżyser Andrzej Wajda („Zbrodnia i kara" F. Dostojewskiego w Teatrze Starym w Krakowie) nie otrzymał n i c za dokonanie w skali — nie waham się użyć tego słowa — światowej. Jego inscenizacji „Zbrodni i kary" nie dogoni nawet sławna „Sprawa Dantona" w warszawskim Teatrze Współczesnym przed laty, ani poprzednie części „tryptyku z Dostojewskiego". Na szczęście zreflektowali się dziennikarze akredytowani przy festiwalu i — że uchylę rąbka tajemnicy — po niespełna dwugodzinnej dyskusji wynikłej ze względów formalnych uznali, iż formuła festiwalu sztuki aktorskiej ich nie obliguje, a obok tego porażającego dokonania artystycznego obojętnie przejść nie sposób. Żeby rozwiać mogące się zrodzić plotki-wątpliwości przy przyznawaniu nagrody żurnalistów Wajdzie, spowodowane były li tylko tezami programowymi festiwalu. A poza tym: czy bez twórczego wkładu Wajdy mogliby tak w pełni zaistnieć Stuhr i Radziwiłłowicz?

Takie, a nie inne werdykty wyjaśnia w jakiś sposób skład jury. Aby obejść się bez nazwisk podam, iż w jego ośmioosobowym składzie było p i ę c i o r o dziennikarzy, jeden urzędnik oraz dwaj kompetentni łodzianie: prof. Stanisław Kaszyński z UŁ i doc. Waldemar Wilhelm z PWSFTviT. A że funkcje pełnione w przeszłości mieszają się z obecnymi, można zaznaczyć, iż wymieniony skład obejmował dwóch byłych dyrektorów kaliskiego teatru. Natomiast a n i j e d n e g o a k t o r a, ani jednego scenicznego (obecnie) praktyka. Zapyta ktoś: czy to słuszne, żeby aktor oceniał swych kolegów, i tak zrodzi się kolejna wątpliwość. Aliści mamy w kraju aktorów, których autorytet artystyczny i l u d z k i jest poza wszelką krytyką. I taka jest na ową wątpliwość odpowiedź.

PROPOZYCJE — IMPREZY — SESJA

Pierwszych i drugich: mrowie. Obok dziewięciu teatrów z Kalisza, Warszawy, Krakowa, Katowic, Poznania, Łodzi i Gdańska z takąż ilością spektakli konkursowych, pięć spektakli prezentowanych poza konkursem. Wśród nich dwa wybitne sztuką aktorską właśnie: Jana Peszka ze Sceny Miniatura Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie ze „Scenariuszem dla nie istniejącego, ale możliwego aktora instrumentalnego", Bogusława Schaeffera i Stanisławy Celińskiej z Teatru Nowego w Warszawie z „De Profundis" — czyli „Pieśniami" J. Kochanowskiego i „Księgą Hioba" w przekł. Cz. Miłosza. Kilka monodra...ów, o nierównym poziomie, z bardzo już schałturzonymi „Psalmami Dawida" w wykonaniu Olgierda Łukaszewicza. Trzy wystawy, w tym przygotowana przez Teatr Nowy w Warszawie „Witkacy" — w setną rocznicę urodzin S. I. Witkiewicza. Z tego mrowia imprez we wdzięcznej pamięci bywalców, żurnalistów i obecnych akurat w Kaliszu artystów najgłębiej zapisała się nie tyle towarzysząca, ale wręcz towarzyska „noc św. Stanisława", czyli obchody imienin kilku solenizantów w przemianowanej na czas festiwalu na „klub teatralny" jedynej w wojewódzkim Kaliszu restauracji z dancingiem. Z atrakcji brakowało jedynie dancingu właśnie. I szampana.

Przez trzy dni (4—6.V.) w miejscowym empiku odbywała się także sesja poświęcona problemom aktorstwa polskiego. Rzecz całkiem nowa, choć organizacyjnie jakby niepełna. Zespoły teatralne przyjeżdżały i odjeżdżały, nocujące w Kaliszu preferowały „klub teatralny", co nie sprzyjało porannej jasności myśli, tak więc stałe grono obserwatorów, uczestników i dyskutantów składało się z tych „co musieli", kilku dziennikarzy, kilku teoretyków, i przypadkowo dochodzących najbardziej zainteresowanych — aktorów. Mimo to sesja swój sens pożyteczny potwierdziła unaoczniając potrzebę dialogu „sami ze sobą o swoich sprawach". Okazuje się, że problemów nurtujących środowisko aktorskie jest cała masa, i nie tyczą one bynajmniej „prowincjonalizmu", kwestii bytowych, układów itp. Wręcz przeciwnie — wiele mówiono o kwestiach jak najbardziej warsztatowych, językowych, doskonalenia. Potrzeba dialogu i dyskusji stała się więc oczywista, a że sesja jako całość z braku konkretnych wniosków końcowych (przy mnogości poruszanych wątków) pozostawiła uczucie niedosytu, sądzić należy, że organizatorzy uczynią wszystko, aby je zniwelować i wydadzą materiały z niej — choćby w formie subskrypcji.

Na sesji po raz drugi dobitnie zaistniała jedna z indywidualności festiwalu: Jan Peszek. Jego wystąpienie było tyleż merytoryczne, co szalenie aktorskie. Poprzednio zaimponował we wspomnianym wyżej „Scenariuszu...". Na własne życzenie — zdejmując innym kłopot z głowy — uczynił ów spektakl pozakonkursowym, jako nagrodzony uprzednio w Szczecinie. Kolejna wątpliwość — skoro Kalisz ma być miejscem festiwalu aktorskiego, to czy mogą brać udział w konkursie wybitne spektakle teatru jednego aktora, czy nie będzie to dublowanie imprez już istniejących...? Ale wracając do Peszka: otrzymał nagrodę, ale za najgorsze ze swoich „trzech zaistnień", rolę A. Gillera w „Wysockim". Drugą wielką indywidualnością — choć nieobecną — był Andrzej Wajda.

WYGRANI

Jest całkowicie Wajdy zasługą zabranie do Krakowa całej puli głównych nagród, choć forma „grand prix" zwłaszcza w odniesieniu do formuły pierwszej, aktorskiej — byłaby na pewno odpowiedniejsza. Patrząc na „Zbrodnię i karę" Dostojewskiego — Wajdy miało się nieodparte wrażenie, że jest to utwór napisany specjalnie na scenę. Sam Wajda powiedział kiedyś tak (cytuję za programem): *„tworzenie w teatrze jest dla mnie nieustającym zmaganiem się między tekstem a samoistnym życiem utworu, jakim jest widowisko. Aktorzy, ich możliwości i rozwój postaci, które proponują, każą wchłonąć z utworu literackiego to, co sprawdza się w trakcie prób, ażeby utwór żył dalej swoim własnym życiem".* Nic dodać, nic ująć w odniesieniu do tego mało znanego w Polsce spektaklu. (W Kaliszu na dwóch przedstawieniach przy szczelnie nabitej sali obejrzało je zaledwie około 250 osób. (Ale wynika to z wymogów inscenizacji). Z tą wypowiedzią twórcy kontrapunktuje w pełni rewelacyjna gra pary Stuhr-Radziwiłłowicz. Niby możliwości ich były znane, niby wiadomo, czego się po artystach tej miary spodziewać, ale w Kaliszu ich koncert zaskoczył wszystkich poza tymi, którzy spektakl już widzieli. Radziwiłłowicz z początku drażni swą „mową siekaną", dobitną. Z czasem widać, że ów sposób mówienia jest jednorodny u człowieka pełnego wewnętrznego żaru, rozterek świadomego tego, co uczynił i z jakich racji, a jednocześnie rozliczającego się sam ze sobą wobec nie całkiem szczerych pobudek, pokornego wobec mistyki — a z drugiej strony piekielnie skoncentrowanego myślowo, baczącego by nie powiedzieć nic ponad to, co może w obliczu groźnego przeciwnika jakim jest sędzia śledczy Porfiry Pietrowicz, nic ponad to, co w danej sytuacji jest mu potrzebne. Z drugiej strony Stuhr już nie z magazynem, ale z arsenałem środków aktorskich, to prawnik myśliciel, to filozof i psycholog, to brat-łata, po to, by za moment przeistoczyć się w szczwanego sędziego, przekonanego o winie, ale nie dysponującego dowodami, to mały cwaniaczek opowiadający o „wczorajszej bibie" i sypiący cwiszenrufami, to podstępny lis, ale w końcu — o jakże ludzkich odruchach, choć też okrutny wobec przewidywanej nieuchronności swego zwycięstwa i niemożności umknięcia ofiary. Spektakl ten katuje intelektualnie myślącego widza, a gra wspomnianej pary — poraża. Wielki spektakl, godzien grania przez lata, aby jak największe rzesze mogły go obejrzeć, także dla wynikających zeń treści.

„Wiśniowy sad" Czechowa wyreżyserował w Gdańsku ubiegłoroczny laureat KST, Krzysztof Babicki. Dodać trzeba od razu, że nie należy ten spektakl do jego najlepszych przedstawień. Ma dwie zalety — dobre aktorstwo bardzo wyrównanego zespołu i trochę jakby odmienne od przyjętego na polskich scenach odczytywanie Czechowa. Więcej tu nostalgii za stoją ą w obliczu degradacji szlachtą, rzewności wobec „dawnych, dobrych czasów", więcej smutku, wobec „powszechnej niemożności" inteligencji. Dobre aktorstwo, równe ale zróżnicowane wobec głoszonych treści, to silny atut spektaklu. Nagrody dla prowadzących niejako przedstawienie (grane w Kaliszu niespełna tydzień po gdańskiej premierze) Henryka Bisty (Łopachin) i Haliny Winiarskiej (Raniewska), za rolę drugoplanową dla Stanisława Dąbrowskiego (Firs) i dla młodego aktora dla Jarosława Tyrańskiego (Trofimow) są w pełni zgodne z odczuciami widzów i obserwatorów. Można by się zastanawiać czy „dla młodego" nie powinien otrzymać Tomasz Budyta z Teatru Narodowego w Warszawie (Sigismundo w „Życie jest snem" Calderona) miast nagrody aktorskiej, ale cieszy, że obaj ci młodzi artyści zostali dostrzeżeni na festiwalowej scenie.

PRZEGRANI

Tych było więcej niż wygranych. Przede wszystkim mający wierną w Kaliszu publiczność i olbrzymi kredyt artystycznego zaufania poznański Teatr Nowy. Przywiózł na festiwal „Matkę" Witkacego, w reż. Marcela Kochańczyka i z parą wyśmienitych aktorów: Sławą Kwaśniewską i Michałem Grudzińskim. Niestety, Marcel Kochańczyk, ongiś młody — zdolny, nawet bardzo, obecnie staje się już tylko młodym — modnym. „Matka" grana była bez tempa i koniecznej sardonicznej swady, aktorzy się do tego dostroili — w sumie wiało nudą. Z przecieków pozaartystycznych jak i obserwacji własnych, tudzież rozmów z członkami poznańskiego zespołu można było wywnioskować, że źle się w nim dzieje, wkrada się jakoweś rozprzężenie. Plotkarze twierdzili co prawda, że trudno, aby „Matka" wywiozła z Kalisza jakowąś nagrodę, skoro w jury zasiadali dwaj byli dyrektorzy kaliskiego teatru, którzy objęli go właśnie po szefowej Nowego, Izabelii Cywińskiej, i nigdy nie zbliży' się do poziomu, jaki reprezentowała ta scena za jej kadencji. Ale sądzę, że te pomówienia należy między bajki włożyć, nie tracąc jednak z pola widzenia faktu, że coś pękło w poznańskim zespole po latach pełnych sukcesów krajowych i zagranicznych. Może to zresztą tylko chwilowa obniżka formy, z którą trafiono akurat na kaliski festiwal?

Inni przegrani to — tu zaskoczenie — oba teatry warszawskie. Dramatyczny pokazał „Dobranoc, mamo" Marshy Norman w zaledwie poprawnej reżyserii Romany Próchnickiej, która zresztą nie miała wiele do zrobienia w jednym wnętrzu z dwoma aktorkami. Aktorkami tej miary, co Ryszarda Hanin i Ewa Decówna. W dodatku stresy nękające kobiety w Stanach Zjednoczonych są tak obce naszej kulturze, realiom, doświadczeniom, konstrukcje psychologiczne tak niewiarygodne, że nikogo nie mogą zainteresować. Ryszarda Hanin zagrała, co miała do zagrania, nawet wyposażyła postać matki w za wiele ciepła, co miało zapewne zyskać dla niej sympatię — ale nic ponadto. Po prostu nie o to chodzi.

Kompletnie natomiast „wywalił się" Teatr Narodowy ze sztuką Calderona w reżyserii Krystyny Skuszanki. Współczuć należy zespołowi pozbawionemu przez zły los macierzystej sceny, ale zazdrościć należy publiczności warszawskiej przez ten sam los pozbawionej możliwości (?) oglądania owego artystycznego niewypału. Zespół naszpikowany znanymi nazwiskami nie pokazuje ciekawej sztuki aktorskiej, bo i w tych warunkach nie za bardzo może. Jego poniektóre wysiłki skutecznie niweczy J'zef Skwark grając postać nie z tej sztuki, i jedynie młody Tomasz Budyta uzewnętrzniając rozdarcie między jawą a snem, złem i dobrem, wątpliwościami a pewnością, zasługuje na uwagę. Na całość natomiast spuścić należy litościwą zasłonę milczenia.

Warszawa przegrała więc z kretesem, rzecz nienowa na kaliskim festiwalu, szczególnie gdy przestał przyjeżdżać Zygmunt Hübner z Teatrem Powszechnym. Przegrała głównie z Gdańskiem i Krakowem. Bo do listy ciekawszych spektakli dopisać należy też „Wysockiego" W. Zawistowskiego w reżyserii T. Nyczka, w wykonaniu zespołu Teatru im. J. Słowackiego.

TŁO

Wszystkie inne spektakle niestety doń należały. I choć nikt cudów nie spodziewał się po teatrze gospodarzy, licznie przybyła na jedyny spektakl „Amadeusza" w wykonaniu Teatru Śląskiego publiczność odczuła spory zawód. Znów za sprawą aktorów, których sztuka Petera Shafera wymaga przede wszystkim. Nie pomogła rutynowana ręka reżysera Jana Maciejowskiego, gdy niektórzy z członków zespołu zmagali się i z tekstem, i ze źle dopasowaną sztuczną szczęką. Oczekiwania wzmagał fakt prezentowania tej inscenizacji w Teatrze Rzeczypospolitej, co po obejrzeniu spektaklu konkursowego nieco dziwi. Rozmach, kostiumy, ściśle współgrające ze scenografią i dobre światło nic tu nie pomogły. Na plus od miernoty i taniego grepsiarstwa odbijał jedynie Adam Baumann (Salieri), który robił co mógł, nawet wbrew obciągającemu go „w dół" wesołkowatemu i — co tu ukrywać — mimo scenicznej jurności, mocno scenicznie pedałowatemu Mozartowi (nazwisko aktora zmilczę litościwie).

I nie dziwiłbym się, gdyby Baumann otrzymał nagrodę aktorską miast, dajmy na to, Bogusława Sochnackiego (ach, ci łodzianie w jury!). Ma ten aktor niezłe tradycje dokonań na festiwalowej scenie, ale tym razem był — proszę wybaczyć określenie — zbyt za bardzo aktorsko — nachalny. Choć bardzo kulturalnie spreparowany przez Bogdana Hussakowskiego, klasyczny melodramat „Adrianna Lecouvreur" Scribe'a i Legouvego był przykładem rzetelnej teatralnej roboty, również stanowił tylko tło dla „forszpicy" jubileuszowej imprezy. Z drugiej strony — gdyby był prowadzony plebiscyt publiczności, niewątpliwie „Adrianna" wygrałaby w cuglach. Rzewniej nastawiona część publiczności porównywała ją z osławioną „Niewolnicą Isaurą", choć wątpię, czy stanowi to komplement. Plebiscytu takowego jednak nie prowadzono, bo np. spektakl Wajdy obejrzało 250 widzów, a łódzki — cztery razy więcej, więc wynik niczego by nie odzwierciedlał. Zapotrzebowanie na melodramat jest obecnie tak wielkie, że łódzki spektakl grany był przy nadkompletach, co pozwoliło jaśniej zabłysnąć Bożenie Rogalskiej w roli tytułowej. Pomoc „łodzian w jury" nie była bynajmniej B. Rogalskiej potrzebna, choć wątpię, aby całemu spektaklowi potrzebna była w ogóle. Z „tła", jaki stanowiły na festiwalu niektóre sceny, Teatr im. Jaracza wybijał się zdecydowanie in plus.

PODSUMOWANIE

Wcale nie tak trudne w odniesieniu do jubileuszowej imprezy. Przynajmniej w sensie założeń, jakie jej przyświecały. Jeżeli w gronie dziewięciu spektakli jeden jest wybitny, drugi dobry, a dwa więcej niż poprawne (mowa o „Adriannie" i „Wysockim") — to impreza jest już udana, Gdy jeszcze w pozostałych da się wyłowić jakieś aktorskie „rodzynki" (T. Budyta) — można mówić o sporym sukcesie festiwalu.

To pod względem aktorskim. Treściowa ocena nie wypadnie jednak już tak jednoznacznie. Jedna pozycja stricte współczesna („Dobranoc"), dwie napisane niedawno, ale osadzone w wieku XVIII i XIX, plus klasyka (Dostojewski, Czechow, Calderon, z zaliczeniem tutaj i Witkacego) — ot, i cały obraz. Odrzucając amerykańskie psychiczne dla Polaków nieprawdopodobieństwa, wychodzi na to, że wiele obejrzeć nowego w Kaliszu nie można było. Ale — „Wysocki", „Zbrodnia i kara", „Amadeusz", sztuki Czechowa dotykają spraw najżywiej człowieka obchodzących. Poza uniwersalnymi pierwiastkami „ludzkimi", jakie niesie przecież każda sztuka, nie tylko teatralna — o współczesności zgoła nic. Tylko — czy jeden festiwal, choćby jubileuszowy, ponadto formułą „festiwalu sztuki aktorskiej" determinujący niejako kąt doboru repertuaru, ma tu być reprezentatywny dla czasu dzisiejszego? I, w tym kontekście — po co?

Generalnie biorąc obraz aktorstwa a.d. 1985 na przykładzie kaliskiego festiwalu, z uwzględnieniem imprez i spektakli towarzyszących (poza Celińską i Peszkiem) jawi się dość smutny i ponury. Wybitności mało, średnio dobrego poziomu więcej, najwięcej zaś średnio złego i złego całkiem. Stąd jeszcze bardziej potrzeba takich konwentykli, jak kaliska sesja o problemach aktorstwa polskiego. Tylko, na Melpomenę, oby coś z niej wynikło!

Piknik pod wieżowcem

ROMAN KUBIAK

Zdjęcia: GRZEGORZ GAŁASIŃSKI

Jejku, rety, co się dzieje, pod wieżowcem lud szaleje.
To w Centrum Prasowym chyba coś się pali,
bo od Sienkiewicza ogromny tłum wali.
Jużem sobie myślał, żem przepadł z kretesem,
A to tylko dziecko Cepelii z Expressem.
Ludziska gadają, że bez te atomy,
zamiast co poczytać, Cepeliadę mamy.

Graj gracyku i wypuszczaj czad
z aparatury co ma tysiąc wat.
Chorych nie uleczy, zdrowym nie zaszkodzi,
bo to jest oberek cepeliowskiej Łodzi.

A w Śródmieściu dzisiaj jest zabawa,
pełno gości i muzyczka klawa.
Są tu wycinanki, świątki malowane,
wata na patyku, balony dmuchane.
Makatki z jeleniem, wierzbowe fujarki,
pierzaste koguciki, blaszane zegarki.
Na gumce piłeczki, koniki bujane,
zielone ludziki, skrzynki wypalane.
Jest pikna ciupaga caluśka ze złota,
z wyrytym napisem: „Pamiątka z Sopota".
Marynarskie kierpce, góralskie kotwice,
kaszubskie oscypki, strażackie spódnice.
Można zrobić fotkę — osioł ciągnie wózek,
na osiołku małpka o imieniu Józek.
Jak masz farta losuj — loteria fantowa,
do wygrania kredens albo dojna krowa.
Kupujta trepy i gacie parciane,
słomiane worki, łychy wystrugane.
Hej, w naszych sklepach tyle nowości,
że człek się może obwiesić z radości.

Graj gracyku i wypuszczaj czad
z aparatury co ma tysiąc wat.
Chorych nie uleczy, zdrowym nie zaszkodzi,
bo to jest oberek cepeliowskiej Łodzi.

Jeszcze mała chwilka, czapki proszę z głowy,
za moment podjadą artyści ludowi.
Będzie spec od garnków, będą i firanki,
niestrudzona babcia i jej wycinanki.

— Ładne macie babciu wycinanki, tylko dlaczego one wszystkie są jednakowe?

— A bo mi się druga matrycka stępiła i oddałam ją do przeszlifowania. Jak mi przyślą dobrą stal, co ją w „Pewexie" zamówiłam, to będę robiła cztery rodzaje wycinanek: dwie kurpiowskie, łowicką i opoczyńską.

— Dużo możecie babciu zrobić tych wycinanek?

— Ano sporo, ino że wszystko zależy od praski. Teraz mam ręczną, ale potrzebuję hydrauliczną o nacisku trzy tony, to zrobię po czterdzieści tysięcy każdego wzoru na kraj i drugie tyle za granicę.

— Ale pewnie czasu nie będziecie mieli babciu, bo idzie lato i robota w polu?

— E tam, u mnie sezon cały rok, bo wszystko mam pod szkłem. Najmie się robotników i już. Ja nie mam zdrowia do tego, ja jestem artystka ludowa.

— Babciu, a obrodzi latoś?

— Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej informuje, że tegoroczne lato powinno sprzyjać uprawom okopowym. Ale wszystko zależy od nawożenia saletrzakiem.

— Dziękuję, do zobaczenia na festynie ludowym w Krakowie.

A oto serial: „Wieś śpiewa i tańczy",
przyjechali do Łodzi słynni muzykanci.
Jest Felek Majdania, znany bandżolista,
Antek Bałabania, znany harmonista,
Adam złotowłosy, co wciąż głupstwa plecie,
Gucio Kindzior łysy, co gra na klarnecie.
Cała ta kapela wnet się dostroiła
i na poczekaniu poleczkę ucieła.
O tej dziewczynie, co tak grać lubiła,
że przy skrzypeczkach gąski pogubiła.

O łęczyckich chłopach, jak parowe młyny,
co latają od jednej do drugiej dziewczyny.
Ta ładna, ta zgrabna, a ta z pieniążkami,
ta jeszcze ładniejsza, bo ta z hektarami.
O Wojtku, co na jarmark przyjechał do Łodzi
I zobaczył tramwaj, co bez kunia chodzi.
I o tym, żeby nie bić baby swojej pasem,
bo się jeszcze przyda pod pierzyną czasem.
Graj gracyku, będziesz w niebie,
a skrzypeczki koło ciebie.
Bębenisty tam nie trzeba,
bo wygoni wszystkich z nieba.

Graj gracyku i wypuszczaj czad
z aparatury co ma tysiąc wat.
Chorych nie uleczy, zdrowym nie zaszkodzi,
bo to jest oberek cepeliowskiej Łodzi.

Harmonista rżnie sztajerka, forsa już na kupce.
Na estradzie zespół Kurpie wycina hołubce.
Nie rycz mała — gra kapela
jeszcze nie z nim te numery
Trza poczekać — minie kopa,
to się ogier zrobi z chłopa.
Oj dana, dana, Cepelio kochana...

— Gospodarzu, zaśpiewajcie jeszcze coś.

— Odwal się pan, nie jestem gospodarzem, tylko inżynierem elektronikiem na etacie muzykanta w zespole ludowym.

— Rozumiem, folklor tak pana zauroczył, że zrezygnował pan z kariery zawodowej?

— Co pan wygaduje — życia pan nie zna? Kto zaprosi do siebie byle inżyniera elektronika? A chłopa w gumiakach zaproszą nawet do Ameryki i jeszcze nieźle zapłacą.

— Jaki region pan reprezentuje?

— Teraz łęczycki, ale w juniorach grałem na Warmii. Mam podpisany kontrakt na trzy lata. Chcą mnie podkupić do „Mazowsza" i do „Śląska". Wszystko zależeć będzie od wysokości transferów.

— A jak wygląda u was szkolenie młodzieży?

— Znakomicie. Mamy zespół młodzików grających na kołatkach, juniorów młodszych, a ostatnio przeszli do nas dwaj seniorzy z punkowych kapel „Wielka Zagłada" i „Korupcja". U nas bardziej im się opłaca.

— Kto wam szyje te barwne stroje?

— Na zamówienie szyje nam firma „Adidas".

Na to wszystko zza bufetu kątem oka zerka
W stroju słupsko-podhalańskim prześliczna kelnerka.
A w bufecie smakołyki, że paluchy lizać.
Jest kaszanka, pasztetowa i zwyczajna kicha,
okowita, jasne piwko i słodka zagrycha.
Głodnym tu podadzą wypiek nader swojski
znany jako hot dog lub kołacz opolski.
Mieszczuchom spragnionym wleją na ochłodę
stary chłopski napój: pepsi-colę z lodem.
Chojeński walczyk kapela gra,
Widzewskie tango w zapasie ma.
Żubardzki mazur wyciska łzy,
kujawiak z Bałut też pięknie brzmi.
Tańczą chłopaki, galante zuchy
lubią wódeczkę, no i dziewuchy.
Tańczy Krakowiak z pawim piórem
i ruda Mańka czesana w górę
A garncarz z ciężkim pugilaresem
odjeżdża srebrnym mercedesem.

Graj gracyku i wypuszczaj czad
z aparatury co ma tysiąc wat.
Chorych nie uleczy, zdrowym nie zaszkodzi
bo to jest oberek cepeliowskiej Łodzi...

Polemiki • Listy • Opinie

„M" DLA CÓRECZKI

Nawiązując do artykułu zamieszczonego w tygodniku społeczno-kulturalnym „Odgłosy" nr 19 z 1985-05-11 pt. „M dla córeczki", Edwarda Bryla, Zarząd Spółdzielni Mieszkaniowej „Zarzew" nie polemizując tak z formą artykułu, jak i jego zasadnością, gdyż w chwili obecnej sprawa przydziału mieszkania Ob. Jolancie L. rozpatrywana jest według kompetencji przez Sąd Wojewódzki w Łodzi, pragnie jedynie zwrócić uwagę na kilka błędnych informacji w nim zawartych.

1) W przedmiotowym artykule zamieszcza się cytaty wyjęte z kontekstu dokumentów co zmienia zasadniczo ich znaczenie.

2) Spółdzielnia Mieszkaniowa „Zarzew" jest Spółdzielnią o charakterze eksploatacyjnym, a tym samym realizuje jedynie zamiany mieszkań zgodnie z opracowywanym i zatwierdzonym przez organa samorządowe planem zamian. Zamiany mieszkań dotyczą tych członków Spółdzielni, którzy zamieszkują w naszych zasobach i ubiegają się o poprawę dotychczasowych warunków mieszkaniowych, głównie przydziału mieszkań w nowym budownictwie.

3) Spółdzielnia Mieszkaniowa „Zarzew" nie posiadała i nie posiada członków oczekujących na przydział lokalu spółdzielczego. Kandydatów do zasiedlenia zwalnianych lokali w naszych zasobach kieruje Spółdzielcze Biuro Mieszkaniowe Wojewódzkiej Spółdzielni.

4) Lokal przydzielony Ob. Jolancie L. jest lokalem o niskim standardzie i niepełnym rozkładzie o powierzchni użytkowej 53,91 m kw., co odpowiada obecnej strukturze M-3.

5) Odnowienie lokalu zakończono na dzień 23 listopada 1983 r. (bez malowania, które zobowiązał się wykonać nowy użytkownik we własnym zakresie). Zgodnie z paragrafem 54 ust. 1 Regulaminu w sprawie zasad rozliczania kosztów gospodarki zasobami mieszkaniowymi oraz ustalania opłat za używanie lokali, kosztami odnowienia zwalnianych lokali obciąża się w każdym przypadku poprzedniego użytkownika, a więc roboty te nie obciążają kosztów Spółdzielni.

6) Ojciec Ob. Jolanty L. zajmuje lokal spółdzielczy, nierozkładowy o powierzchni użytkowej 53,91 m kw. odpowiadający obecnej strukturze M-3.

Przedstawiając powyższe uważamy, że pozwolą one właściwie ocenić tryb postępowania Spółdzielni w niniejszej sprawie.

ZARZĄD SPÓŁDZIELNI MIESZKANIOWEJ „ZARZEW"

KAŻDY MA PRAWO DO OBRONY

Wysoko cenię publikację Edwarda Bryla, pełne głębokiego zaangażowania i autentycznej pasji w obnażaniu i piętnowaniu różnego rodzaju „wrzodów" i innego zła, wyrastających na naszym społecznym organizmie. Nie rozumiem jednakże, dlaczego pisząc o sprawach, które swój epilog znajdują w sądzie, pisze z ironią i sarkazmem o adwokatach — pełnomocnikach osób zasiadających na ławie sądowej?

Oczywistym jest, że sprawca czynów niegodziwych, naruszających prawo, łamiących zasady współżycia społecznego w socjalistycznym państwie, budzi niechęć, sprzeciw, czasem odrazę. Normalne także jest, że budzi sprzeciw wyrok sądowy sprzeczny ze społecznym poczuciem sprawiedliwości.

Nie może jednak budzić sprzeciwu fakt, że jednostka stająca przed sądem korzysta z pomocy obrońcy — ten zaś, że broni swojego klienta, w sposób, jaki uważa za najwłaściwszy, czy możliwy. Taka jest wszak jego rola. A prawo do obrony gwarantuje każdemu obywatelowi nasze socjalistyczne prawodawstwo. Nie można oczekiwać, że obrońca, występujący w najbardziej nawet odrażającej sprawie karnej powie, że podziela stanowisko prokuratora, albo że podziela wywody aktu oskarżenia? Właśnie to stanowisko i te wywody obrońca będzie się starał obalić, wykazać wszystkie ich słabe punkty, niespójności itp. Bo taka jest rola obrońcy i nie należy się za to na niego gniewać, oburzać, czy go potępiać.

Broniąc klienta, obrońca ma prawo również analizować treść przepisu, którego naruszenie klientowi jest zarzucane. Analizy takiej obrońca oczywiście dokonuje również w interesie klienta, oskarżonego. Inaczej nie może być. Taka „analiza" w nauce prawa nazywa się wykładnią, albo interpretacją prawa, a ma ona na celu wyjaśnienie sensu normy prawnej. Wszyscy stosujący prawo, dokonują jego wykładni, a nauka wyodrębnia różne jej rodzaje. Jednym z rodzajów wykładni jest właśnie wykładnia g r a m a t y c z n a (zwana także wykładnią słowną albo językową), polegająca na wyjaśnianiu sensu normy prawnej przez badanie znaczenia użytych w tej normie wyrazów i wzajemnej więzi między nimi. Wiadomość o tym można znaleźć w każdym — nie tylko akademickim — podręczniku, zawierającym informacje z dziedziny prawa, czy też w „Małej encyklopedii prawa", jaką przed kilku jeszcze laty można było bez trudu nabyć w każdej księgarni.

Niepotrzebnie więc Edward Bryl ironizuje w swej publikacji „M" dla córeczki" („Odgłosy" nr 19/85). Obrońca bowiem mógł — bez szkody dla „orzecznictwa i nauki" dokonywać „gramatycznej analizy (tj. interpretacji) prawa". I owszem — jako prawnik czynił to „zawodowo, w sądzie", bo tam właśnie realizuje swój zawód. Miejsce zatem było stosowne i sposób obrony też.

Proszę mi wybaczyć nieeleganckie określenie, ale wtręt dotyczący pełnomocnika Jolanty L. w pańskiej publikacji odebrałem jako „czepianie się". A to osłabiło wydźwięk całości. Być może, jest to tylko moje odczucie, ale nie sądzę.

Przekazując powyższe uwagi, pragnę równocześnie poinformować, że:

— nie jestem adwokatem, ani też nikt z mojej rodziny nie wykonuje tego zawodu,

— nie znam pani Jolanty L., ani jej ojca i są mi to ludzie zupełnie obcy,

— na procesie dotyczącym opisanej przez pana sprawy nie byłem.

PIOTR SIKORSKI

REDAKCJA — CZYTELNICY

EDWARD T. KNYPL. Oświęcim. Pisze Pan w liście do redakcji:

„Przesyłam w załączeniu tekst pt. „Pies a gramatyka polska" związany z wypowiedzią Jamnika (Odgłosy nr 18/85). Ośmielam się wyjątkowo dorzucić parę zadań komentarza, chociaż oczywiście uważam, że tekst powinien mówić sam za siebie, ponadto — Redakcja nie gęsi, i swój rozum ma, wiadomo.

— Ale — zauważyłem, że Redakcja dwukrotnie już zastosowała ochronę wobec Jamnika w moich drukowanych listach. Czas pokazuje, że to bydlę, za przeproszeniem, nie tylko nie wymaga ochrony, ale wręcz się prosi o ostrzejsze potraktowanie. Redakcja „VETO", przykładowo, musiała dosłownie się tłumaczyć, czemu nie realizuje wniosku członka Rady Konsultacyjnej dotyczącej opublikowania ostrych tekstów polemicznych — że po prostu teksty takie nie nadchodzą.

Sam mam psa i wiem, że z psami trzeba postępować twardo (choć bez brutalności!), bo jak im popuścić, to człowiekowi własną żonę z łóżka wysiudają. Jak tak dalej pójdzie — „Odgłosy" składać się mogą tylko z tekstów Jamnika i tekstów prostujących psoty, których ten piesek się dopuści

Dlatego, jeśli mi wolno, pragnę nakłonić Redakcję do „puszczenia" artykułu in extenso, ponieważ i tak sam ZNACZNIE go skróciłem. A w każdym razie, przed jego całkowitym odrzuceniem (wszak niezbadane są wyroki nie tylko boskie) — proszę o skonsultowanie decyzji z panami redaktorami Tomaszem Sasem i Andrzejem Karolem. Pierwszy zachwyca mnie niezwykłą przenikliwością umysłu, drugi „genialnym" wyczuciem językowym, a obaj mieli bliższą styczność z Jamnikiem.

W wypadku, gdyby Redakcja w ogóle zrezygnowała z drukowania „Pies a gramatyka polska" albo dopuszczała tylko wersję ZNACZNIE okrojoną (do ilu stron?) — proszę o wiadomość, ponieważ niemało trudu mnie on kosztował i nie chciałbym, aby praca poszła na marne. (Żona wyrzuciłaby mnie z łóżka i musiałbym przeprosić się z psem...).

Z poważaniem

EDWARD T. KNYPL

Załącznik: (2 egz.) tekst 2 stron plus przypisy (2 strony).

P.S. Gdyby to dla Redakcji miało jakieś znaczenie (ułatwiające pracę) proszę o informację, czy Redakcja życzy sobie, aby na nadesłanych maszynopisach zaznaczać pewne uwagi techniczno-redaktorskie, jak rodzaj wyróżnień w tekście, spacjowanie itp.

Z przykrością musimy stwierdzić, że list ten, który pan załączył do ośmiostronicowej polemiki z Jamnikiem jest znacznie ciekawszy od samej polemiki. Czas zaprzeszły jest mało dziś znany i używany. Ma pan niewątpliwie rację, że Jamnik czepia się i że przez zmianę szyku zdanie niewiele się zmienia. Ale to wszystko. Pisanie „uczonej rozprawy" o czasie zaprzeszłym na ośmiu stronach i do tego dołączenie dwu stron przypisów, to jest już mało poważne, żeby nie powiedzieć śmieszne. Jest to bez wątpienia przesada.

Nie jest natomiast prawdą, że redakcja chroni Jamnika. Nie wszystkie teksty, które on nadsyła są drukowane. Nawet na kolumnie: „Polemiki — Listy — Opinie" obowiązuje zasada kierowania się zdrowym rozsądkiem. Jeśli więc — z redaktorskiego obowiązku — coś wykreślamy, to na ogół tylko to, co jest przeciwne zdrowemu rozsądkowi oraz normalnej, ludzkiej przyzwoitości.

Każda redakcja kieruje się swoimi zasadami oraz „Prawem prasowym". Nie mamy zamiaru ingerować w wewnętrzne sprawy redakcji „Veto", ani z niej brać przykładu. Jakaś różnica między „Veto" a „Odgłosami" istnieje. I nie ma obawy, że całe „Odgłosy" zapełni swymi tekstami Jamnik.

Redakcja nie życzy sobie zaznaczania w nadsyłanych tekstach żadnych uwag techniczno-redaktorskich, gdyż jest po to, aby te teksty samodzielnie przygotowywała do druku wedle przyjętych przez nią zasad oraz zgodnie z graficzną koncepcją pisma.

A poza tym serdecznie pozdrawiamy!

KIEDY CZŁOWIEK PRACY MA SIĘ WYSPAĆ?

Jestem stałym czytelnikiem „Odgłosów" od 1980 r. I wiem, że na łamach tygodnika poruszane są sprawy, tematy i zdarzenia, o których kiedyś nikt by nawet nie pomyślał, a tym bardziej nie odważył się na ich opisanie. „Odgłosy" walczą z głupotą i egoizmem ludzkim.

Mnie leży na sercu taki problem, który wydaje mi się nie tylko moim. Śledząc zapowiedź programu telewizyjnego w prasie, stwierdzam, że na ekranie nie zgrywa się on czasowo z moim. Dochodzę do wniosku, że w wieku 30 lat nabawię się nerwicy lub co gorsza choroby wrzodowej. Mój zawód wymaga częstych wyjazdów i dzięki temu mam możliwość posłuchać opinii innych „nerwowców". Otóż doszedłem do wniosku, że TV powinna być skierowana frontem do ludzi, którzy po ciężkiej harcówce chcą odpocząć przed szklanym ekranem, by następnie po kilku godzinach snu znów udać się do pracy.

Przeciętny obywatel, zaliczony do klasy robotniczej zaczyna pracę w godzinach 4.00—6.00. Znając olbrzymie znaczenie snu, zwłaszcza dzisiaj, gdy sen z powiek spędzają nam kolejki, reglamentacja oraz złe zaopatrzenie, a także brak wzajemnej życzliwości, zastanawiam się, dlaczego takie filmy jak E. Kazana czy „Olbrzym" weszły na wizję po godz. 22.00. Serial „Z biegiem rzeki" emitowany jest po 21.00. „Zmierzch bogów" — po 22.00. Chcę się spytać fachowców od emisji, czy kiedykolwiek robili sondę wśród ludzi oglądających program telewizyjny? Jak można nadawać tak późno filmy? Emisje ich kończą się ok. godz. 24.00 lub grubo po 24.00, a ludzie chcą się do jasnej cholery wyspać.

Wniosek nasuwa się jeden — albo TV nie powinna emitować tego typu filmów, albo jeżeli tak przepełnione są oba programy, stworzyć program III i emitować je o godz. 20.00.

Nasuwa mi się mała dygresja. Żyjemy w bardzo niebezpiecznym nerwowym świecie. Ludzie pragną spokoju, miłości, zrozumienia. Niestety, nawet bajki dla dzieci — mam na myśli najnowsze pozycje książkowe — nie zawierają żadnego rozsądnego morału, który mógłby być dla nich nauką i wzorem jak odróżnić dobro od zła lub głupotę od mądrości.

Dobrze by więc było, aby telewizja naprawdę uszanowała swego odbiorcę i swoje sporadycznie ciekawe pozycje filmowe emitowała w przyzwoitych godzinach. Dobrze by też było, aby telewizja emitowała filmy, które „idą", aby były to filmy o ludziach i dla ludzi. By były to filmy z życia i o życiu, ale tym ludzkim, bez zakłamania i naciąganej propagandy — bez „lipy".

Jedynym programem którego od dawna nie opuściłem jest „Sonda". Boję się, że znajdzie się kiedyś ktoś „mądry" i przeniesie emisję tego programu na godzinę 22.00 lub 23.00, a tego mógłbym nie przeżyć!

Z poważaniem **STEFAN Z.** (Brzeziny)

(Nazwisko i adres do wiadomości redakcji)

OD REDAKCJI: Zgłoszone w liście uwagi należałoby przesłać do telewizji. Dysponuje ona biurem badania opinii i każda uwaga telewidza jest tam skrzętnie notowana. Sądzimy jednak, że uwagi naszego Czytelnika dotrą tam za pośrednictwem „Odgłosów".

Ze swej strony możemy powiedzieć, iż bardzo trudno jest wszystkim dogodzić. Jakiś czas temu telewizja powtarzała niektóre ciekawsze pozycje w innych porach, teraz nie czyni tego ze względu na oszczędności. Myślano też i o III programie, ale to chyba daleka przyszłość.

JEDEN SKLEP, A TYLE KŁOPOTU

Daje się zauważyć jakby ożywienie naszych handlowców. Sklepy branżowe PSS „Społem", WSOP wyszły z towarem na ulice i place, bliżej klienta. Kierownictwo, personel niektórych sklepów spożywczych, warzywno-owocowych potrafi zorganizować, usprawnić handel we własnym zakresie, w podległej sobie placówce. Nie czekają na dyrektywy, zarządzenia odgórne z dyrekcji. Zabiega się o klienta. To cieszy. Tak być powinno zawsze i wszędzie, ale nie jest. Drobna innowacja, ułatwiająca pracę personelu, niwelująca stresy z obu stron lady, jakoś nie jest zauważalna na peryferiach miasta, w nowych osiedlach, gdzie klient w większości przypadków jest zdany na łaskę i niełaskę personelu, kierownictwa sklepu.

Na ul. Rzgowskiej dyżurujące sklepy w wolne soboty, chcąc odciążyć personel prowadzą sprzedaż mleka na wolnym powietrzu, bezpośrednio z transporterów. Klienci są zadowoleni. Kolejki mniejsze. Personel nie potrzebuje taszczyć do wnętrza sklepów ciężkich pojemników z mlekiem.

Jakoś nie miałem okazji kupić butelki mleka w wolną sobotę przed sklepem nr 1154, bez wystawania w tasiemcowej kolejce. W sklepie są trzy stoiska i trzy wagi, a e c z y n n e jest tylko jedno stoisko, przy którym tłoczą się nieraz aż cztery ekspedientki nawzajem sobie przeszkadzając. Taki stan rzeczy trwa już dwa lata.

Pomieszczenie sklepu ciasne, zaplecze niewielkie. Tłok niesamowity o każdej porze dnia. Nie wspominając już o wolnych sobotach. Dziwne, że jakoś nikt z dyrekcji PSS „Społem" Oddział Łódź—Górna tymi sprawami nie jest zainteresowany.

Pytam kierowniczkę sklepu:

— Dlaczego nie sprzedajecie mleka na zewnątrz z transporterów, jak to robią inne sklepy?

— Dbamy o personel, wie pan, mogą się przeziębić, nie możemy sobie pozwolić na chorobowe, zastępstwa.

— Ile personelu ma pani na jedną zmianę?

— Sześć osób, wliczając mnie i pomocnika, czasami mniej.

W ubiegłą środę, 8 maja 1985 r. przeczytałem taką wywieszkę w sklepie: „Sklep w dniu 8 nieczynny. Odbiór wolnych dni za soboty". Zgoda. Ale, w wolne soboty sklep jest otwarty od godz. 7.00 do 13.00 tj. 5 godzin na jedną zmianę, a odbiór za całe dwie zmiany tj. od 6.00 do 20.00. To komplikuje zakupy. Bywało dotychczas, że sklep był czynny do godziny 13.00 w środy. Raptem nastąpiła zmiana. Ciekaw jestem, kto właściwie wpadł na taki pomysł? Nie przypuszczam, by Wydział Handlu i Usług UD Łódź—Górna.

Jakże niezwykle ciężko i trudno jest przeskoczyć tę barierę niemożności, braku operatywności, niekiedy wręcz indolencji w naszym handlu. Sprawa, którą można by załatwić od ręki bez większych środków finansowych, materiałowych, zwiększenia liczby personelu — wlecze się od samego powstania wspomnianego sklepu. Zawsze coś stoi na przeszkodzie. Najczęściej brak zdrowego rozsądku, nieco wyobraźni i chęci.

WŁADYSŁAW BISZEWSKI

CZY PRAWO JEST DOBRE NA WSZYSTKO?

I sam już nie wiem, czy jesteśmy głupi, naiwni, bezczelni czy zakłamani?

Regularnie od lat prasa codzienna i fachowa oraz inne środki masowego przekazu (oj — dostanie mi się od P.P. Karola i Sikorskiego, walczących w „Odgłosach" o czystość języka!) donoszą, że właśnie, że już — ukażą się nowe przepisy na temat: ochrony zdrowia, środowiska, budownictwa, działania administracji, rolnictwa, spółdzielczości, matki i dziecka, automobilizmu, alkoholizmu itp. itd. (niepotrzebne skreślić).

A jak się już te przepisy ukażą i przestudiujemy najpierw „Rzeczpospolitą", a potem rozchwytywane dzienniki ustaw i monitory i nauczymy się, co wolno, a co nie — to już zaraz będzie dobrze. Bo — biednieńcy my, dobrze byśmy chcieli, tylko nie wiemy jak!

A jak już będziemy wiedzieli, to jedni drugich będą od razu szanować. Usługi będą wykonywane w terminie i za półdarmo, przedsiębiorstwa i handel będą się szanowały wzajemnie (i obywateli też), będzie pełny Wersal i uczciwość. PKP będą ostrzegały, żeby nie wykupywać biletów, bo miejsca tyle, że na jedną nogę w korytarzu I klasy; co ja mówię — pierwszych klas byłoby tyle ile trzeba!

Każdy się przyzna do tego, co mu się kiedyś nawinęło pod rękę i odda cesarzowi, co cesarskie, no i tak dalej...

Długo bym tak mógł, a i każdy z czytelników pewno też.

A teraz serio. Myślę, że nikt nie zacznie ze mną polemizować zarzucając, że nie doceniam przepisów, a może i nawet sugeruję że mogłoby ich nie być. Na to się nie złapię. Przepisy lub inaczej — prawo, są potrzebne. Tylko jak wszystko — w miarę i bez zbytniego fetyszyzowania. Także — bez częstego ich zmieniania i pośpiechu w stanowieniu, bowiem pośpiech... „potrzebny jest tylko przy łapaniu pcheł". Nie taję: ta złośliwość wynika ze zdenerwowania, że z uporem maniaka traktujemy samo stanowienie przepisów jako panaceum na wszystko. No i stanowimy. A co z realizacją?

Jeszcze niedawno mieliśmy około 18 tysięcy aktów prawnych rozmaitego rzędu: od ustawy zasadniczej (Konstytucji) do tak zwanego prawa powielaczowego, które — zdawało się — było produkowane przez różnego autoramentu jednostki zwierzchnie li tylko po to, aby uzasadnić swoje istnienie i wzmóc dobre samopoczucie.

Tam to wszyscy szukali odpowiedzi na pytanie, co można i co wolno, a co nie. Prawo ma bowiem to do siebie, że nakazuje lub zakazuje i to często pod groźbą sankcji. Pytanie tylko — gdzie powinna być granica tej ingerencji i czy odpowiedzi mają dotyczyć kwestii generalnych, czy szczegółów doprowadzonych do absurdu?

Najwięksi specjaliści od uników szukali i szukają nadal dla każdego swego kroku p o d k ł a d k i, a jak jej braknie — starają się podejmować decyzje kolegialnie (gdy kogoś określenie to raz! — sprostuję: jednoosobowo, lecz po konsultacji z kim się tylko da). Inni — nie przyjmują do wiadomości przepisów tak długo, jak tylko ktoś ich za to nie ochrzani!

Czy to tylko sprawa poprzedniego formalnego stylu zarządzania, czy sprawa gorsza — bo zakorzenionych nawyków? Dlaczego nadal bywa regułą, że jeśli można podjąć decyzję na „tak" lub „nie" — najczęściej brzmi ona „nie"?. Gdyż ktoś może potem zapytać: „...a czy z tego „tak" nie miałeś jakiegoś profitu...?

Kiedy się przełamiemy? I kiedy wreszcie przestaniemy przede wszystkim kombinować jakby tu przepis obejść, nawet zanim się on jeszcze narodzi?

Jesteśmy jako społeczność swego rodzaju ewenementem. I to zakłamanym. Bo wiedząc, że sprawa społecznego podporządkowania musi być subiektywnie złem koniecznym — w żaden sposób nie chcemy się przyznać do tego, że owe nakazy i zakazy traktujemy jako osobisty afront i obrazę. Jako coś wrogiego. A z wrogiem trzeba walczyć! Więc walczymy, a że świadomie lub podświadomie zdajemy sobie sprawę z tego, że w zestawieniu z gardłowaniem i naszą oficjalną postawą coś tu nie gra — walczymy w sposób zakamuflowany. W białych rękawiczkach. Interpretując, zmieniając (jak już inaczej nie można). I gadamy, że już teraz „z punktu widzenia przepisów" wszystko będzie jak trzeba.

No właśnie. Z punktu widzenia przepisów. Bo te, w swych założeniach i koncepcjach mamy wcale niezłe. Ba — w wielu dziedzinach wzorowe. Jak stara ustawa przeciwalkoholowa, opisywana w wielu krajach jako przykład postępowego społecznie ustawodawstwa. Rzecz tylko w tym, abyśmy wszyscy choć z grubsza i bez większych awantur tym przepisom się podporządkowywali lub nie żądali (inaczej — nie uważali za konieczne) tak daleko idącego uregulowania szczegółów, że musi to być traktowane jako chęć uniknięcia jakiejkolwiek odpowiedzialności i niechęć do używania rozumu.

Gdy Sejm uchwala — to dopiero początek drogi. Zestaw najlepszych, lecz nie respektowanych przepisów nie jest przecież niczym innym, jak stertą papieru.

WITOLD AFELT

SPROSTOWANIE

W drugim akapicie artykułu „Historyczne znaczenie Łaby" znalazł się — z mojej winy! — błąd (przeoczony w maszynopisie). Powinno być, że Aleksander Krawczuk sugeruje, iż w bieg wydarzeń wpisany jest „kod e t y c z n y", a nie genetyczny. Bardzo przepraszam za to gapiostwo wszystkich Czytelników. Więcej się nie powtórzy.

EDMUND LEWANDOWSKI

ze str. 1

dobyć okiem z sypkich piasków, od których zaczyna się las. Prowadzi w górę, stając się dalej leśnym wertepem.

Dom, stojący w tym miejscu pośród rachitycznego sadu, a także okazałych lip i jarzębin, wywołuje chwilę zastanowienia. Nie jest to dom wiejski, przypomina raczej podmiejską oficynę z gankiem, na którym metalowe filary podpierają coś w rodzaju balkonu, gdzie widać wyblakłe, niegdyś pomalowane na zielono drzwiczki od niewielkiego strychu. Wejść na ów balkon byłoby sporym ryzykiem, mury mocno są już nadwerężone przez czas, podobnie jak cały ten dom. Sprawia on zresztą wrażenie, że znalazł się w punkcie, skąd czeka go już tylko powolny, acz nieuchronny rozpad.

Niewiele tu się robi, by ten rozpad zatrzymać. Na podwórku rzuca się w oczy zrujnowane obejście: na wpół zapadnięta studnia, nadkruszone mury nie-

Zielarz

zbyt okazałego budynku gospodarczego, wszędzie pełno rozmaitych przedmiotów, tak samo nadgryzionych zębem czasu. Ingerencja człowieka w układ z przyrodą jest prawie niedostrzegalna. Jedynie stodoła posiada nową blachę na dachu, co stanowi dziwaczny kontrast z resztą otoczenia. Dwa lata temu blachy na dachu nie było i nawet nie zanosiło się na coś takiego. Trzeba było chyba czyjejś perswazji, albo było już zupełnie tragicznie, żeby właściciela skłonić do wkroczenia w stan krótkotrwałej wojny z naturą. Reszta jest natomiast nietknięta, zostawiona sama sobie. Nie można mieć bowiem złudzeń: czas i tak zwycięży...

Przed domem, oparty o ścianę, poczerniały od deszczów i słońca, drewniany fotel. Raczej jego żałosne szczątki. Latem jego właściciel rzuca nań jakąś wyleniałą burkę i lubi tu przesiadywać. W królewskiej pozie, siedząc wygodnie i władczo, przyjmuje nieszczęśliwców, co wytracili już wiarę w skuteczną pomoc udzielaną w aseptycznych pomieszczeniach oficjalnej medycyny, a teraz liczą tylko na niego.

Obok ganku stoi donica z kaktusem wyniesionym z domu na powietrze, na ożywcze działanie słońca. Pochylony niebezpiecznie na jedną stronę, przybrał dziwną pozę, upodabniając się do otoczenia, w którym przyszło mu wegetować.

W sieni zapach starego domu, woń zastygłych dziesiątków lat. Jest tu chłodno, ściany ciemnieją latami nie odnawiane. Na drewnianych schodach prowadzących na stryszek, oparta styliskiem o ścianę, siekiera. Jej przeznaczenie znam dobrze.

Na drzwiach mosiężna wizytówka z wygrawerowanymi zamaszyście literami. Gromkie — Wejść! — odpowiada na moje pukanie do drzwi. Maleńki pokoik okazuje się wypełniony ludźmi: kobieta, mężczyzna, ich dwoje dzieci i właściciel. Wycofuję się i czekam na swoją kolej.

Kiedy wychodzę na dwór, widzę, że sprawy przybierają nie najlepszy obrót. Przed drewnianą bramą stoi już biała „Zastawa" z warszawską rejestracją. Wysypuje się z niej gromadka ludzi. Całe to towarzystwo rozgląda się ciekawie. Młoda kobieta uśmiecha się niewyraźnie na mój widok. Mówimy sobie „dzień dobry" i czujemy się jak przyłapane na gorącym uczynku dzieci.

Cywilizowany świat przeżywa w tym miejscu zachwianie uznanych wartości. W scenerii rozpadającego się domu, wszystkiego, co się nań składa w sensie materialnym, ta pielgrzymka do człowieka, który patrząc w oczy orzeka o chorobie lub zdrowiu, ma w sobie coś ze współczesnej Canossy. Celebracja własnej niepewności i nadzieja na pomyślny skutek kilkuminutowego seansu, podczas którego odkrywa się przed przybyłym tajemnica jego dolegliwości jest odwołaniem się do spraw nieznanych, jakby nadprzyrodzonych. Wielu z ludzi wie już na co jest chorych, ale tu liczy na pomoc, gdy medycyna okazuje swoją bezradność.

Niektórych przyprowadza tutaj ciekawość, nic im nie dolega, ale na wszelki wypadek wolą coś o sobie wiedzieć. Czasami spotyka ich zwątpienie innego rodzaju. Czyż można bowiem z całkowitym spokojem przyjąć oświadczenie, że teraz trzeba bardzo uważać, bo wkrótce pojawią się kłopoty z przewodem pokarmowym, albo w co przychodzi z trudem uwierzyć, czai się gdzieś w środku zapowiedź nowotworu? Brzmi to jak wyrok, przed którym można jednak uciec, stosując się do zaleceń wypisanych na podsuniętej karteczce z notatnika. Biorąc jednak pod uwagę cały bagaż współczesnej cywilizacji, ta ucieczka wydaje się niemożliwa. Niepokój wcale nie maleje.

Po paru chwilach otwierają się drzwi prowadzące do domu. Wychodzą ci, którzy byli przede mną. Na niewielkim podwórku raptem robi się ludno, ale i krępująco ponad wyobrażalną miarę.

Jeszcze raz głośne, wojskowe — Wejść! — i mocny uścisk krzepkiej dłoni. Siadam na skrzypiącej kozetce, pod którą wyczuwam sprężyny. Pamiętając o siekierze spoczywającej za drzwiami, wiem, że nie należy zdradzać powodu wizyty.

Mężczyzna siedzący na fotelu podobnym do tamtego, który wystawiony jest przed domem, ma siwe, gołębie włosy, gęste, zaczesane do góry. Wąsy o takiej samej stalowej barwie, równo przycięte nad górną wargą. Twarz o harmonijnych, ostrych rysach jest spalona wiatrem i wczesnym, wiosennym słońcem. Jest czerstwa, jak bochenek razowego chleba. Mężczyzna ma na sobie drelichową bluzę i spodnie, sprane do białości. Nachyla się w moim kierunku, spoglądając w oczy swoim przenikliwym wzrokiem. Jego oczy są małe, o jakimś niepokojącym refleksie, jak oczy drapieżnego ptaka. Widzą podobno wszystko: przeszłość i przyszłość twojej wątroby, serca, jelit, płuc, nerek... Potrafi powiedzieć: — Nieźle się kiedyś piło i hulało! I to, niestety, będzie prawda.

Mówi cały czas ledwo zrozumiałymi, rymującymi się zdaniami. Lubi robić wrażenie na słuchaczach, zaskakiwać nieoczekiwanymi skojarzeniami, myślową ekwilibrystyką pełną dziwacznej symboliki. Po jakimś czasie sam przychodzi mi z pomocą, wspominając Nostradamusa. Ceni jego przepowiednie i zaleca je do wnikliwego przestudiowania. Tu jest zatem klucz do jego sposobu myślenia, po którym należałoby się poruszać.

Żyje w poczuciu własnej wyjątkowości. Trudno, by jej nie nabrał, gdy odwiedzają go setki ludzi. Tych ostentacyjnie bogatych, w pięknych samochodach, których stać byłoby na zachodnią klinikę, a także tych, którym brakuje do pierwszego. Bywają posiadacze dyplomów wyższych uczelni, ludzie ważni i mniej ważni.

Do tych ostatnich zachował uraz, a teraz przeżywa swój triumf. Nie ukrywa tego zresztą. Przychodzą do niego ci, którzy określili go analfabetą i szarlatanem, odmówili mu prawa do pomagania innym. Ci wszyscy z dyplomami wyłażącymi z każdej kieszeni, utytułowani niczym cesarz Etiopii.

Szarlatanem nie jest, zna tylko zioła, ich właściwości, łacińskie nazwy, sposoby postępowania z nimi. Nie jest także, jak napisała pewna dziennikarka, analfabetą. Posiada średnie wykształcenie. Stawianie diagnoz na podstawie zabarwienia źrenic nie jest czymś w świecie nieznanym. Terapii ziołowej doświadczył sam na sobie i oczywiście skutecznie. Wyleczył siebie z ciężkiej dolegliwości i ta estyma dla czegoś innego, niż proszki, czegoś co dawała sama natura, zapadła w nim na zawsze.

Przed wojną pracował w szpitalu miejskim, był instrumentariuszem. Później w obozie jenieckim asystował lagerartztowi jako pielęgniarz. Potrafił obserwować i przyswajać sobie wiedzę medyczną.

Do szpitala powrócił po wojnie, ale już jako ktoś inny. Przylgnęła do niego fama uzdrowiciela. Niezbyt chętnym okiem spoglądano w szpitalu na tę pokątną praktykę instrumentariusza. Lecz on miał za sobą setki, a z czasem może nawet tysiące ludzi, którzy coś mu zawdzięczali. To kiedyś musiało się źle skończyć, bo przecież nie wszystkim mógł pomóc.

Pewnego dnia przywieziono do niego człowieka na noszach. Zabrano go wprost ze szpitala. Zmarł w jego domu. To już wystarczyło, żeby zrobić porządek z tym znachorstwem podważającym autorytet lekarzy i to pod ich bokiem. Poniekąd sam ukręcił na siebie ów bat, wywołał tę sytuację. Bo „leczyć" nikt mu przecież nie kazał. Mógł zadowolić się statusem instrumentariusza. Tylko do tego był uprawniony. Nikt nie dał mu uprawnień na orzekanie o czyjejś chorobie. Wywołując niemal zbiorową wiarę we własne terapeutyczne możliwości podjął niezbyt uświadomione ryzyko, które temu towarzyszy. Teraz za nie zapłacił.

Była zatem sprawa w sądzie, oskarżenie o uprawianie praktyk niezgodnych z ogólnie stosowanymi zasadami, a przy tym nielegalnych. Tłumy ludzi otaczały drewniany, parterowy budynek sądu. To byli ci, którzy mieli przekonanie, że im pomógł. — Ostatecznie — mówił tłum — czy nie zdarza się, że w szpitalu ludzie również umierają? Był to więc proces o prestiż. Prestiż medycyny.

Wyrok nie mógł być inny: grzywna, zakaz praktyki. Uprawy ziół zostały zniszczone, uzbierane zapasy spalono. Swoiste auto da fe w wydaniu lat sześćdziesiątych.

Od tego czasu, w jego domu, na schodach prowadzących na strych pojawiła się siekiera. Miała bronić przed dziennikarzami, prawnikami, sceptykami, wszystkimi, którzy byli przeciwko niemu. O prawie mówi odtąd, że jest „...nieubłagane, nieużyte, martwe".

Ludzie jednak wciąż przyjeżdżali do niego, bo wcale nie wyzbyli się przekonania, że w tym miejscu mogą wreszcie zrzucić z siebie brzemię choroby. On natomiast, otrzymawszy solidną nauczkę, nie chciał ich przyjmować, szukać w oczach odbicia stanu ich jelit, płuc, żołądków... W gruncie rzeczy, to wszystko nie było mu potrzebne. Od dawna był kimś innym. W potocznej opinii żył dziwacznie. Choć mówiono o tym nie bez podziwu. Ten sposób życia uznaje do dziś za jedynie godny człowieka.

Rozpoczyna dzień wraz z pierwszym brzaskiem, kładzie się natomiast spać o zmierzchu. Żyje rytmem przyrody. Nie jada mięsa, wszystkiego, co ma coś wspólnego ze współczesną cywilizacją, chleb, miód, masło, mleko, owoce wypełniają jego dietę. Chleb wypieka sam na wodzie zebranej z naciętej brzozy. Wszystkie produkty pochodzą z jego upraw. Twierdzi z przekonaniem, że jest samowystarczalny. Niczego nie potrzebuje ponad to, co oferuje mu sama przyroda. Jest to uproszczenie, z którym można się jednak zgodzić.

Na niewielkim karteluszku każe mi wypisać mieszankę ziołową. Profilaktycznie, bo nic specjalnego u mnie nie zobaczył. Zapisuję, mając w pamięci stojącą za drzwiami siekierę. Z mojej strony też profilaktyka!

Ludzie zmusili go w końcu do tego, żeby zaczął czytać w ich napiętnowanych chorobą źrenicach poszerzonych o obawę o to najgorsze. On zaś widzi wszystko. Przy okazji serwuje porcję wiedzy o świecie, posługując się stylistyką zapożyczoną od słynnego lekarza i alchemika. Wszystko przecież się sprawdza z tego, co on zobaczył swoją płomienną wyobraźnią. Nieprawdaż?

Ci z „Zastawy" przeciskają się przez ciasną sień. Zza drzwi słychać gromkie — Wejść! Na podwórku nie ma na razie nikogo. W samochodzie zaparkowanym przed bramą gra radio. Z daleka, z kierunku dokąd prowadzi polna droga słychać nadjeżdżający podmiejski pociąg. Droga prowadzi też do asfaltowej linii, do campingów, betonowych bloków, telewizorów, lodówek, stresów, nerwowości, nowotworów, do bólu i zwątpień, donikąd.

WŁADYSŁAW MALKA

Zboże nie rośnie na skale

ROMAN KUBIAK

Do końca dwudziestego wieku zostało piętnaście lat. Sto lat temu niejaki Robert Koch walczył o szansę dla ludzkości. Przed paroma dniami okruszyny tej ludzkości dowiedziały się, że taki facet w ogóle istniał. Powiadają, że kawał życia zmarnował nad mikroskopem. Coś dłubał, coś przelewał — jakieś mikstury, aż w końcu dali mu Nobla.

Przed paroma dniami okruszyny ludzkości zakpiły ze starego profesora. Zamknęły jego wynalazek w słoiczku po majonezie i oddały go do analizy. Wynik był jednoznaczny: gruźlica! Musiał być taki, bo do słoiczka splunął prawdziwy udokumentowany suchotnik. Dostał za to dwie stówy i butelkę piwa. Ręki mu nie podali — cholera wie czy to paskudztwo nie przełazi na zdrowych.

Stary suchotnik wie, że paskudztwo nazywa się tuberkulozą i ani chybi sprowadzi kostuchę. Ssie chłodną grudkę masła — wtedy trochę mniej dusi. Nie wie dlaczego młodzi każą mu pluć do słoiczka. Mówią, że dla niego to tyle, co splunąć, a dla nich gra warta świeczki. Niech i tak będzie. Zostawili butelkę piwa...

Gra warta świeczki jest okropnie prosta: trzeba tylko lekarzom pozwolić myśleć, że mają przed sobą gruźlika. Odrobina autentycznej plwociny starego suchotnika załatwia sprawę... A potem żyć nie umierać: zwolnionko od roboty, forsa na rączkę, żarcie — bo przecież gruźlik musi się dobrze odżywiać. I najważniejsze: odpowiedni papierek. Z takim papierkiem niestraszne wojsko, dzielnicowy, Żuławy... Okruszyny ludzkości, które kupiły ten pomysł mianują się Łebskimi Chłopakami.

Łebskie Chłopaki mają kłopot, co zrobić z wolnym czasem. Mają łapy jak lemiesze i bycze karki; żółte, na kapslach od piwa przerzedzone zęby i zrudziałe tytoniem wąsiki. Kiedy golną ociupinę, zdezelowana wątroba dopisuje im na twarzach po dwadzieścia lat. Żaden lekarz nie oprze się takiemu widokowi. Mają normalne, może trochę przywędzone płuca i niezłomną wiarę, że z tym uszlachetnianiem przez pracę to gówno prawda.

Powiadają, że ludzie dzielą się na frajerów i na tych, których Opatrzność naznaczyła wskazującym palcem — to właśnie są Łebskie Chłopaki, Frajerzy to mrówy, które zapieprzają od świtu do usranej śmierci, a za forsę kupują nowe szafy i ciepłe gacie. Żyją od pierwszego do pierwszego, od ściany do ściany, jak każe stwórca i Konstytucja. Śmierć frajerom!

Na placyku, gdzie handluje się pietruszką, kwieciem, gumą do żucia marki donald i sfilcowanymi kapotami, snują się Łebskie Chłopaki. Od niechcenia macają szmelcowaty towar, poszturchują wątłe postacie kupczyków. Ruchliwe ślepia tasują przechodzący lud. Bo Łebskie Chłopaki mają w kieszeniach słoiczki po majonezie. Może znajdą klienta, co nie chce być frajerem. Jak będzie trzeba, to stary suchotnik dostarczy towar. Dla niego to tyle co splunąć...

Ale z towarem trzeba bardzo uważać. Trzeba być ostrożnym, żeby nie skończyć jak Chopin, jak Słowacki. Tamci umierali okrutnie długo i okrutnie bez sensu. Tacy młodzi, tacy genialni, a jednak umierali. I Goethe. Powiadają, że umarł z miłości. Ale to nieprawda. Z miłości się nie umiera. Na suchoty tak. I Czechow, i Gorki. Frajerzy!

Zaraz po wojnie na tym placyku handlowano unrrowskim żarciem i lekarstwami: za obrączki, złote łańcuszki i zieloną walutę. To był kolejny raz, kiedy złoto stoczyło się na pozycje chleba naszego... Najlepiej stały lekarstwa. Kto je zdobył, ten chwytał nadzieję ratunku. One były przepustką do życia. A warto było żyć — warto było doczekać. Wtedy właśnie penicylina przelicytowała złoto. Ech ci Anglicy, wyszli z wojny bogatsi o cudowny lek, jak wrzucony do wody szczęściarz wylezie z rybą w zębach. Więc liczył się ten, kto miał albo mógł mieć penicylinę. Potrzebowało wielu. Ludzie powiadają, że przychodziły tu nawet bardzo ważne figury: tacy panowie, którzy właściwie mogą wszystko. Przychodzili w kapeluszach mocno naciągniętych na oczy. Pokorni tacy i trochę nieśmiali. Płacili każdą sumę. Ludzie powiadają, że jeden z nich to nawet przyklęknął na kolano i skamlał jak szczeniak oderwany od matczynej piersi. Taki wielki pan, a taki mały człowiek. Bardzo chciał żyć.

Niedługo potem gruchnęła wieść, że Amerykanie leczą suchotników, że jakiś uczony wynalazł cudowny lek. Ech ci Amerykanie, znowu zadziwili świat. I długo nie trzeba było czekać, bo każda nowość w jakiś fantastyczny sposób, zanim dotrze do Paryża czy Rzymu, najpierw znajdzie się nad Wisłą. Ten amerykański cud nazywał się streptomycyna. Był bezcenny.

Po kocich łbach sunęły ogromne białe ciężarówki. To były cudowne maszyny zza oceanu: dar amerykańskiej Polonii. Ech ci Amerykanie... Ogromne białe ciężarówki woziły ogromne rentgenowskie aparaty: cudowne aparaty, przed którymi nic się nie ukryje. O świcie wyruszały w teren, o zmroku wracały oblepione błotem. Miały wymalowane krucjatowe krzyże Gotfryda de Bouillon, żeby głosić jedność świata w walce ze straszną chorobą. Tak powstawało archiwum płuc wycieńczonego narodu — jeszcze jeden akt oskarżenia wojny.

Długo, bardzo długo jeździły białe ciężarówki, bo długo zabliźniały się rany po hitlerowskiej marmoladzie, brukwi i sacharynie. Nowe spokojne czasy miały być lepsze od witamin.

Ogromne, białe ciężarówki, chociaż amerykańskie, dokumentnie zajeździły się na polskich drogach. Legły na złomowiskach. Ale w szóste dziesięciolecie wkraczaliśmy z nadzieją, że agonia gruźlicy jest tuż, tuż.

Minęły lata. Po asfalcie jeżdżą biało-niebieskie autobusy. To są cudowne maszyny rodzimej produkcji: dar Narodowego Funduszu Ochrony Zdrowia. Biało-niebieskie autobusy wożą małe rentgenowskie aparaty: cudowne aparaty, przed którymi nic się nie ukryje. O świcie wyruszają w teren, o zmroku wracają oblepione błotem. Mają wymalowane krucjatowe krzyże Gotfryda de Bouillon....

Listonosze pukają do drzwi, rozdają kolorowe kartoniki:

„Obywatelu! unikniesz nieprzyjemności i sankcji karnych przeznaczonych dla osób, które nie zgłoszą się na badania radiofotograficzne w terminie wyznaczonym (grzywny do 10 tysięcy złotych, przymusowego doprowadzenia, aresztu)".

Ech ci Polacy...

I przychodzą ludzie do biało-niebieskiego autobusu, i robią co im nakazano. Jedni idą pewnie, inni rozglądają się na boki. A w biało-niebieskich autobusach krzątają się postacie w białych fartuchach: zdjęcie numer siedem tysięcy sto dwadzieścia cztery, siedem tysięcy sto dwadzieścia pięć... Następny, następny, następny....

Ze stojącej nie opodal karetki wysiadł lekarz. Ma biały fartuch i skórzaną kurtkę narzuconą na ramiona. Tak już jest, że człowiek w bieli musi czasem wysłuchać tego, czego inni wysłuchać nie muszą — a czasem to nawet nie chcą. Bo duszy nie daje się uleczyć pigułką, ani nawet przeciwbólowym zastrzykiem.

— *Panie doktorze, po co każecie nam przychodzić, po co nas zapędzacie do tej maszyny? Przecież wiedzieliście wcześniej, że do tego dojdzie, że takie będą skutki. A teraz chcecie nam pomóc — po co? Macie chociaż lekarstwa? Co tam lekarstwa — żebym chociaż mogła wykupić z kartek. Ale nie mogę. Emerytury ledwo starcza na mieszkanie i po sto złotych dziennie na życie. Umie pan żyć za sto złotych? A ja umiem — ja muszę umieć. Pan, panie doktorze dobrze wie, z czego bierze się ta paskudna choroba.*

I pomyślał doktor, że zboże nie rodzi się na skale, jeno gleba musi być urodzajna, a i siła kiełkowania ziarna swoje ma znaczenie. I pomyślał doktor o tych, których przyszło mu odwozić dobrze znaną drogą: o starych i całkiem młodych, co na glebie mocno urodzajnej żyli. O zagrzybionych norach z przeciekającym sufitem, o ciemnych, dusznych izbach, gdzie dzieci wydłubują wapno z poobijanych ścian, o dworcowej ławce, na której wczoraj leżał zimny trup bezdomnego staruszka.

— *Panie doktorze, niech pan powie, czy to prawda, że suchoty wróciły? Ale niech pan nas nie kłamie, niech pan powie tak jak jest, bo przecież my się domyślamy. Tutaj, na tym ogłoszeniu jest napisane, że wszyscy mają przyjść na prześwietlenie. Pan wie, że oni to zarządzili w pięćdziesiątym dziewiątym roku. Ale wtedy były inne czasy i miały już nie wrócić. One wróciły, prawda? Niech pan powie dokąd teraz wozicie suchotników....*

I pomyślał doktor o białym pawilonie za drucianym płotem, o tym cichym miejscu, z którego tak bardzo chciałoby się uciec. O tych, którzy dość kochają życie, żeby przetrwać balansując na jego krawędzi, o powleczonych skórą szkieletach, które przesuwają się po żwirowych alejkach, suchymi palcami wczepiają się w drobne oczka ogrodzeniowej siatki, żeby nasłuchiwać głosów z tamtej strony świata, do którego może jeszcze kiedyś... I pomyślał doktor o tych młodych, lecz już nie dziewczęcych, o tych młodych, lecz wyschłych twarzach kobiet, i o wielkich, strasznie wielkich i strasznie pustych oczach, takich samych oczach, które nie widząc patrzą z obrazów Muncha.

A przed biało-niebieskim autobusem stoją ludzie, więcej, coraz więcej ludzi. Stoją tak i patrzą na niego, na człowieka w białym fartuchu, który ma im powiedzieć, żeby byli spokojni, żeby się nie obawiali.

— *To nic groźnego* — rzekł człowiek w białym fartuchu i pomyślał, że nie wolno teraz myśleć o tym wszystkim, co przed chwilą stanęło mu przed oczyma. Nie wolno choćby dlatego, że jest się lekarzem — a może właśnie dlatego? — i dlatego, że oni czekają na wiarę, na słowa, które potrafią uleczyć duszę. Bo duszy nie daje się uleczyć pigułką, ani nawet przeciwbólowym zastrzykiem — a słowem można. Dobre słowo bywa jak balsam.

— *To nic groźnego* — powtórzył człowiek w białym fartuchu. — *Nie ma obawy, lepiej dwa razy zbadać, niż raz zachorować* — dodał i uśmiechnął się, bo wiedział, że uśmiech jest w tym momencie bardzo potrzebny, niezbędny nawet, jest jak balsam. To wszystko prawda — pomyślał doktor. To wszystko co powiedziałem jest prawdą — powtórzył w myślach, i jeszcze raz. Uśmiechnął się, bo czuł, że ten uśmiech jest mu bardzo potrzebny, niezbędny nawet, jest jak balsam. Ruszył przed siebie, minął tłumek ludzi. A oni wchodzili do biało-niebieskiego autobusu i stawali przed cudowną maszyną, przed którą nic się nie ukryje.

(24)

„W imieniu Boga" — tajemnicza śmierć Jana Pawła I

Watykan kłamał, twierdząc, że nie dokonano jeszcze autopsji na żadnym ze zmarłych papieży.

Strumień kłamstw przekształcił się w rzekę.

Testament papieża. Stan zdrowia papieża. Termin zabalsamowania jego ciała. Tajemnicze, nocne badanie zwłok, w noc poprzedzającą pogrzeb. Wszystkie te rzeczy Watykan okrył zasłoną kłamstw. (...)

Wielu czytelników może zaszokować to, że z Watykanu, miejsca, w którym w oczach milionów bije serce chrześcijaństwa, przekazano opinii publicznej tak wiele fałszywych i wprowadzających w błąd informacji. Czy jednak nie jest równie zastraszające to, kiedy po śmierci papieża ludzie, którzy poświęcili swoje życie Jezusowi Chrystusowi, zachowują się jak zwykli łajdacy? Czyż nie jest tak samo przerażające, kiedy sekretarz stanu, kardynał Villot, uroczyście zobowiązuje członków papieskiego gospodarstwa domowego do milczenia? Czy nie jest tak samo przerażające, gdy Villot, będący w swojej funkcji niejako zarządzającym papieżem, usuwa z sypialni papieskiej lekarstwa, okulary i pantofle domowe? Kiedy zmarłemu papieżowi wyjmuje z rąk, i także usuwa, plik dokumentów? Dokumentów, z których można było odczytać zmiany personalne, które Luciani zaplanował i omówił z kardynałem Villotem na krótko przed swoją całkowicie nieoczekiwaną śmiercią.

Czy Villot był wtajemniczony w spisek na życie papieża lub jego uczestnikiem? Jego działania podjęte rankiem 29 września były z pewnością poczynaniami człowieka, któremu zależy na zatuszowaniu prawdziwych okoliczności śmierci (...). Łatwo mógł zabrać testament papieża, kiedy wczesnym rankiem z jego biurka prowadził swoje rozmowy telefoniczne. Jest oczywiste, że musiało mu zależeć na tym, by nie zachowało się żadne pisemne świadectwo powziętego przez Lucianiego zamiaru odwołania go. Jeden Bóg tylko wie, co tam jeszcze ukradziono z apartamentów papieskich. (...)

Aby móc udowodnić, że ktoś zmarł gwałtowną śmiercią, niekoniecznie trzeba wykazać, iż ktoś miał motyw do popełnienia tej zbrodni. Motyw jest jednak pożytecznym drogowskazem, jak potwierdzi to każdy doświadczony inspektor kryminalny. Jeżeli nie zna się motywu — błądzi się po ciemku. Jeśli chodzi o śmierć Albino Lucianiego, to istnieje właśnie zastraszająco dużo motywów. Wiele z nich przedstawiłem w tej książce. Wymieniłem również po nazwisku ludzi, którzy je mieli.

To, że trzy z tych osób — Villot, Cody i Marcinkus — są duchownymi, wcale nie wyklucza ich z kręgu podejrzanych. Dostojnicy kościelni prawnie powinni oczywiście stać poza wszelkimi podejrzeniami. Jednak od czasu narodzin chrześcijaństwa niemało księży i prałatów dowiodło swej zdolności do popełnienia odrażających przestępstw.

Villot, Cody, Marcinkus, Calvi, Sindona: każdy miał mocne motywy. Czy kardynał Villot mógłby zabić papieża, by móc utrzymać swój urząd sekretarza stanu Watykanu, by bronić przed tą krzywdą innych, przewidzianych do wymiany dostojników, a przede wszystkim, by nie dopuścić do ustalenia przez Albino Lucianiego nowego stanowiska Kościoła w sprawie kontroli urodzeń?

Czy przy pomocy niektórych swoich przyjaciół w Watykanie, kardynał Cody mógłby usunąć z drogi papieża, który chciał pozbawić go silnej pozycji w Chicago?

Czy morderstwo mógł popełnić, lub nakłonić do jego popełnienia, biskup Marcinkus, zwierzchnik skorumpowanego niewątpliwie do cna banku, by zapewnić sobie pozostanie na stanowisku przewodniczącego IOR?

Można sobie wyobrazić, że jeden z tej trójki ma papieża na sumieniu. Jest pewne, że Villot, po znalezieniu ciała, robił kryminalne rzeczy: usunął materiały dowodowe, świadomie przedstawił fałszywy opis wydarzeń, zobowiązał naocznych świadków do milczenia. Taki sposób postępowania może tylko wywoływać podejrzenia.

Z jakiego powodu biskup Paul Marcinkus chodził o tak wczesnej porze po Pałacu Apostolskim?

Przy normalnym dochodzeniu prokuratorskim wszyscy trzej musieliby odpowiedzieć na wiele pytań; dziś, pięć lat później, wyjaśnienie tą drogą nie jest już więcej możliwe. Villot i Cody nie żyją, a Marcinkus siedzi nieosiągalny w Watykanie. (...)

Jeśli chodzi o zmiany, jakie zamierzał wprowadzać Luciani, to z pewnością wielu w Watykanie powitałoby je z zadowoleniem; jednakże nawet po tych, którzy mieli największe podstawy do obawiania się lub odrzucania tych zmian, należy się spodziewać, że najpierw uciekliby się do mniej dramatycznych środków zaradczych, niż morderstwo. Rozważanie to, jak już powiedziano, nie wyklucza Villota, Cody'ego i Marcinkusa z kręgu podejrzanych, ale przesuwa ich w kierunku końca listy, na początku której stoją tym samym nazwiska Calviego, Sindony i Gellego. Czy ci trzej mężczyźni, lub jeden z nich, byli zdolni do takiego czynu? Krótka odpowiedź brzmi: tak.

Niezależnie od tego, kto zamordował Albino Lucianiego, człowiek ten najwyraźniej liczył na to, że następne konklawe i następny papież zrobią makulaturę z osobistych decyzji Lucianiego. Dla wszystkich pięciu mężczyzn wybór „właściwego" człowieka na papieża oznaczałby ratunek. Z pewnością żaden z nich nie zaryzykowałby morderstwa po to tylko, by zapewnić sobie miesięczną karencję udzieloną z łaski. Chodziło o zatroszczenie się o to, by wybrano „właściwego" człowieka, wówczas nie obawiano by się już niczego więcej. Dwóch z tej piątki, Villot i Cody, miało daleko sięgające możliwości wywierania wpływu na wybór dokonany przez konklawe. Również Marcinkus nie był pozbawiony takiego wpływu. Odpowiednimi drogami i środkami dysponowali także Sindona i Gelli. (...)

Nie wierzę, oczywiście, by decyzję o zamordowaniu Albino Lucianiego podjęto 28 września 1978 r., lub też ukuto w tym dniu konkretny plan działania. O wyroku śmierci na Lucianiego rozmawiano z pewnością już wcześniej. Ile wcześniej, to jest pytanie.

Być może, już kilka dni po jego wyborze, kiedy zaczął bliżej interesować się sytuacją majątkową i interesami Watykanu Sp. z o.o. Być może, w ciągu pierwszych dwóch tygodni września, kiedy do uszu niektórych zainteresowanych dotarła informacja, że zaczął zasięgać wiadomości o masonach watykańskich. Być może w połowie września, kiedy nastawienie Lucianiego w sprawie regulacji urodzin i jego zamiar doprowadzenia Kościoła do liberalnego stanowiska w tej sprawie uruchomiły w Watykanie dzwonki alarmowe. Być może w trzecim tygodniu września, gdy wiadomo było z całą pewnością, że Marcinkus i inne osoby piastujące kierownicze stanowiska w Banku Watykańskim zostaną pozbawione swych funkcji. Jest jednak także możliwe, że plan zamordowania Albino Lucianiego uknuto dopiero na kilka dni przed tym czynem, kiedy podjął on kilka innych, potencjalnie brzemiennych w skutki i poważnych decyzji. Niezależnie od tego, kto podjął decyzję, kto uknuł plan, jego realizacja nie nastąpiła nawet o moment za późno dla mężczyzn, których wymieniłem jako przypuszczalnych winnych. Gdyby zostawili sobie jeszcze kilka dni czasu, byłoby za późno.

Przedstawiony w tej książce materiał obciążający ma prawie bez wyjątku charakter poszlakowy. W wypadku morderstw zabiegający o ich wyjaśnienie bardzo często muszą zadowalać się dowodami poszlakowymi. Obowiązuje to oczywiście tym bardziej, kiedy morderstwo, jak w tym wypadku, zamaskowano jako naturalny przypadek zgonu. Ktoś, kto przygotowuje zamaskowane takim sposobem morderstwo, nie będzie informował o swoich zamiarach na tytułowych stronach TIMES-a, WASHINGTON POST czy FRANKFURTER ALLGEMEINE. Stosunkowo rzadko zdarza się również, że przy realizacji tego rodzaju przestępstwa obecni są niezależni obserwatorzy, którzy jako naoczni świadkowie mogliby później opisać przebieg wydarzeń.

Jeden fakt zasługuje na szczególne podkreślenie go jeszcze raz w związku ze śmiercią Albino Lucianiego: że w znacznym stopniu powiodła się tu próba popełnienia przestępstwa doskonałego — przez upozorowanie śmierci naturalnej. Do dziś sprawdził się rachunek tych, którzy to morderstwo zaplanowali i popełnili, morderstwo, które z pewnością powinno znaleźć się w czołowej grupie listy przebojów przestępstw XX wieku.

Jeżeli chcielibyśmy rzucić więcej światła na to, kto powinien odpowiedzieć za zamordowanie Albino Lucianiego, powinniśmy zająć się sprawami, do jakich doszło podczas drugiego konklawe w 1978 r. oraz późniejszymi zjawiskami. Krytyczne prześwietlenie pewnych wydarzeń powinno nam pomóc zidentyfikować człowieka, który trzymał w ręku nici spisku na życie „kandydata Boga".

Na początku lat siedemdziesiątych O.P. często łączono z Michele Sindoną. Pecorelli najwyraźniej dysponował informacjami z tajnej służby włoskiej, ale jego najważniejszymi świadkami byli członkowie organizacji, która była potężniejsza i bardziej tajna niż tajna służba rządu. Mino Pecorelli był członkiem P2 i z szeregów tej tajnej i nielegalnej loży masońskiej uzyskiwał znaczną część informacji, którymi stale wywoływał poruszenie prasy włoskiej i opinii publicznej. Podobno Licio Gelli przynajmniej podczas jednego posiedzenia loży wezwał obecnych na nim członków do ujawnienia dokumentów i informacji, które można byłoby przekazać do O.P. Można z tego wnioskować, że w owym czasie O.P. rzeczywiście pełniła dla Gellego funkcję wentyla celowych niedyskrecji, które mogły wspierać cele i dążenia P2. Gdzieś w połowie 1978 r. Pecorelli zdecydował się jednak podjąć coś na własną rękę i na własny rachunek.

Podrzucono mu informację o jednej z największych kradzieży w historii gospodarki włoskiej. Inspiratorem tej operacji był Licio Gelli. Wspomniane machinacje, związane z podatkami od ropy naftowej spowodowały, że włoska kasa państwowa poniosła straty w wysokości 2,5 mld dolarów. We Włoszech ten sam olej napędowy, stosowany do napędu silników wysokoprężnych, stosuje się w dużych ilościach również jako olej opałowy. Paliwo do silników wysokoprężnych jest obłożone 50-krotnie wyższym podatkiem, niż olej opałowy i dla odróżnienia ich od siebie do tego ostatniego dodaje się specjalnego barwnika. Dla takiego człowieka, jak Gelli, sytuacja ta była wspaniałą gratką. Zainspirował potentata w dziedzinie ropy naftowej i członka P2, Bruno Mussellego do szeroko zakrojonej machinacji: Musselli zatroszczył się o to, by poważne ilości produktów rafineryjnych, deklarowanych jako olej opałowy, pozostawały nie zabarwione, a generał Raffaele Giudice, również członek P2 i szef włoskiej policji finansowej, fałszywymi wpisami zadbał o to, że władze podatkowe nie dostrzegły tej machinacji i od paliwa do silników dieslowskich pobierano podatek jak od oleju opałowego. Uzyskane w ten sposób ze znacznym, by tak powiedzieć, rabatem paliwo sprzedawano potem po normalnych cenach właścicielom stacji benzynowych.

Zyski przy uprzejmej pomocy członka P2, Michele Sindony przemycano przez Bank Watykański na liczne tajne konta w szwajcarskiej filii Sindony, Finabanku w Genewie. Licio Gelli stał się dobrze znaną osobą, stale przekraczającą granice między Rzymem i państwem watykańskim; tym, którzy regularnie widzieli go wyjeżdżającego i wjeżdżającego przez bramę Św. Anny mniej znane było jednak już to, że dostarczał on do Banku Watykańskiego walizki pieniędzy.

Generał Giudice zawdzięczał swoją nominację na szefa policji finansowej chrześcijańsko-demokratycznemu premierowi, Giulio Andreottiemu, który ze swej strony był dobrym przyjacielem Licio Gellego. Nominacja nastąpiła wkrótce po tym, jak kardynał Poletti, kardynał-wikariusz Rzymu w liście do premiera ciepło polecił Giudice na to stanowisko. Czytelnik przypomina sobie zapewne, że Poletti był jednym z dostojników, których Albino Luciani chciał usunąć z Rzymu. Pecorelli nie wiedział o tym, że Watykan był uwikłany w machinacje z olejem opałowym, ale to, co wiedział poza tym o tej sprawie wystarczyło mu do zamieszczenia króciutkiej informacji w swoim biuletynie. Reakcja nie kazała długo na siebie czekać: Pecorellego odwiedziła delegacja, w której skład wchodzili chrześcijańsko-demokratyczny senator, Claudio Vitalone, sędzia Carlo Testi i generał Donato Lo Prete z policji finansowej. Zadaniem delegacji było kupienie jego milczenia. Uzgodniono cenę i Pecorelli zaprzestał pisania o historii z olejem opałowym.

Kierując się logicznymi rozważaniami, że w ten sposób da się być może zarobić jeszcze więcej pieniędzy, Pecorelli zaczął pisać o określonych lożach masońskich. Wrześniowy numer jego biuletynu z 1978 r., zawierający nazwiska ponad 100 watykańskich braci z loży, był pomyślany jako strzał ostrzegawczy pod adresem Gellego. Podwójnie nieprzyjemne dla tego ostatniego musiało być to, że jeden egzemplarz wylądował na biurku Albino Lucianiego i że ten, kiedy zbadał istotę rzeczy, zaczął wyciągać praktyczne konsekwencje z tych odkryć. Gelli był bowiem bardzo dobrze świadomy niebezpieczeństwa, jakie ze strony nowego papieża groziło jego płatnikowi, Robertowi Calviemu.

Kiedy Luciani zmarł, Gelli próbował porozumieć się z Pecorellim. Zapłacił mu za milczenie. Jak to zawsze bywa w takich wypadkach, Pecorelli zażądał wkrótce jeszcze więcej pieniędzy. Gelli odmawiał zapłacenia ich. Pecorelli opublikował więc artykuł będący, jak oświadczył, wstępem do całej serii. Ujawnił w nim, że Gelli, wzorcowy faszysta, w czasie wojny prowadził działalność wywiadowczą. Pecorelli, któremu spodobała się tymczasem rola nieustraszonego dziennikarza, ujawniającego tajemnicę, obiecywał swoim czytelnikom opublikowanie całej prawdy o P2. Jako swego rodzaju zaliczkę ujawnił, że Gelli, były narodowy socjalista, był faszystą i niekiedy komunistą, utrzymywał bardzo dobre stosunki również z CIA. Było to jednak najwyraźniej już zbyt dużo prawdy dla byłych braci Pecorellego z loży P2. Doszli do wniosku, że zdradził ich.

Dwudziestego marca Gelli zatelefonował do Pecorellego w jego rzymskim biurze. Zachęcał do rozmowy pojednawczej i zaproponował przeprowadzenie jej następnego wieczoru podczas dobrej kolacji — „jeżeli panu odpowiada". Pecorelli oświadczył, że wprawdzie pracuje zwykle do późnego wieczora, ale następnego dnia postara się skończyć pracę wcześniej. Umówiono się w jednej z restauracji. Gelli mógłby tam oczywiście długo czekać na Pecorellego — gdyby zjawił się na umówione spotkanie. Należy jednak przyjąć, że w ogóle nie miał takiego zamiaru.

Mino Pecorelli pracował, jak zapowiedział, do wieczora i opuścił swoje biuro przy Via Orazio o 21.15. Nie miał daleko do swojego samochodu. Znaleziono go później martwego na przednim siedzeniu. Dochodzenie wykazało, że morderca włożył mu lufę pistoletu do ust, a następnie nacisnął dwukrotnie język spustowy — współczesna wersja klasycznego sposobu uśmiercania przez mafię sycylijską, określanego zwrotem „sasso in bocca" („kamień w ustach" zmarłego jako znak tego, że już nigdy więcej nie będzie zbyt dużo mówił).

Kiedy spotkanie ze starym przyjacielem nie doszło do skutku, Licio Gelli wykorzystał wolny wieczór do uaktualnienia tajnej kartoteki członkowskiej P2: wpisy znajdujące się pod nazwiskiem Mino Pecorelli uzupełnił swoim „zmarł".

Po zabójstwie Pecorellego nie zameldował się nikt, kto przyznałby się do popełnienia tego morderstwa. Jednak w 1983 r. aresztowano człowieka o nazwisku Antonio Viezzer, byłego wysokiego oficera tajnej służby SID i zarzucono mu dokonanie zamachu na Pecorellego. Antonio Viezzer był członkiem P2.

Na kilka dni przed uciszeniem na zawsze Mino Pecorellego pożegnał się z tym światem jeden z ludzi, których umieścił on na liście watykańskich masonów: kardynał Jean Villot. W chwili swej śmierci ciągle jeszcze piastował wszystkie funkcje, jakie pełnił podczas krótkiego pontyfikatu Albino Lucianiego.

Podczas gdy Watykan chował swego sekretarza stanu, po drugiej stronie Tybru trwał spór czy włoski wymiar sprawiedliwości powinien zająć się przypuszczalnym sprawcą milionowych oszustw, czy nie. Szef włoskiego nadzoru bankowego, Mario Sarcinelli i gubernator Banku Państwowego, Paolo Baffi naciskali teraz niecierpliwie na sprawne postępowanie w sprawie Calviego. Wyrażali zdecydowanie opinię, że istniały bardziej niż wystarczające materiały obciążające, usprawiedliwiające natychmiastowe aresztowanie. Gelli i Calvi mieli najwyraźniej taki sam pogląd.

Aresztowań dokonano 25 marca 1979 r. Aresztowanymi nie byli jednak Roberto Calvi i jego współpracownicy, lecz Sarcinelli i Baffi. Rzymski sędzia, Mario Alibrandi, człowiek znany z prawicowych obciążeń politycznych, zapewnił Baffiemu z uwagi na jego podeszły wiek (67 lat) zwolnienie z aresztu za kaucją. Sarcinelli miał mniej szczęścia i wylądował za kratkami. Oskarżenia wniesione przeciw obu tym ludziom — o niezameldowanie o przestępstwie — były zupełnie wyraźnie tylko skiecone i bezpodstawne, w rezultacie czego po dwóch tygodniach również Sarcinelli znalazł się za kaucją na wolnej stopie. Oskarżenia jednak podtrzymano i obaj musieli żyć z tym jeszcze 9 miesięcy. W styczniu 1980 r. władze wymiaru sprawiedliwości przyznały wreszcie, że oskarżenia były całkowicie nieuzasadnione i zrehabilitowały obu mężczyzn. Sarcinelli dopiero teraz mógł powrócić na swoje stanowisko szefa nadzoru bankowego, ponieważ zaraz po aresztowaniu sędzia zakazał mu pełnienia tej funkcji i w następnym okresie odmawiał cofnięcia tej decyzji. Paolo Baffi, zaszokowany i przerażony, ustąpił we wrześniu 1979 r. ze swojego stanowiska gubernatora Banku Państwowego. Wystarczyła mu próbka potęgi, jaką zademonstrowali Calvi i jego kryminalni sprzymierzeńcy; zrozumiał, że wraz ze swymi ludźmi wystąpił przeciw potędze, która była o wiele większa i sięgała znacznie dalej, niż uprawnienia włoskiego Banku Państwowego. Jeżeli aresztowanie jego i Sarcinellego w marcu 1979 r. nie wystarczyło jeszcze, by mu to uświadomić, to latem 1979 r. miał okazję, by ostatecznie przekonać się o tym, jak potężne były siły, z którymi chciał się zmierzyć. Zademonstrowały one jemu i innym swoją potęgę. Widownią tej demonstracji był Mediolan, a jej reżyserem — Michele Sindona.

Podczas gdy Calvi i jego przyjaciele we Włoszech we właściwy dla siebie sposób próbowali poradzić sobie ze swoimi problemami, ich brat z loży, Michele Sindona w Nowym Jorku nie mógł również uskarżać się na brak problemów. Wprawdzie udało mu się zapobiec na dający się przewidzieć okres niebezpieczeństwu ekstradycji do Włoch, ale sukces ten miał nieprzyjemne skazy.

Amerykańskie władze wymiaru sprawiedliwości oskarżyły Sindonę 19 marca 1979 r. o defraudację, krzywoprzysięstwo i sprzeniewierzenie pieniędzy bankowych w 99 wypadkach. Oskarżenia te wynikły bezpośrednio z bankructwa Franklin National Bank. Po złożeniu kaucji w wysokości 3 mln dolarów Sindona wyszedł na wolność. Nałożono jednak na niego obowiązek codziennego meldowania się na właściwym z uwagi na miejsce zamieszkania posterunku policji.

W pierwszym tygodniu lipca 1979 r. sąd federalny orzekł, że nie można dokonać ekstradycji Sindony z Włoch, jeżeli oczekuje go tam oskarżenie o nadużycia finansowe, ponieważ wkrótce należy liczyć się z podobnym oskarżeniem przeciw niemu w Stanach Zjednoczonych. Stosowną klauzulę w tej sprawie zawiera umowa o ekstradycji między Włochami i Stanami Zjednoczonymi. Jak oświadczył zastępca prokuratora dystryktu, John Kenney, władze USA miały zamiar wydalenia Sindony do Włoch po zakończeniu jego procesu w Stanach Zjednoczonych (i odsiedzeniu ewentualnej kary pozbawienia wolności).

Kenney zawdzięczał małej, ale pouczającej różnicy między Włochami i Stanami Zjednoczonymi to, że żył jeszcze mimo wyznaczenia za jego głowę przez przyjaciół Sindony z mafii nagrody w wysokości 100 000 dolarów. We Włoszech zamordowanie sędziego śledczego lub prokuratora często jest skutecznym środkiem nakłonienia aparatu wymiaru sprawiedliwości do większej powściągliwości w prowadzonym śledztwie. Zamordowanie sędziego Alessandriego jest tego dobrym przykładem. W Stanach Zjednoczonych zamordowanie funkcjonariusza aparatu wymiaru sprawiedliwości miałoby dokładnie odwrotny skutek. Niezależnie od tego, jak pociągająca była premia w wysokości 100 000 dolarów, zawodowi mordercy wiedzieli, że amerykański aparat ścigania zareagowałby na zlikwidowanie Kenneya nie tylko bezwzględnym ściganiem morderców, lecz także rygorystycznym zaostrzeniem śledztwa i oskarżeń przeciw Sindonie.

Tak więc Sindona musiał pogodzić się z perspektywą procesu, w którym uparty Kenney byłby jego oskarżycielem i przeciwnikiem. Za pomocą rozwiązania włoskiego mógł jednak i chciał pozbyć się innego przeciwnika, który w danej chwili przyprawiał go o znacznie większy ból głowy.

Dwudziestego dziewiątego września 1979 r. zarządcą masy upadłościowej Banca Privata Italiana Sindony mianowano zajmującego się sprawami gospodarczymi adwokata, Giorgio Ambrosolego, Banca Privata, jak wspomniano już w innym miejscu, powstał w lipcu 1974 r. przez połączenie obu banków Sindony, Banca Unione i Banca Privata Finanziara — duży niewypłacalny bank zamiast dwóch mniejszych niewypłacalnych banków. Poza samym Sindoną w 1979 r. nie było innego człowieka, który wiedziałby więcej o jego nielegalnych interesach, niż Giorgio Ambrosoli. Po mianowaniu go zarządcą masy upadłościowej przez ministerstwo finansów i gubernatora Banku Państwowego, Ambrosoli zagłębił się w skomplikowane zadanie, jakim było rozwikłanie kłębowiska machinacji nowoczesnego Machiavellego. Już 21 marca 1975 r. rozważny i skrupulatny Ambrosoli w tajnym memorandum dla włoskiej prokuratury generalnej wyraził przekonanie, że Sindonie można zarzucić działania kryminalne. Materiał, który przestudiował do tej pory, pokazywał mu wystarczająco, że upadłość Banca Privata absolutnie nie była tylko skutkiem błędów w operacjach i złego gospodarowania. Sindona i ludzie, którzy w owym czasie kierowali jego bankami, chcieli raczej „swoimi lutowymi operacjami (świadomie) wytworzyć warunki do ogłoszenia upadłości". Był to oszukańczy manewr, przygotowany z premedytacją.

C.D.N.

Fragmenty książki Davida Yallopa „In God's Name"

W kręgu fantastyki

ILJA WARSZAWSKI

Fantomy

Wróciwszy do domu zdjął buty, ubranie, bieliznę i wszystko to wsunął do pojemnika utylizatora.

Czynność ta każdorazowo wywoływała w nim nieprzyjemne uczucie. Dziwnie przyzwyczajał się do rzeczy. Szczególnie żal było mu rozstawać się z obuwiem. Cierpiał na płaskostopie i nawet buty ortopedyczne stawały się znośne dopiero pod wieczór, kiedy trzeba było je wyrzucać. Jednakże punkt pierwszy prawa sanitarnego zobowiązywał do codziennej zmiany ubrania.

Wziąwszy prysznic włożył świeżą piżamę. Stara wraz z ręcznikiem kąpielowym także znalazła się w utylizatorze.

Parę minut stał niezdecydowany przed urządzeniem ze sztucznym klimatem. W końcu ustawił pokrętło na skali „brzeg morza" i położył się na tapczanie.

Był śmiertelnie zmęczony i chciał spać, lecz wiedział, że ta noc, jak wszystkie poprzednie, minie bezsennie. Wystarczyło by zamknął oczy, żeby to wszystko, co usiłował w sobie zdusić w ciągu dnia, opanowywało jego myśli.

Chyba jednak zasnął, bo gdy otworzył oczy, wskazówka na cyferblacie wskazywała trzecią w nocy.

Dłużej nie mógł czekać. Z ciężko bijącym sercem podszedł do pulpitu i wcisnął przycisk wezwania.

Twarz dziewczyny uśmiechnęła się do niego jak do starego znajomego.

— Słucham.

— Ubranie na dziś — powiedział ochrypłym głosem.

— Mikroklimat numer 21, ubranie 6 lub 12.

— Nie można coś lżejszego?

— Ubranie robocze?

— Tak.

— O której wychodzi pan z domu?

— Za chwilę.

— Dam kombinezon i sweter. Na ulicy jest jeszcze chłodno. O 10.00 może pan rzucić sweter do najbliższgo utylizatora.

— Dobrze.

Otworzył drzwiczki pojemnika, wyjął pakunek z ubraniem.

— Co pan sobie życzy na śniadanie?

„Teraz — pomyślał. — Właśnie teraz".

— Dlaczego pan milczy?

— Kocham panią.

— Nie zrozumiałam: kogo pan kocha? Zamawianie posiłków dopiero o 7.00. W nocy mogę zaproponować jedynie to, co znajduje się w programie.

— Ja panią kocham!

Zrobił krok do przodu, lecz zamiast białej szyi z kasztanowymi puklami włosów jego usta napotkały pustkę przesyconą gorzkawym zapachem perfum.

Na pulpicie zapalił się czerwony sygnał. Automat metodycznie stukając odliczał sekundy.

— Czas się skończył. Proszę ponowić wezwanie za pięć minut.

Obraz znikł. Jeszcze poczuł zapach jej perfum i zaczął się ubierać.

* * *

Szedł pustym, nie kończącym się chodnikiem wzdłuż gmachów z ciemnymi oknami. Zapalające się przy jego zbliżaniu lampy, gasły natychmiast gdy je tylko minął. Niewielka, jasno oświetlona przed nim przestrzeń, a dalej — tajemniczy półmrok.

Podszedł do ciemnej witryny sklepu, która zapłonęła jasną plamą, gdy tylko przeciął infraczerwony promień fotokomórki.

— Pan czegoś szuka?

— Nie... to znaczy.. w ogóle to tak.

— Proszę wejść.

Wszedł na pierwsze piętro.

Wizerunek jasnowłosej ekspedientki uśmiechnął się doń uprzejmie.

— Potrzebuje pan coś na prezent?

— Tak.

— Dla kobiety?

— Tak.

— Kosmetyki? Kwiaty?

— Nie... perfumy.

— Jakie perfumy ona lubi?

*

— Nie wiem... Zapomniałem nazwy.

— Nie ma problemu, dowiemy się z katalogu. Proszę usiąść.

Nawet nie podejrzewał, że na świecie istnieje taka mnogość zapachów. Mimo wszystko, to nie było to.

— Wybrał pan?

— Nie.

— Zaraz zmienię kliszę.

Znów nie to. Od ostrych aromatów z lekka zakręciło mu się w głowie.

— Te!

— Pańska dama ma znakomity gust. To fragmenty preludium do dwunastej symfonii zapachów. Jeden flakon?

— Tak.

Przenośnik taśmowy wyniósł z mroku szkatułkę i zatrzymał się. Wziął flakon i wylał na dłoń kilka kropli bursztynowej cieczy.

— Dziękuję. Do widzenia.

— Zapomniał pan zabrać flakonik.

— Nie trzeba, rozmyśliłem się.

* * *

Stał u kraty oddzielającej chodnik od autostrady, na małej wysepce światła, przyciskając dłonie do twarzy i wdychając gorzki, cierpki zapach perfum.

Obok, autostradą, pędziły samochody, ciemne i szybkie. Zrobił kilka kroków wzdłuż kraty. Plama światła szła za nim. Ponownie spróbował uwolnić się od niego, lecz go dogoniła. Zaczął biec. Wydawało mu się, że gdyby tylko znalazł się w ciemności, a wówczas całe to majaczenie nie pozwalające mu spać, zniknie raz na zawsze.

Przerzuciwszy nogi przez kratę zeskoczył na szosę.

Wycie syreny. Pisk hamulców. Ogromny napis rozświetlił nocne niebo: „Uwaga! człowiek na drodze!"

Gigantyczny wizerunek twarzy z gniewnie zaciśniętymi ustami szybko obruszył się na malutką figurkę w kombinezonie.

— Natychmiast z powrotem!

— Dobrze.

* * *

Teraz, oprócz latarń, zapalających się gdy się zbliżał, co sto metrów zapalały się i gasły fioletowe sygnały Służby Obserwacyjnej.

Na skrzyżowaniu ulic między barierkami było przejście. Odskoczył do tyłu, gdy tuż przed nim zatrzasnęły się drzwiczki.

— Samochód został zamówiony. Proszę tu czekać.

— Nie trzeba. Ja... nie mam dokąd jechać.

— Zamówienie anulowano. Proszę opuścić pole obserwacyjne fotokomórki.

Dopiero teraz przypomniał sobie, że od dwóch dni nie miał nic w ustach.

W kabinie automatu przywitał go wizerunek grubasa w białym czepku na głowie.

— Mogę zaproponować jedynie omlet, kawę i szarlotkę. Śniadania wydajemy od 7.00.

Wyciągnął rękę w stronę pulpitu i nagle odechciało mu się jeść. Za chwilę naciśnie guzik i powtórzy się to, co było już tysiące razy. Początkowo w automacie coś brzęknie, później zawirują niezliczone trybiki i na podnośniku pojawi się zamówiony posiłek. Potem nastąpi niezmienne „smacznego", wizerunek kucharza zniknie, a on w samotności zacznie spożywać śniadanie.

— Dobrze, wezmę kawę.

Zamiast nacisnąć przycisk, odgiął ręką podnośnik i wyjął parującą filiżankę.

Sygnał uszkodzenia. Automat odłączył się od sieci.

Nagle kabina została oświetlona fioletowym światłem Służby Obserwacyjnej.

Natychmiast zjawiła się przed nim sroga twarz człowieka w białym kitlu.

— Kim pan jest?

— Salvatore.

— To mi nic nie mówi. Pański indeks?

— XM 26 48/382.

— Sprawdzę. Poeta?

— Tak.

— 140 ulica, dom 252, mieszkanie 703?

— Tak.

— Jest pan u psychiatry. Proszę starać się odpowiadać na wszystkie pytania. Dlaczego pan nie śpi?

— Nie mogę. Cierpię na bezsenność.

— Od dawna?

— Od dawna.

— Ile nocy?

— Nie pamiętam.

— Czy coś pana męczy?

— Tak.

— Co?

— Jestem... zakochany...

— A ona nie odwzajemnia uczucia.

— Ona... nie może... To fantom...

— Jaki fantom?

— Ten, który jest u mnie w domu na pulpicie rozdzielczym.

— Zaraz, chwileczkę. Tak, biorzeźbiarz Kowalski, druga nagroda Akademii Sztuki, prototyp nieznany. Pan rozumie, że nie można kochać widziadła, które nie posiada prototypu?

— Rozumiem.

— A zatem?

— Kocham.

— Jest pan żonaty?

— Nie.

— Dlaczego? Jakieś odchylenie od normy?

— Nie... prawdopodobnie... po prostu... ja ją kocham.

— Wydam polecenie Stacji Obsługi, by zmieniono panu obraz na pulpicie.

— Tylko nie to, proszę!

— Dlaczego wszedł pan na szosę?

— Pragnąłem ciemności. Chciałem popatrzeć na gwiezdne niebo.

— Dlaczego uszkodził pan automat?

— Trudno mi o tym mówić. Przecież pan też... jest automatem.

— Chce pan rozmawiać z żywym lekarzem?

— Tak... oczywiście... to byłoby lepsze.

— Do czasu, nim wydamy diagnozę, jest to niemożliwe. A więc dlaczego uszkodził pan automat?

— Nie lubię automatów... Wydaje mi się, że zależność od nich poniża moją godność.

— Rozumiem. Pojedzie pan do szpitala.

— Nie chcę.

— Dlaczego?

— Tam lekarze są także automatami, no i te... fantomy.

— Kogo ma pan na myśli?

— Po prostu obrazy.

— Umieścimy pana na oddziale sekretnej obsługi.

— Wszystko jedno... Ja bez niej już nie mogę.

— Bez fantomu?

— Tak.

— Przecież ona to także część automatu.

— Wiem.

— Dobrze. Proszę iść do domu. Przez kilka dni pozostanie pan pod obserwacją, a później wyznaczymy leczenie. Zamówię samochód.

— Nie trzeba. Pójdę pieszo, tylko że...

— Proszę dokończyć. Czy ma pan życzenie, którego boi się pan wymienić?

— Tak.

— Proszę mówić.

— Chcę, by zostawiono mnie w spokoju. Niech wszystko pozostanie jak jest. Przecież ja także... jestem automatem... tylko wyższej generacji. Jestem próbnym egzemplarzem wyprodukowanym przez firmę „Bóg & Co".

Przekład: IWA

■

Perpetuum mobile

Lubię dobrą robotę. Zawsze kiedy zabierałem się do czegoś, miałem ambicje, aby było to wykonane solidnie i porządnie. Dlatego nie mogłem powstrzymać kilku zgryźliwych uwag na widok bezładnego rumowiska, które piętrzyło się po drugiej stronie Hudson River. Zburzone domy i stosy śmieci fruwających w powietrzu przy lada podmuchu wiatru. Partactwo i tyle. Zresztą, cały kraj wyglądał podobnie. Wszędzie bajzel i szczury. Duże, tłuste i takie głupie, że można je było tłuc kijem w dowolnej ilości. Mięso smakowało wybornie, jedyne zastrzeżenie miałem co do zapachu, ale w końcu to drobiazg jeśli wziąć pod uwagę fakt, że wszystkie napotkane po drodze bary były zamknięte.

Przez Most Washingtona przedostałem się na zachodnie wybrzeże Manhattanu. Stalowe przęsła były podziurawione i pogięte, ale dziwnym trafem spełniały ciągle swoją funkcję. Obok, wyrzucony do połowy długości na piasek plaży, leżał, przekręcony do góry dnem, mały okręt podwodny, demonstrując całemu światu rozprute poszycie. No cóż, bywa. Przypadki, jak widać, nie tylko po ludziach chodzą. Zresztą, co mnie to...

Spróbowałem iść prostopadle do brzegu, ale ostrzegawczy terkot Geigera zawrócił mnie już po stu metrach. Na samą myśl, że będę musiał nadłożyć taki kawał drogi, poczułem uporczywe ssanie żołądka. Nie było rady. Rozbiłem obóz w cieniu przerdzewiałej ciężarówki, płosząc przy okazji rudego kundla, który obrał sobie za schronienie wnętrze szoferki. Pies był mały i wychudzony; widać nie wiodło mu się ostatnio tak dobrze jak mnie. Gwizdnąłem, ale nawet nie zwolnił. Zniknął gdzieś w gęstwinie powyginanych prętów, rezygnując z solidnego posiłku, który byłem skłonny mu zaoferować. Jego sprawa.

Zjadłem porcję szczurzego mięsa, popijając od czasu do czasu piwem z puszki. Cholernie lubię piwo i kiedy natknąłem się w pobliżu New Jersey na pełny magazyn, napchałem do worka, ile wlazło. Miałem nawet koncepcję, żeby osiąść tam na dłużej, ale po dwóch dniach wiatr przydmuchał z południa to radioaktywne świństwo.

Wyrzuciłem pustą puszkę na kupę walających się dookoła śmieci i zajrzałem do worka. Zostały tylko cztery puszki. Mizernie, tym bardziej, że w zasięgu wzroku nie widziałem żadnego czynnego punktu usługowego. Gdzieniegdzie tylko z wszechobecnych hałd gruzu strzelały w górę poskręcane szkielety drapaczy chmur, tworząc na tle nieba groteskową kreskówkę, jakby żywcem przeniesioną z dziecięcych malowideł. Nad zrujnowanym pępkiem świata unosiła się martwa cisza, którą niekiedy rozpraszał odległy szum fal uderzających w południowy kraniec wyspy.

Zarzuciłem worek na plecy i ruszyłem Promenadą — a raczej czymś, co kiedyś nosiło tę zaszczytną nazwę — w dół rzeki. Na szczęście Geiger nie odzywał się, więc nic mi chwilowo nie groziło. Minąłem zalane wodą tunele komunikacyjne, łączące ongiś oba brzegi oleistego ścieku. Śmierdziało przy nich obrzydliwie, a na powierzchnię wyskakiwały od czasu do czasu bąbelki cuchnącego gazu. Przyspieszyłem kroku. Nie był to jednak najlepszy pomysł, bo podeszwa prawego buta zaprotestowała gwałtownie, zawijając się do tyłu przy każdym kolejnym stąpnięciu. Musiałem usiąść i przywiązać ją mocnym sznurkiem. Przy okazji zmieniłem wkładkę zrobioną z kilku stron wyświechtanego Timesa na nową — tym razem pochodzącą z Playboya. Przedtem dokładnie przejrzałem cały numer, uświadamiając sobie, że zawiera on to, czego najbardziej brakowało mi w ciągu ostatnich trzech lat.

— By to szlag... — wiązka pobożnych życzeń została skierowana do tych, którzy w swej gorliwości pozbawili świat najwspanialszego wynalazku, jakim były niewątpliwie domy publiczne. Rozprawiwszy się w ten sposób z wrogami ludzkości powędrowałem w stronę Battery Park.

Statua Wolności górowała nad nowojorskim portem jak za dawnych, dobrych czasów, tyle tylko, że trzymająca pochodnię ręka była utrącona w okolicy łokcia. Przyglądaliśmy się sobie przez kilka minut. Najwyraźniej nie miała ochoty na konwersację.

Zszedłem na plażę, gdzie z prawdziwą przyjemnością pozbyłem się niewygodnych butów i z ulgą zanurzyłem stopy w chłodnej wodzie. Sądząc po słońcu było gdzieś koło drugiej. Jeśli nie trafię na jakiś radioaktywny szmelc, to przed zachodem powinienem dotrzeć do Mostu Brooklyńskiego, a potem dalej — na Long Island. Chyba że nie zastanę mostu na starym miejscu. Partacze bo partacze, ale momentami potrafili się przyłożyć. Taki Nowy Orlean, na przykład. Piękna robota. Okrąglutki lej o średnicy około dwudziestu mil. Żadnych śmieci czy odpadków produkcyjnych — aż miło było popatrzeć. Fakt, że z daleka, ale zawsze.

Zastanawiałem się, gdzie powędruję po zwiedzeniu Long Island. Może do Kanady, a może z powrotem do Gór Skalistych, tylko tym razem przez północne stany. Okropnie zasmakowałem w podróżach. Przedtem było z nimi za dużo kłopotów — wszędzie jakieś granice, policjanci, no i każdy fagas wyciągał z człowieka pieniądze. Kup pan to, kup pan tamto... Skaranie boskie z tymi złodziejami. Teraz przynajmniej jest spokój: masz ochotę — idziesz przed siebie, nie — siadasz i myślisz o niebieskich migdałach, aż ci się odciski na mózgu robią. To rozumiem, to mi pasuje. Żeby tak jeszcze spotkać jakąś babę...

Zasiedziałem się na tej plaży, vis-a-vis największej kobiety świata. Pomarzyć dobra rzecz — z tym, że nie na pewno. Przewiesiłem worek przez ramię, buty przywiązałem do pasa i naprzód. Piasek miękki, przyjemny, tylko gdzieniegdzie walały się kawałki najprzeróżniejszego złomu, nadtopione i przeżarte korozją. Normalka.

Po kilku godzinach marszu, kiedy plaża skręciła łagodnym łukiem na północ, natknąłem się na pierwszy od trzech lat ślad ludzkiej stopy. Zamurowało mnie i chyba przez kwadrans ślepiłem na tego dziwoląga mrugając oczami. Na wszelki wypadek otworzyłem następną puszkę piwa i wychyliłem duszkiem. Ślad był w dalszym ciągu widoczny jak na dłoni. Klasyczny platfus, i to w dodatku lewy!

— No proszę — wymamrotałem drapiąc się w głowę — Takie buty.

Nie było żadnych butów, tylko ten cholerny platfus, odciśnięty wyraźnie na piasku. Na wszelki wypadek zlustrowałem otoczenie. Nikogo. Ruszyłem powoli w stronę wydmy, zgodnie z kierunkiem jaki wskazywał napotkany ślad. Po drodze znalazłem jeszcze trzy czy cztery dalsze. Niemal biegnąc pokonałem betonowy wał, w którym KTOŚ(?!) wyrąbał dla wygody regularne stopnie. Zdyszany wlazłem na górę i oto stałem na niewielkim placu naprzeciwko pozbawionego gąsiennic czołgu. Na lufie, której wylot skierowany był w moją pierś, wisiał najprawdziwszy hamak, kołysząc się nieznacznie przy silniejszych podmuchach wiatru. Obok czołgu zbudowano z kilku kamieni palenisko nakryte teraz osmaloną płytą. Olbrzymi skórzany fotel stojący na wprost wygaszonego ogniska był pusty.

Podszedłem bliżej, zastanawiając się, dlaczego u diabła tak drżą mi kolana. Kamienie pod płytą były ciepłe, klapnąłem więc w fotelu, postanawiając zaczekać na właściciela tego domostwa.

Właśnie przygotowywałem sobie natchnioną mowę powitalną, kiedy w płytkim dołku obok paleniska zauważyłem pogięty rondel i imponujących rozmiarów patelnię. Uniosłem na moment pokrywkę. Aromatyczny zapach połechtał mi nozdrza. Rozejrzałem się na wszystkie strony i błyskawicznym ruchem wydobyłem z mojego worka drewnianą łychę. Zupka była całkiem, całkiem.... Chyba rybna, ale za to świetnie doprawiona. Spróbowałem jeszcze raz...

— Ty śmierdzielu!!!

Potężny ryk sprawił, że zerwałem się na równe nogi. Z pobliskich gruzów wyskoczył barczysty jegomość ubrany w połatany worek i wymachując kawałkiem metalowej rury pędził w moją stronę.

— Parszywcu! Już ja ci pokażę!!

Był wyraźnie rozdrażniony Na próżno usiłowałem mu tłumaczyć, że jest pierwszym człowiekiem, którego widzę po trzech latach samotnej włóczęgi, że chciałbym usiąść z nim przy ognisku i pogadać o tych wszystkich sprawach...

Nie miałem wyboru. Osłaniając się jego patelnią i własnym workiem uciekłem z powrotem na plażę. Gonił za mną jeszcze wzdłuż brzegu, dopóki nie rzuciłem mu tej patelni pod nogi. Wtedy dał spokój i tylko z daleka wygrażał pięściami, wyzywając mnie od ostatnich.

Kawałek dalej usiadłem na resztkach falochronu. Chciało mi się pić, więc sięgnąłem do worka, ale nie znalazłem w nim ani jednej całej puszki! Połamane i pogięte skorupy, nad którymi mogłem się tylko oblizać!

Krew mnie zalała.

Cisnąłem mokry od piwa worek na piasek i podniosłem pierwszy poręczny kawał metalu, jaki wpadł mi w ręce. Był lekki, solidny i dobrze leżał w dłoni.

— Czekaj, cwaniaczku — warknąłem złowieszczo, zarzucając broń na ramię. — Już ja cię nauczę rozumu...

KATARZYNA POLST-DEMBSKA

■

1

Nagłe zastępstwo

Sztuka polska

„Dziennik Łódzki" z 13 maja br. przyniósł niesłychanie interesujący inserat, który prawie w całości (bezpłatnie!) cytuję: „PF' „Sztuka Polska" w Łodzi zakupi obiekt przemysłowy o pow. 3000 m kw. W rozliczeniu PP „Sztuka Polska" przekaże 10 lokali mieszkalnych o różnej powierzchni użytkowej w centrum miasta".

No i co państwo na to? A co Państwo na to?... Prezydent m. Łodzi nie ma mieszkań i ogania się jak od dokuczliwych much od najróżniejszych petentów, co to usiłują naciągnąć go na mieszkanie dla siebie lub dla „załogi", prezesi spółdzielni mieszkaniowych nawet słyszeć nie chcą o jakimkolwiek rozdawaniu mieszkań poza ustaloną na listach kolejnością, nad wszystkimi unosi się „duch Wałbrzycha" — widmo Prezydenta, co to go ani Bóg, ani historia nie ukarały, jeno ludowa sprawiedliwość...

A kto ma mieszkania? Kto je może — żadnej władzy o zdanie nie pytając — dawać, komu chce? PP „Sztuka Polska"! Dziesięć lokali.. o różnej powierzchni... w centrum! To się właśnie nazywa sztuka polska!

Był niedawno we Wrocławiu proces pazernej baby, co to bez mrugnięcia okiem zainkasowała w PKO pół miliona nadpłaty i spokojnie poszła do domu. Baba dostała — i słusznie — jakiś wyrok. Tylko procesu kasjerki, która lekką raczką nadpłatę, na niekorzyść swego pracodawcy wypłaciła, jakoś nie było...

Tymczasem w Łodzi zaistniała sytuacja odwrotna: superuczciwy łodzianin przyniósł do kasy PZU odszkodowanie, które, jak stwierdził, nie należy mu się! Dostał je bowiem na uszkodzenie samochodu, który to samochód sprzedał był bez strat...

A propos. Pamiętacie państwo słynną sprawę fiatów 125p, zatopionych w Wiśle? Samochody wydobyto, a Polmozbyt wystawił je na licytację. I sprzedał... po cenach wyższych niż nominalne. Też sztuka polska!

Widocznie ów hiperuczciwy mieszkaniec Łodzi zrobił interes podobny i jego poczucie sprawiedliwości zatrzęsło się lekko, kiedy PZU do tego biznesu dopłaciło mu jeszcze 60 kafli. Toteż przyniósł forsę do PZU i narobił tam strasznego ambarasu! Żaden regulamin, żaden przepis, żadne zarządzenie nie reguluje takiej kwestii, jak przyjęcie zwrotu odszkodowania!

Składki ubezpieczeniowe, owszem, te PZU nauczyło się inkasować ze spokojnym uśmiechem i wręcz bezszmerowo, wypłaty idą im już znacznie gorzej, ale przyjęcie zwrotu odszkodowania? Świat nie widział! Toteż odsyłali naduczciwca od Annasza do Kajfasza, od kasjera do kierownika, od kierownika do inspektora, od inspektora do naczelnika, aż wreszcie trafił niebożatko do samego dyrektora. Spocony cały rzecz referuje po raz kolejny i wreszcie dyrektor się nad nieborakiem zlitował — kazał kasjerowi forsę przyjąć, wypisać pokwitowanie i szlus. No, fakt, że i dyrektor też trochę podejrzliwie na maniaka popatrzył. Urzędnicy pokręcili, pokręcili palcami na czołach i z niemałym trudem sumę zaksięgowali, sporządzili specjalny raport itd. I tak ma szczęście uczciwiec zwariowany, że mu nie kazali pisać podań ze znaczkami skarbowymi i jeździć do Warszawy, do centrali albo i do samego Nieckarza!

W jakimś innym kraju, jakby taki dziwak zadzwonił, że chce zwrócić znaczną sumę, to za pietnaście minut odwiedziłby go odświętnie ubrany urzędnik z kwiatami i cała potrzebna dokumentacja. W jakimś innym kraju, ale nie u nas, gdzie trwa sztuka polska!

Ostatnio kwitnie u nas nad podziw również sztuka brazylijska. A to za sprawą pięknej niewolnicy i jej okrutnego, ale diabelnie przystojnego właściciela, czyli skurczybyka krwiopijcy i osobistego wroga klasowego każdego uczciwego Polaka.

Cała sfora dziennikarzy — mówię, bom smutny i sam pełen winy — rzuciła się na piękną niewolnicę i szydzi, i natrząsa się, wydziwia i postponuje. Zarobili na tej Isaurze dziennikarze-prześmiewcy jak — nie przymierzając — na prezydencie Reaganie, pięknym Ronie, takim prawie przystojnym jak ten obrzydliwy feudał Leoncio. Ale, proszę panów, sprawa tu nie jest taka prosta jak z prezydentem. Otóż, czyście się zastanowili moi drodzy nad tym, że jak ładujemy tak bez litości w dzieło sztuki filmowej brazylijskiej, to wyrządzamy niepowetowaną stratę dobrosąsiedzkim stosunkom i tradycyjnej przyjaźni narodów Brazylii i Polski? A polsko-brazylijskie braterstwo broni?

Jest nadzieja, że stosunki te poprawi wizyta przyjaźni, jaką polskim telewidzom złożyła piękna Isaura — z kimże innym ma podróżować niewolnica! — oczywiście z tym słodkim chamem, Leoncio, jej panem bądź co bądź...

Dotąd znaliśmy w kraju arcykomiczny duet Szczepcio i Tońcio. Teraz będzie: Szczepcio, Tońcio i Leoncio!

Wizyta upłynęła w atmosferze pełnego zrozumienia. Były kwiaty i okrzyki: Prawdziwa sztuka nie zna granic ani oceanów! Polak — Brazylijczyk dwa bratanki! Precz z niewolnictwem! Niech żyje OPZZ! Za naszą i Waszą! Żądamy utworzenia Niezależnych i Samorządnych Związków Zawodowych Niewolników Brazylii i całej Ameryki Łacińskiej!

ANDRZEJ KAROL

2

Słownictwo

Lektura codziennej prasy, nie wspominając o innych publikatorach, dostarcza nam niezmiennie sporej rozrywki lingwistycznej. Stale i wciąż radują nas „asortymenty", „zapotrzebowania osobogodzin i paliwokursów", nie wspominając nawet o uciesznych doznaniach związanych z takim na przykład „miesiącem kwietniem" „Kwiecień" — jak sama nazwa wskazuje, jest nazwą własną świni domowej, jadalnej i dopiero dobitne podkreślenie, że „miesiąc kwiecień" — czyni zeń nazwę określającą pewien miernik czasu. Od trybuny sejmowej po kiosk „RUCHU", żaden szanujący się obywatel nie powie, że w kwietniu, tylko, że w miesiącu kwietniu. I tak trzymać! Uczta się ludziska na przykładach z góry (głównie urzędowej) co to jest ojczyzna-polszczyzna. Aż głupio przypominać takie klasyki, jak „podgardle dziecięce", boć to już stały temat prześmiewców... Boże, przebacz im, albowiem nie wiedzą, co czynią, naigrywając się z kurzych móżdżków rozmaitych słowotwórców...

Ale nie o tym będzie. Będzie o tym, co wylazło na wierzch po dokładniejszym przyjrzeniu się potocznej polszczyźnie użytkowanej publicznie. Okazuje się, że nasze bogobojne, pruderyjne, żeby nie powiedzieć wprost — kołtuńskie społeczeństwo, oburzające się na widok ładnej gołej dupy wydrukowanej w gazecie, nasz — miłujący pokój i tolerancję — naród, najobficiej czerpie językowo z dwóch skarbnic ludzkiej egzystencji.

Najprzód — kochamy się w wojennym szczęku oręża. Że zasię wymachiwanie szabelką — nie z tej jakby epoki, szlusujemy więc do zbrojowni wojny nowoczesnej. Jak bierzemy się za jakąś robotę — wiadomo — szykujemy „front". Jak planujemy, to ofensywę, atakujemy, wicie problem, frontalnie, z flanki, albo zza węgła, zależnie jak przeciwnik pozwala. Jeśli o menażerach — to per „generałowie przemysłu", jeśli o tych przy taśmie — to oczywista — szeregowcy. Jak nam się coś wali, no to „musimy prowadzić zaciętą walkę o przyczółki, by uzyskać, wicie, pole manewru". W dyspozycji — mamy „broń", „oręż" lub „miecz", którymi to utensyliami zarzynamy ideę niczym tępym kozikiem. Będąc w defensywie — grupujemy siły i środki dla odparcia przeciwnika, ewentualnie przeprowadzamy zwiad bojem.

I tak leci nam życie w jazgocie wszelakiej broni w szczęku orężnych zmagań i wojennych zawołań. W chwilach zaś wolnych od działań zbrojnych, pławimy się w drugim źródełku językowych zabawek. Najmieorzyzwoiciej w świecie, pławimy się w rozpuście, rui i poróbstwie. Miłosne posłanie jest nam tu inspiracją. Co i rusz, natykamy się na członka, jak nie z ramienia (jakiejś organizacji) to znowuż jest to członek w ciele (opiniodawczym — dajmy na to). Cudujemy te jakieś „zwisy męskie ozdobne" albo „męskie trójkąty". Jak brać w czymś udział — to rzecz prosta w „łonie ciała", jak coś idzie z kamienia — jasne, że chodzi o trudny poród, i tak dalej, i temu podobne, ale więcej nie będę, zważywszy czujność szwadronów bojowników moralności (moralność — to rzecz umowna... albo płatna z góry, jak mawiał nieodżałowanej pamięci Lec).

Freud by się uśmiał, badając źródła naszej potocznej mowy. Doszukiwałby się nieboraczek ukrytych kompleksów, niezaspokojonych pragnień i żądz i wyszłoby mu pewnie, że jesteśmy społeczeństwem maniaków seksualnych odreagowujących głód seksu w ćwiczeniach z ciężką bronią maszynową. Być może nie myliłby się tak bardzo zważywszy ogólny stan naszej kultury seksualnej wyrażającej się głównie w rynsztokowym słownictwie obsiującym ten akurat kawałek życia, ożenionym ze świątobliwym milczeniem otaczającym alkowiane igraszki. Wychodzi na to, że głęboko skrytym ideałem drążącym wiele dusz byłby „członek z ramienia w łonie ciała, ofensywnie atakujący z flanki, zasięki Polskiej Kasy Opieki S.A."

BIUROWA

3

Lewym okiem

Alarm!

Prasa codzienna, a bardziej jeszcze tygodniowa, nie szczędzi nam przykładów horrendalnej lekkomyślności gospodarczej, zasypuje nas opisami groźnych idiotyzmów i rozbrajającej bezradności. Bardzo dobrze, że to wszystko się publikuje. Potworne — że z tego wszystkiego absolutnie nic nie wynika.

Jednej z publikacji tego typu daje redakcja „Tu i Teraz" wymowny tytuł: „Bojkot zdrowego rozsądku". Autor artykułu, Marek Cezary Wójcik, pisze w nim o „pierwszym w naszym kraju Kongresie do spraw Utylizacji Odpadków".

Mój Boże! Pierwszy w kraju... Możliwe, że po raz pierwszy użyto słowa „kongres". Ale sam z własnej wieloletniej pracy w przemyśle mogę natychmiast wyliczyć tuziny komisji, podkomisji, resortowych, branżowych, międzyresortowych, zespołów, instytutów — powoływanych od czterdziestu lat wciąż na nowo i wciąż pod hasłem utylizacji odpadków. Ileż było tych narad, wizji lokalnych, „tematów" zadawanych instytutom, ile tysięcy osobodni zmarnowano na młócenie wciąż tej samej słomy — i nic, kompletnie nic! Przez dziesiątki lat ani kroku naprzód!

Był w „moim" przemyśle taki rodzaj odpadków, który odkładał się w tysiącach ton bez żadnego zastosowania. Palenie tych odpadków zatruwało cuchnącym dymem całą okolicę, było więc zabronione. Można było — wielkim nakładem kosztów i pracy — zakopywać. Można, ale nie wolno, bo istniał jeden jedyny na cały kraj młyn w państwowym przemyśle terenowym, który przerabiał znikomą część owych odpadków na mączkę, do czegoś tam przydatną. Zastrzegał sobie w bilansach całą planowaną podaż, a potem nie odbierał, bo nie nadążał. Żadne zabiegi biurokratyczne nie pomagały. Aż wreszcie powstał prywatny zakład, który:

— kupował omawiane odpadki za pośrednictwem państwowej centrali, mającej tym samym całkowitą kontrolę nad obrotem firmy,

— produkował z nich mączkę do nawożenia winnic,

— sprzedawał tę mączkę za granicą za pośrednictwem centrali eksportowej, mającej kontrolę nad sprzedażą i dającej państwu zyski dewizowe.

Część odpadków, nie odbieranych notorycznie przez przemysł terenowy i gnijących na hałdach po całym kraju, ktoś ze zjednoczenia zgodnie ze zdrowym rozsądkiem zadysponował na rzecz owego zakładu prywatnego. Pracownikowi, który to uczynił, szybko wytoczono sprawę prokuratorską.

Nie wiecie, co to znaczy, a ja wiem, bo to ja byłem tym pracownikiem. Oczywiście przestałem martwić się o dalsze zagospodarowywanie odpadków. Ci, co mnie tego skutecznie oduczyli, bardzo długo — jeszcze i dziś — siedzieli na wysokich szczeblach i dalej powoływali komisje do spraw utylizacji odpadków.

Teraz znów: pisze w „Trybunie Ludu" obywatel Zdzisław Kępowicz z Ostródy, że produkuje kapsle do butelek z odpadków blaszanych i może dostarczyć ich bardzo wiele po 80 groszy za sztukę. Obywatel Kępowicz dziwi się, że:

— CZSS „Społem" publikuje sążniste jeremiady o braku kapsli do butelek,

— wytwórnie wód i browary zawalone są kapslami importowanymi po 1 zł za sztukę.

Ja już się nawet dziwić nie potrafię. Żeby nie wiem co, te kapsle będą importowane, po dowolnej cenie, a rzemieślnik zamówień na produkcję z odpadków nie otrzyma, bo to rzemieślnik. I żaden kongres nic nie pomoże.

Dziwię się tylko czasami, że nigdy po takim artykule nie nastąpi najmniejsza interwencja w Sejmie Rzeczypospolitej. Może by wreszcie wyciągnąć na światło opinii publicznej jakiś dalszy ciąg, jakieś prawdziwe zainteresowanie bzdurą w celu jej usunięcia. Bzdurą — i niebezpieczeństwem. Oto w cytowanym tu artykule obywatel Wójcik informuje, że w ciągu roku gromadzi się 914 milionów ton odpadków, w tym 25 proc. to odpadki szkodliwe, a 0,54 proc., szczególnie zjadliwe i groźne. A tych 0,54 proc. to już pięć milionów ton! Pięć milionów ton bardzo groźnej trucizny składamy sobie na kupkę co roku. Czytamy o tym w „Tu i Teraz". I nic. Nic się nie dzieje!..

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

4

Sport

Mój kandydat

W czasach sukcesów naszej piłkarskiej reprezentacji mali chłopcy kiedy kopali piłkę pod moim oknem bawili się w Deynę, Latę, Szarmacha i Bońka. Chłopcy już podrośli i zaczęli oglądać się za pannami. Dziś inni kopią piłkę, ale w nikogo się nie bawią. I oto któregoś dnia z radością usłyszałam, że mali chłopcy pod moim oknem bawią się w Wyścig Pokoju i rozdzielają role: — Ja będę Piaseckim, a ty Mierzejewskim.

Nasi kolarze sprawili nam rzeczywiście miłą niespodziankę i wiele radości. Ludzie śpieszyli do telewizorów, aby zobaczyć, czy nasi znów będą na czele, czy uda się im zwyciężyć. Wylegali na trasę, cieszyli się. Ludzie spragnieni są sukcesów i trudno się temu dziwić. Z sukcesów cieszą się wszyscy, tylko felietoniści kręcą nosami, bo muszą z obowiązku być zgryźliwymi, złośliwymi i krytycznymi, a jak tu demonstrować taką postawę, kiedy wszyscy się cieszą i nie ma się do czego przyczepić. Lech Piasecki dokonał od lat nie notowanego sukcesu. Włożył żółtą koszulkę na pierwszym etapie i dowiózł ją do końca. Drugie miejsce Andrzeja Mierzejewskiego też warte uznania i wysokiej oceny. Ale prawdą jest, że trudno wszystkich zadowolić. Otóż pewien mój znajomy na pytanie: — no i jak ci się podobają nasi kolarze? — skrzywił się i powiedział: — żeby jeszcze drużynowo zwyciężyli. Takiemu nigdy nie dogodzisz.

Słucham i czytam zewsząd płynące pochwały i wiem, że jest w tym Wyścigu Pokoju jeszcze jeden zwycięzca. Jest nim Ryszard Szurkowski. Polski sukces w Wyścigu Pokoju jest też jego sukcesem osobistym, choć nikt mu wieńca na szyję nie zakładał i ten zwycięzca nie zrobił żadnej honorowej rundy.

W kryzysowym czasie dla polskiego kolarstwa, kiedy trudno było o zwycięstwo, przeprowadzałam dla „Odgłosów" rozmowę z Mieczysławem Nowickim. Mój rozmówca powiedział wówczas, że weterani kolarstwa spotykają się z sobą, martwią się tym, co się dzieje i widzą tylko jednego kandydata na trenera — właśnie Ryszarda Szurkowskiego. Niełatwo widać było podjąć tę decyzję, niełatwo było znakomitemu praktykowi powierzyć tę funkcję, ale przecież u nas ciągle jeszcze rzadko stawia się na tych, którym już coś się udało, którzy zasmakowali w sukcesie i mogą go pomnażać w dziedzinie, na której akurat się znają.

Ryszard Szurkowski miał znakomitego nauczyciela. Był nim wspaniały trener, Henryk Łasak. W książce, którą Ryszard Szurkowski napisał razem z Krzysztofem Wyrzykowskim, a która nosi tytuł: „Być liderem", wspomina o swoim trenerze. Pisze:

„Henryk Łasak nauczył nas wygrywania wyścigów. W sposób bezwzględny wymagał, by kolarz, który zabiera się w ucieczce, jechał tak, aby wygrać imprezę. Przez długi czas pokutowała w naszym kolarstwie zasada, że miejsce w czołówce jest już dużym osiągnięciem i właściwie bez względu na lokatę jaką się zajmie, najważniejsze zadania są już wykonane. Łasak przez cały czas walczył z takimi nawykami. Doprowadził do tego, że wymagaliśmy od siebie zwycięstw, a każda porażka na etapie była przedmiotem długiej analizy przeprowadzonej podczas codziennych porannych odpraw...

Te wymagania stały się wkrótce pierwszą zasadą naszej taktyki. O jak najlepsze pozycje walczyło się nie tylko w czołówce, ale też w każdej grupie zbliżającej się do mety. Nawyk ten pozostał i był wprowadzony w życie na każdym wyścigu. Stąd też brały się późniejsze etapowe zwycięstwa w Wyścigu Pokoju, czołowe miejsca w innych imprezach. Nie było to przypadkiem, lecz efektem długich i żmudnych ćwiczeń, jakim byliśmy poddawani podczas przedsezonowych startów".

A więc zasada — po to walczysz, aby zwyciężyć. Niestety, nie we wszystkich dziedzinach sportu ona obowiązuje. W niektórych dyscyplinach broni się wyniku, przeprowadza zawiłe kalkulacje, które potem kończą się fatalnie, a zawodnicy odzwyczajają się od woli i potrzeby zwyciężania.

Ryszard Szurkowski widać dobrze zapamiętał nauki swego trenera i przekazał je swoim podopiecznym. Skutek znamy. I myślę, że jak dalej będzie ich trenował, to możemy doczekać się wielu jeszcze innych sukcesów, na co wszyscy — po cichu, żeby nie zapeszyć — liczymy.

Zawsze pod koniec roku, „Przegląd Sportowy" ogłasza plebiscyt na najlepszych sportowców i trenera roku. Do końca roku sporo jeszcze czasu. Być może i inni trenerzy będą mieli sukcesy, ale ja już teraz, nie czekając na oficjalne otwarcie konkursu, zgłaszam swego kandydata do tytułu trenera roku — Ryszarda Szurkowskiego. I bardzo proszę pamiętać, że byłam pierwsza.

Powodzenia panie Ryszardzie!

BOGDA MADEJ

Szczecin, grudzień 1970

WIESŁAW ROGOWSKI
Fragmenty powieści „Biały punkt”

8

Teraz napisałby to nieco inaczej, prościej, z mniejszą emfazą. Taka jest jednak ocena działania — tu i teraz. Słowo wyleci komarem, a powróci wołem. Słów jak pocisków... Ale czy w istocie, nie ma w mych słowach prawdy? Jest — pomyślał. Lecz czyja? To ja tak widzę tę sprawę, stąd, nie spośród gaszcza ludzkiego z poziomu ulicy, która biegłbym może wraz z nimi, gdybym był jednym z nich. Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia — przypomniał sobie i zagryzł wargi.

Czytał:.. Dwadzieścia pięć lat odbudowaliśmy i rozbudowaliśmy zniszczony wojną Szczecin. Dłonie robotników polskich wzniosły z ruin fabryki, port, stocznie, nowe szkoły dla naszych dzieci, szpitale, domy mieszkalne. To co stworzyliśmy tutaj — powtarzał z rosnącym napięciem — miało wielkie znaczenie dla całego kraju, umacniało polską rację stanu...

Myślał: że słusznie, nie ma ani słowa łgarstwa. Bo jest to coś tak ważnego że nikomu o tym nie wolno zapominać, nawet w gniewie, gdy rozum milknie. Podparł czoło dłonią. Ale czy to trafi do kogokolwiek?

...Dawaliśmy bowiem światu dowody polskości naszego miasta, jego związku z Ojczyzną. Jeszcze dzisiaj, w ćwierć wieku po wojnie są na świecie siły, które bez skrupułów przekreśliłyby naszą polską egzystencję nad Odrą. Kto z mieszkańców Szczecina pragnąłby na to zezwolić?...

Wyobraził sobie, że jest właśnie inaczej, że na przykład tu, gdzie nikt ich nie zna i nie wie o tym, są również tacy ludzie, dla których polskość Szczecina nie ma żadnego znaczenia. Albo, że gdzieś tam, w tajemnym kasynie gry politycznej, ktoś myśli tak samo i gra stawiając najwyższą stawkę, aby oddać Odrę w zamian za Wilejkę lub Dniestr, Szczecin za Lwów, łęgi nadodrzańskie za rozlewiska poleskie. To niemożliwe! — strwożył się. — To byłaby zdrada. Przecież to jest Litwa, Białoruś, Ukraina, a historii nikt nie odwróci! Zresztą w jakim celu? Nawet ból i rozgoryczenie, tęsknota za ojcowizną nie powinna zrównoważyć faktu, że tu jest nasza ojczyzna, nie tam a tutaj, również na tych ulicach mojego rozległego miasta. Ojczyzna i ojcowizna dla ich dzieci już tu urodzonych. Nie, to po prostu byłoby niemożliwe!

Ale nie był zbyt pewny swego. Znał zacietrzewionego pisarza, który w momentach, gdy padła nazwa Wilna, zaciskał zęby i milkł, zaledwie panując nad sobą. Pamiętał również jeden taki przypadek, gdy jechał do Warszawy przez Bydgoszcz: byle jaki, szary na twarzy człowiek w pociągu, starszy pan o smutnych oczach, w pewnej chwili, gdy miał już dość rozmów o nieporządkach, bałaganie i tumiwisizmie powszechnym, warknął krótko: ja tam uważam, że za Niemca nie było wcale tak źle! Był porządek. Człowiek wiedział, co wolno, a co nie. Ale za to dostawał zawsze to, co mu się należało...

Zakrzyczeli go pasażerowie, rozgorzała dyskusja, padły słowa obraźliwe, ktoś wołał, że on sam pewnie był folksdojczem, ktoś inny z nagłą odwagą potwierdził, że jednak ten niemiecki porządek... A stary człowiek milczał odtąd zaciekle, wysiadł wreszcie w Toruniu, nie wiadomo, czy nie wcześniej może niż opłacił bilet. Jeden taki przypadek, ale przecież to fakt, sam słyszał i widział.

A więc może nie wszystko jest tak jasne i pewne, nie każdy myśli podobnie jak ja, więc i moje słowa mogły trafić w pustkę. Byłaby to klęska. Moja. Nasza. O Boże, nie! Sprawa, żebym się mylił...

Mijał wzrokiem dalsze wiersze druku: spalono gmachy.... większość mieszkańców nie godzi się... usiłując powstrzymać rozwydrzonych rabusiów... nie pozwólmy niszczyć nikomu... polała się krew, wielu ludzi odniosło poważne obrażenia....

Czuł gorąco, było tu duszno, pierwsze krople potu wystąpiły mu na czoło.

...Jakiekolwiek zdanie miała część stoczniowców — czytał odtąd uważnie, z niepokojem i troską — o problemach, przed którymi przedtem stanęła, nie było wczoraj i nie jest obojętne dziś, w jaki sposób je okazała...

Jakiekolwiek zdanie, jakiekolwiek zdanie — powtórzył w myślach. Część stoczniowców, czy wszyscy? Nie było wczoraj i nie jest obojętne dziś... Uświadomił sobie, że to brzmi jak groźba, jak zapowiedź rozliczeń w przyszłości. Tak właśnie, na pewno, to odczytali, tak właśnie, nie inaczej...

Wyobraził sobie, że stoi oko w oko z tłumem ludzi, którzy wykrzykują do niego żądanie, aby się wytłumaczył. Nie ustąpią — myślał twardo. — Mam rację. Nie wszyscy. I nie jest obojętne. Ale nie to miałem na myśli, gdy pisałem, żeby ludzi zamykać. Ja też byłem pod naciskiem zdarzeń. I nie mam sobie nic do wyrzucenia. Nie żądałem sądu. Żądam odpowiedzialności moralnej, chcę aby każdy sobie odpowiedział, czy to nie było wczoraj i nie jest dziś obojętne! Każdy. I ja także. I wy, i oni, wszyscy, kto tylko potrafi myśleć. Każdy Polak.

Mówił do siebie w duchu, lecz jakby do nich, czując z goryczą, że ani słowa te, ani jego intencje, ani też szczerość trosk nie jest w ich oczach usprawiedliwieniem, że mówi do pustki, przeraźliwie głębokiej, bez dna, jak przepaść. Po jednej jej stronie stał on, a za nim wysokie, podniebne budowle, konstrukcje żelbetowe, mosty, szkoły, domy, drogi wiodące daleko, a z tamtej strony szeregi obróconych ku niemu twarzy, liczących ludzi z opuszczonymi rękoma. Dla nich to więc, czy dla mnie? — pytał siebie, spojrzawszy w tę stronę, za siebie a potem ku nim. Czy nic już nie połączy obydwu brzegów? Przecież to nonsens, kłamliwe, bo jestem razem z nimi, chociaż oni wciąż o tym nie chcą wiedzieć. Ale rozumieją.

Patrzył w siebie. Nieczęsto to mu się zdarzało w pośpiechu spraw, w codziennym mlynie redakcyjnym, między zebraniem, kolegium, wyceną numeru, planowaniem a czytaniem tekstów, które były niedoskonałe, dobre lub znakomite, ale wymagały oceny i zastanowienia, co przepuścić, a co zatrzymać, poprawić, ulepszyć. Teraz był moment, w którym widział się jakby z daleka, z innej perspektywy, wyostrzonej przez lęk i niepewność, przez zdziwienie, że świat nie chce być taki, jak sobie go kolorowo wyobrażał, że ukazał się jako zbiór istot żywych, swoiście odrębnych, każda sobie, chociaż spojonych dziś wspólnym odczuciem, wolą i niechęcią. To nie jest ten sam świat, w którym żyłem dotąd — uświadomił sobie po raz pierwszy z tak dotkliwym poczuciem bezradności. Walczył z tym, gdyż inaczej musiałby przecież wstać, odejść stąd i pójść do domu, do Elżbiety, poddać się temu uczuciu frustracji, odbierającemu siły zniechęcenia życiem, jak człowiek umęczony chorobą, który chce już tylko aby to się skończyło. Obejrzał ten szary i zakurzony pokój, szyby dzielące boks od zecerni, swoje biurko zasłane papierami, ręce przyczernione farbą drukarską z odbitek kolumn. Muszę tu być do końca — ocknął się. Muszę, bo inaczej byłbym ostatnią szmatą. Wytrwać, wykonać swoje zadanie, nie poddawać się, nie uciekać, nawet jeśli to będzie kosztowało głowę. Zacisnął zęby. Ojciec to mu powiedział: rób, Boguś swoje. Jeśli w coś wierzysz, rób to nawet gdybyś został sam na świecie. Bo i tak będziesz odpowiadał za to co zrobiłeś i czego nie zrobiłeś. Byleś wierzył w to, że postępujesz słusznie.

Taką rozmowę odbył raz w życiu. Było to wówczas gdy we Włocławku postanowił jako uczeń zrzec się nauki religii w gimnazjum, sam jeden, wówczas, chociaż niektórzy koledzy myśleli podobnie, ale lękali się księdza prefekta, rodziców, drwin albo obcości przyjaciół i samotnej odwagi, która daje gorycz. Miał siedemnaście lat i musiał uzyskać pisemną zgodę rodziców. Matka, wierząca głęboko, zaszlochała spłoszona, nie rozumiejąc co się dzieje, dlaczego, skąd taka decyzja? Było to w dwa lata po wojnie, jeszcze wciąż ufała i miała w pamięci, że dlatego udało się jej ocalić rodzinę, wyżywić dzieci, doczekać powrotu męża z obozu, że zyskała opiekę najżyczliwszej z matek, Panny Jasnogórskiej, do której modliła się codziennie, w każdej wolnej chwili. Nawet przed snem, krótkim i niewystarczającym, gdyż musiała wstawać przed świtem i kłaść się po północy. Ojciec wszakże nie zdziwił się ani rozgniewał. Zapytał jedynie, czy to nieodwołalne i czy nikt nie namawiał go do tego kroku.

— Nikt — odpowiedział dumnie. — Chcę być wolny. Nie wierzę w nic, prócz rozumu.

— A więc to tak — rzekł ojciec. I wypowiedział wówczas właśnie tamto zdanie. A potem podpisał zgodę i nakłonił żonę, mimo jej szlochu i łez.

A jeśli oni mają jednak rację? — pomyślał zaniepokojony o ludziach ze stoczni. Jak mogliby wypowiedzieć inaczej swój sprzeciw? Któredy dojść ze sprawą? Jak uzyskać odpowiedź? Dokąd się odwołać?

Uświadomił sobie, że sam również nie mógłby przecież napisać ani słowa o tym, czego chcieliby oni, gdyby złożyli na jego ręce w redakcji memoriał albo żądania w nadziei że to ujrzy światło dzienne. Nie było żadnych dróg, nie było sposobu, normalnego dla takich zbiorowych dążeń, jedynie pojedynczy list skrzywdzonego człowieka, zażalenie na sprzedawcę, skarga na sołtysa. No tak, no tak — czuł się zażenowany, jakby to on miał w swoich rękach wszystko i o wszystkim decydował. Za zasługę, której chwycił się jak tonący deski, przypisywał sobie w duchu fakt, iż jego gazeta nie przedrukowała nadesłanego PAP-em artykułu o tym, jakie to wysokie zarobki mają stoczniowcy, którzy wzniecają niebezpieczne napięcie i zagrożenia, gdy inni, gorzej płatni robotnicy w kraju pozostali spokojni. Była to całkowita bezmyślność albo błąd — czuł to wówczas, był pewny i z zapałem przedkładał swoje racje sekretarzowi, mówiąc, że tego nie wolno drukować w Szczecinie. Uzyskał zgodę. Był dumny. I cóż z tego, skoro ten jeden dorzeczny fakt nie zmienił nawet o milimetr kierunku i siły zdarzeń, które nastąpiły później. Prasa kłamie — przypomniał sobie, co powtarzał mu przez telefon Zygmunt, gdy obserwował tłum przechodzący obok redakcji, jego okrzyki, zanim kamienie uderzyły w szyby.

Potem będzie inaczej — powiedział do siebie. — Musi być inaczej. Tak dalej nie można...

— Boguś! — Jurek wpadł do boksu, podenerwowany i niespokojny. — Słuchaj! Tam drukarze zebrali się na dole w sali i chcą żebyś przyszedł!

— Ja? — zdziwił się Bogusław, a potem poczuł dreszcz. — Po co?

— Mają jakieś żądania. Zastrajkują, jeżeli...

— Strajk?

— Tak! Gazeta nie wyjdzie. Idź tam.

Bogusław wstał. Chodził podniecony po pokoju, zastanawiając się gorączkowo, co zrobić. Gazeta powinna się ukazać, bez niej dowie się, że coś się tu załamało, że przestało istnieć, albo już się skończyło...

— Nie — powiedział stanowczo. — Jerzy, to nie tak! Niedługo będzie po burzy. Nie powinni tego zrobić!

— Powiedz im to sam!

— Stary, ja tam nie pójdę — postanowił. — Jak mam sprawę do zecerni, albo na maszynkach, to idę do nich. Jak oni mają coś do mnie, proszę bardzo, czekam tutaj. Powiadom ich, Jurek.

— Nie ryzykujesz zbyt wiele? — zapytał depeszowiec.

— Moje ryzyko, moja głowa...

— Jak chcesz.

Został sam w pokoju, który nagle stał się tak zimny, że Bogusław zaczął drżeć. I trwało chwilę, zanim nie opanował tej samowoli, twarz i wargi, rozpierzchających myśli. Wóz albo przewóz — myślał. — Wóz lub przewóz...

Zanim otworzyły się drzwi, słyszał powolne kroki kilku ludzi na schodach, potem moment ciszy, jakby się namyślali, wreszcie coraz bliższe stąpanie, pukanie w drzwi, skrzypnięcie zawiasów.

— Słucham panów? — powitał ich, już całkowicie spokojny.

— Jesteśmy delegacją — powiedział krępy na twarzy maszynkarz, stary dobry znajomy, którego nazwisko nieoczekiwanie uleciało Bogusławowi w tym momencie z pamięci, mimo iż codziennie spotykał się z nim i rozmawiali z sobą, witali się na ulicy, uśmiechali do siebie.

— Siadajcie, panowie — poprosił, wskazując krzesła.

— Idzie o to — mówił tamten — że chcemy, żeby pan wydrukował w następnym numerze rezolucję załogi. Musimy poprzeć stocznię.

— To nie jest moja gazeta — odpowiedział. — Muszę uzyskać zgodę Komitetu Wojewódzkiego. Ale nie sądzę...

— Jeśli nie, to będzie strajk — przerwał mu maszynkarz.

— Jaki w tym sensie? — zapytał Bogusław szukając wciąż odpowiednich słów. — Może już jutro wszystko się wyjaśni? W Warszawie coś się dzieje, zebrało się Biuro Polityczne. Muszą być zmiany. Teraz trzeba spokoju. Nie namawiam was, ale przemyślcie tę decyzję.

— To postanowione — rzucił tamten.

— A teraz, jeśli idzie o strajk — mówił powoli, z namysłem. — Nie jestem waszym zwierzchnikiem. Moja redakcja jest tylko klientem drukarni. Powiedzcie to dyrektorowi, nie mnie. To on odpowiada tu za pracę. I za to, że ją przerwiecie — dodał.

— My tylko zawiadamiamy pana — wyjaśnił Gadomski. Bogusław z ulgą przypomniał sobie nagle jego nazwisko i zdziwił się, że mógł je zapomnieć. — Żeby pan wiedział, co się stanie.

— Już wiem. Pójdę do Komitetu. Ale nie wyobrażam sobie, aby się zgodzili. I prawdę mówiąc, nie wierzę, żebym ich przekonał. I co wtedy? Przecież to potrwa.

— Do pańskiego powrotu, będziemy składać teksty i łamać kolumny. Zrobimy nawet kalander. Ale maszyny nie ruszą...

— Rozumiem. Dziękuję, ciesze się...

— Do świtu daleko — powiedział Gadomski. — Zanim słonko wzejdzie, rosa oczy może wyjeść, panie redaktorze. — Gdy wyszli, siedział przez chwilę, bez ruchu. Czy to groźba, czy jedynie zgrabne powiedzenie, które przyszło mu na myśl? Machnął ręką. Co tam, wszystko jedno! Chwycił za telefon, wykręcił tarczą numer prywatny dyrektora Galantowskiego.

— Słucham? — usłyszał matowy głos.

— Śpisz jeszcze? — zdziwił się.

— Położyłem się o czwartej, przecież sam wiesz...

— Słuchaj, stary — mówił twardo Bogusław. — Twoi chcą tu strajkować. Nic mnie to nie obchodzi. To twoja sprawa, twoi ludzie, twoja drukarnia.

— Strajkować? Niemożliwe!

— Chcą żebym drukował ich rezolucję. To się nie uda. Jesteśmy organem KW. Gdyby tak każdy chciał ogłaszać, co mu się żywnie podoba?... No więc, przyjeżdżaj, rób coś, kombinuj, bracie! Gazeta musi się ukazać. Choćbyś miał stanąć na głowie.

— Umiem składać — powiedział Galantowski. — W razie czego...

— No i co z tego?

— Są przecież partyjni. Przekonam ich. Gazeta się ukaże.

— Jeśli w to wierzysz — powiedział Bogusław. — Więc rób, co uważasz za stosowne. Ja pojadę na Wały Chrobrego. Ty tu rządź, ty jesteś gospodarz...

Położył słuchawkę na widełkach. Zapalił papierosa. Nie wiedział czy postępuje słusznie. Wydawało mu się przez moment, iż powinien może ustąpić. Nie rozumiał równocześnie, że tyle zostało w ludziach poczucia i wiary, że istnieje państwo i władza, że życie musi wrócić do normy, a burza uspokoić się wreszcie, ile przetrwało jeszcze objawów stałości, takich które ukazują oczom, że to co widać, jest faktem. Dlatego druk rezolucji byłby — jak sądził — nie tylko objawem słabości i fałszywym ustępstwem. Byłby równocześnie jak biała flaga wywieszona na opuszczonym w pośpiechu domu, który wolno już zająć całkowicie. Nie liczył się z tym, że myli się może w ocenie albo że wybrał drogę złą, nadmierne ryzyko. No to co — myślał. — Nie ukażemy się ten jeden raz... ale tak długo, dopóki nie ustąpi w tej sprawie. Nie ustąpimy — poprawił się pewien, że ma słuszność, mimo wahań i *momentów* niepewności. A potem, niech dzieje się co chce. Moja głowa i tak się nie utrzyma na karku, jak zmieni się ekipa. Poleci, jak amen w pacierzu. Ale zanim to się stanie, trzeba wypełnić swój obowiązek. Trzeba, do wszystkich diabłów!

Był jakby w transie, popychany siłą nakazu wewnętrznego, mimo głosu lęku i pragnienia ucieczki od tego wszystkiego. Wiedział jednak, że postąpi w końcu tak, jak postanowił. Wbrew strachowi, który był prawdziwy i tak dolegliwy jak ból po brutalnym uderzeniu. A może nawet dzięki niemu, gdyż chciał i musiał go przezwyciężyć, aby móc spojrzeć sobie potem w twarz, przy goleniu, nawet wtedy, gdy już spuszczą go z tego stołka, czy wówczas, kiedy będzie to opowiadał Elżbiecie, albo tylko śnił nieustannie po nocach, przeżywając jak w męce każde swoje słowo, momenty wahań, strach, i owo zdziwienie, że mógł zapomnieć nazwisko starego Gadomskiego i że on to właśnie a nie kto inny, zmusił go do podjęcia decyzji.

Nie był wszakże pewny, czy jego opinię podzieli również sekretarz.

W gmachu Wojewódzkiej Rady Narodowej pełno było ludzi, tłok, ciągły przepływ, terkot telefonów, tupot nóg biegnących po schodach, stukot maszyn biurowych. Był to kontrast wyraźny z tym co widział jadąc przez miasto: raczej postawę, milczące, uspokojone lub czekające z lękiem co przyniesie przyszłość; dziwna cisza, jak gdyby nic się tu nie stało, ale dopiero może się stać, więc oczekiwanie ma swój niespokojny sens, cisza o niczym nie świadczy.

Usiłował dowiedzieć się, co w stolicy. Ale albo nie wiedzieli nic konkretnego albo też niepewni co jeszcze być może, woleli nie mówić o wieściach, których prawdziwość dopiero się okaże, zaś domysły nie wyjaśniają nic, tylko mącą w głowach. No cóż — myślał — jeszcze nic nie jest przesądzone. To znaczy, że zdarzyć się może wszystko.

Był jednak pewny, że szale przeważają się w jedną stronę. Jest bowiem logika faktów, ciągów zdarzeń. Jest także, rzeczywiście, możliwość przypadku, zmian nieoczekiwanych. Ale coś się stać musi. Nie może to dłużej trwać, bo wszystko — życie narodu, byt państwa, samo istnienie Polski wisi na włosku. Miecz Damoklesa nad nami, jeszcze chwila i spadnie. A kto miecz, czyje zaś głowy zostaną odcięte? Jaki upust krwi byłby musiał nastąpić? Wzdrygnął się z przerażenia. Odsunął od siebie tę myśl czarną, ale długo jeszcze tkwiła w nim gdzieś w głębi przyćmiona obawa, że trwoga ta nie jest zwidem zmęczonego umysłu.

C.D.N.

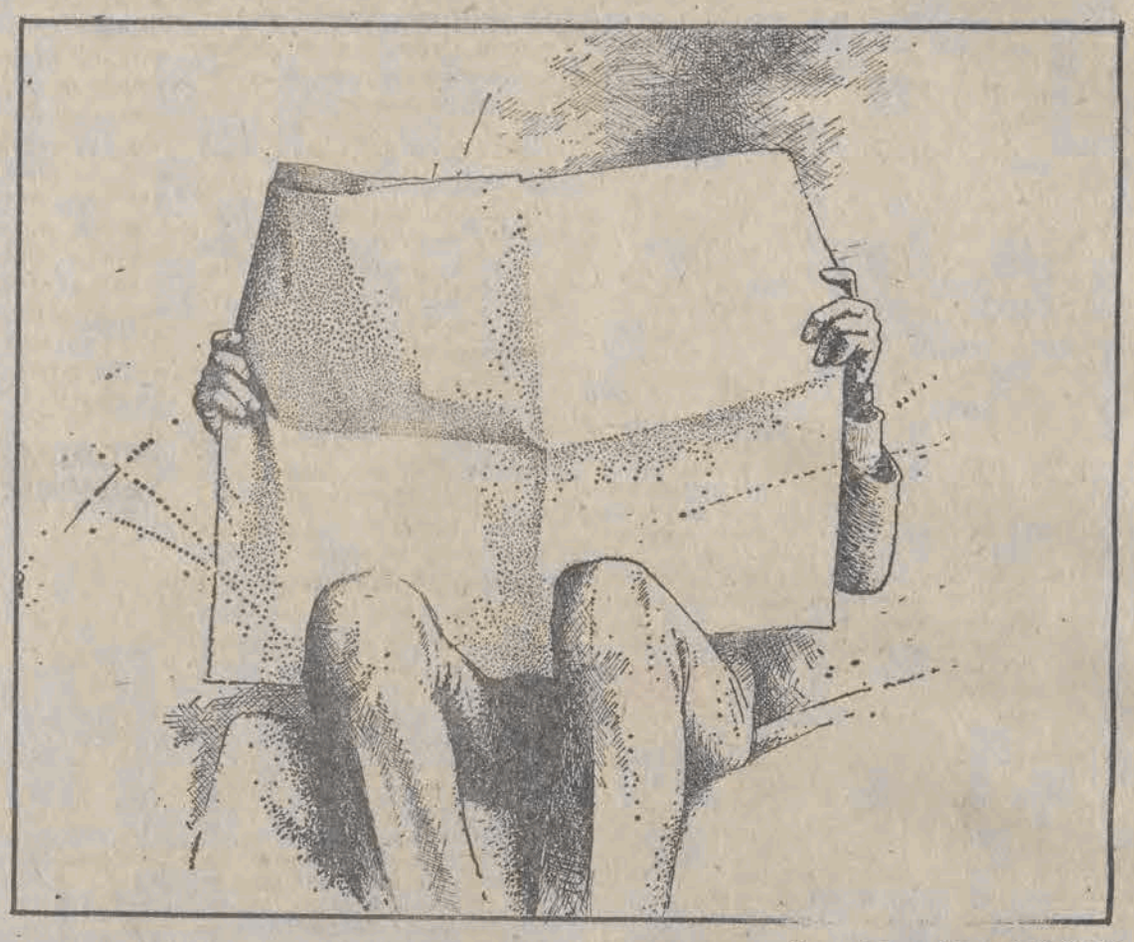

Rys. Janusz Szymański-Glanc